

Aleksander Baumgardten

To on, niepokój

Samowyzwalacz

... Jak to właściwie było z tym zdjęciem?... – dumam i obracam bezradnie w palcach ten prostokątny sfatygowany już kartonik, formatu 9x12, fotografię, na której powiększono nasze głowy, to znaczy Marii, moją, Tadzika i państwa Auerów z piegowatym synkiem Jóźkiem, Tadzikowym kolegą szkolnym – powiększono więc te głowy z wielkości główki od zapalki do rozmiaru, powiedzmy, grochu. I tak już zostało dla potomności.

Bo potomność to dzisiaj już tylko my obaj z Tadzikiem, moim synem. Marii już nie ma, choć odeszła pod sam koniec wojny. Po prostu odłamek granatu na podwórzu, gdy wychodziła z piwnicy z wodą w konewce.

Za Marią szedł o parę kroków Tadzio, też z konewką pełną wody. Tyle, że z tą wodą nie zdążył do pocisku, który przed sekundą zabrał mu matkę a mnie żonę. I tak dowiedziałem się o tym dwie godziny później, gdy powróciłem do domu, na Wagilewicza 7, z dwiema naciemi marchewki wycyganionymi od pana radcy Mikowicza, który miał maciupeńką działkę, ogródek wielkości chustki do nosa blisko, bo na Pohulance.

Ale to wszystko z Auerami zdarzyło się wcześniej.

Dobrych parę lat przed wrześnie i jakimikolwiek pociskami rozpryskującymi się nad Bogu ducha winnym podwórkiem dwupiętrowej kamienicy. Wtedy jeszcze pięciopiętrowce liczyły się jako drapacze chmur, a zresztą nawet dzisiaj nie ma zwyczaju pokrywania cementem czy betonem nieba nad każdym podwórzem.

I całe szczęście, że nie ma. Dzisiaj podwórko służy za przechowalnię śmieci, za wybieg dla siusiących lokatorskich piesków, za tymczasowe garaże dla 126p, bo duży fiat już się nie zmieści, no *i* oczywiście jako miejsce zabaw i świeżego powietrza dla dzieci. Czym większa kamienica, tym więcej smarkaczy igra od świtu do nocy na asfalcie cuchnącym wszystkimi smrodami świata.

Piłka nożna, kometka, zwyczajne rozbijanie szyb na świeżym powietrzu. Bo właśnie o to powietrze chodzi.

O tę swobodę, choć nad głowami.

I tę właśnie swobodę ostateczną i jedyną zaatakowano pewnego wrześnieowego świtu. A potem jeszcze niejeden raz gwałcono ją od, strony słońca i księżycy w dziennych a i nocnych

nalotach, za pomocą maszyn dudniących, ryczących, pikujących, albo podrywających się w górę prostą świecą, jak piłka kopnięta wzwyż, w podbramkowej sytuacji.

Tak oto zniknęło u nas niebo nad każdym ludzkim podwórkiem. Pozostał na jego miejscu błękitny czy zadeszczony placek co jakiś czas zapisywany grzmiotem lotniczych silników albo w najlepszym razie nieczytelnymi runami piorunów. Stamtąd wszystko mogło nadejść. W każdym punkcie, w każdym mieście czy człowieczej sadybie.

Więc niby dlaczego miałyby być inaczej w dwupiętrowce przy Wagilewicza.

Ale o czym to ja... aha, o tej historii z Auerami.

Czerwcowej. Bo to było w czerwcu, w trzydziestym siódmym. Na naszym ganku. Drugie piętra Ganek, ganek nie balkon. Balkony były od frontu. A od podwórza zawsze był ganek. Wychodziło się z klatki schodowej, drewniane schody miękkie jak klawisze fortepianu, bo kamienne stopnie to cholery. Strasznie podbijają nogi. Więc wchodziło się na ten ganek wprost z klatki schodowej, i stąd w lewo, do naszego mieszkania. Ściśle mówiąc, kuchni, bo inne drzwi też z klatki, tylko bezpośrednio, nie przez ganek, prowadziły do naszego przedpokoju a stamtąd do dwóch pokoiów od frontu i łazienki na wprost.

A do państwa Auerów szło się od wejścia na ganek w prawo i zaraz za zakrętem balustrady były drzwi kuchenne Auerów. I pyskata kuchta za tymi drzwiami, wiecznie skłócona z ukochaną piegowatą osobistością w krótkich portkach, rówieśnikiem, no, może dwa lata starszym od naszego Tadzika, ale z tej samej klasy. Piegowaty rówieśnik miał jak wiadomo na imię Józek. Rodzice z miłości zwali go Józku. To by było tyle z topografii.

Z tą topografią to ważna sprawa. Bo mijające czy mijane lata też nakładają na mapie naszego życia swoje siatki". Tyle, że nie topograficzne lecz biologiczne. Siatki czasów, w jakie się wikłamy w życiu czy tego chcemy czy nie. W jakie wrysujemy nasze małe prywatne dziejki, bo chyba nie dzieje. Ale przecież z tych właśnie dziejków i tylko chyba z nich tworzy się potem historia. Otóż to: potem.

Co prawda to tylko tak na marginesie. Bo ja właściwie o gankach... Może i trochę nieskładnie, ale tak jakoś razem to mi się przypomniało, choć to już inne miasta, inne ulice, inne czasy. A że ganki...

...Co z tego, że ganki takie same i że te same sprawy dzieją się na nich do dzisiejszego dnia. Nawet to, że słońce tak samo świeci dzisiaj i cienie balustrady kładą się na murze czy buzi dziecka próbującej się zmieścić w prześwicie między jednym prętem a drugim. Po co? A choćby

po to, żeby dojrzeć co tam w dole u naszych stóp dzieje się na podwórku południową porą.

A kto pamięta jak to było fajnie usiąść na rozgrzanym betonie ganku i spuścić nogi do kolan przez balustradę nad podwórkiem. Niech bimbają. Co za frajda! A ile strachu w matczyńskich oczach. Ludzie!

Tak. Ale dzisiaj jest dzisiaj, chociaż słońce świeci, może ciut mniej niż wtedy, na Wagilewicza, gdy pan Auer robił nam te zdjęcia na ganku. Tą swoją sławetną leicą 17-6-37. Nie, to nie data. To znak fabryczny aparatu. Chociaż i data też. I chyba dlatego teraz, przy tej okazji muszę całą tę historię odwinąć wstecz z tamtego czerwca. Z pamięci, mojej własnej i Tadeusza, bo co do Zbyszka, to na szczęście jemu jest najłatwiej. Nie było go wtedy na świecie. Cóż może z tego pamiętać?

Zaraz, zaraz. Jak to właściwie było z tym zdjęciem.

Wyrudziało przez te lata, wyblakło. Nic dziwnego.

Czterdzieści dwa lata. Szmata czasu. Ale obaj z Tadeuszem rodzinę Auerów pamiętamy do dziś dnia. On, szczupły, kruchy, z dobrze zapowiadającą się łysiną.

Siwiała mu ta łysiną coraz bardziej z wszystkich stron i po tym poznawałem jak ten czas leci, bo bródka pana Auera nie poddawała się przez długie lata, wciąż tak samo rudziejąca w słońcu i troskliwie pielęgnowana przez właściciela, choć był przecież skromny i nigdy nie pozował na Napoleona Trzeciego. Gdzież tam. Z takim imieniem, Aron? Ale co z tego, że Aron? Jako sąsiad był znakomity. Mógł mieć przy swoich sąsiedzkich cnotach imię Gabriela. Oczywiście Archaniola.

I też by pasowało.

Pani Lusja Auerowa, dama zwalista i wielowdziękowa była jego, Arona zaprzeczeniem, ilościowym tylko, bo swoją obfitością otaczała męża dokoła taką palisadą, że nieraz trudno się było docisnąć do tego szczupłego mężczyzny. Zresztą nie za bardzo garnęliśmy się do siebie. Nie, nie, to nie antysemityzm. Po prostu, ja byłem historykiem, od magisterium pracowałem w Archiwum Miejskim jako substytut, a pan Auer był fachowcem od futer i kozuchów. Pracował gdzieś daleko od naszej dzielnicy, bodaj że na Trybunalskiej, przy magazynie futrzarskim. Podobno znakomicie dawał sobie radę z przykrawianiem skór czy futer, bo nie znam się na tym, tyle, że widywałem go czasem, najczęściej po południu – gdy spotykaliśmy się w klatce schodowej, wracając z pracy na obiad. Pamiętam, że zawsze mnie zdumiewał widok starszego chudawego faceta taszczącego na barkach ciężkie futro i to nawet w najbardziej skwarne dni

lipca. Pan Auer uśmiechał się do mnie z zakłopotaniem zza parkanu sutego kozuchowego kołnierza, jakby chciał mnie przeprosić za ten cały cyrk, który musi odstawiać na schodach w taki upał. Oczywiście wiedziałem, że to ta część jego pracy, którą wykonuje w domu. Miał tam jakieś specjalne maszyny i z ich pomocą przykrawywał te swoje świtki, mantle i pelisy do cudzych figur, które mogły sobie pozwolić na kupno futra. Sam Auer latał w zimie, w kusym paltociku, zawsze czarnym i zawsze czyściutko wyszczotkowanym. Taki dziwny kuśnierz. Dziwny był jeszcze z innego powodu. Taki niby fachowiec od futer i skór, a nigdy nie mógł się zdobyć na wygarbowanie skóry własnemu jedynakowi, Józkowi, który był największym rozrabiaką w całej kamienicy pod numerem siódmym. Dopiero na drugim miejscu po nim był mój szlachetny potomek, Tadeusz. Jak na złość też jedynak, choć nie taki pyskaty jak tamten. Tyle, że Tadeusz, muszę się przyznać, nieraz dostawał ode mnie po uszach i nie tylko, ale przecież zdarzało się, że musiałem mu jakoś wbić do głowy, że noszenie po kieszeniach zdechłych myszy nie da się pogodzić ani z obyczajami naszego domu, ani z cierpliwością Marii, Tadeuszowej matki. A tego co mój syn potrafił wymyślić do spółki z wyżej wymienionym Józką – tego nie mogę sobie już dzisiaj nawet przypomnieć. Ale przecież nie o to chodzi w tej chwili...

...W tej chwili siedzę przy oknie w moim pokoju, a raczej na moment przysiadłem w fotelu, i wiem, że zaraz z niego wstanę i zacznę biegać po moim mieszkaniu, no, to znaczy mieszkaniu Tadeuszów, w którym zajmuję autonomiczny pokój. Ale tym razem ani pokój, ani całe mieszkanie, nawet cała ulica Wagile... przepraszam... Kanonicza nie zdoła ani pomieścić ani rozładować napięcia, jakie oładnęło nami wszystkimi od chwili, gdy wydarzyła się ta niesamowita historia.

I to jak na złość właśnie wtedy, kiedy zabrakło głowy domu, to jest oczywiście – Cesi, Tadeuszowej żony, synowej mojej najmilszej, która właśnie w tych dniach musiała w Warszawie wraz z całym zespołem twórczym architektów – bronić własnego projektu nowego osiedla. Bo Cesia jest architektem tak jak Tadeusz. Oboje projektują wymyślne nowoczesne szuflady do mieszkania, co widać choćby z tego, że oni sami zamieszkali wraz z Agnieszką i Zbyszkiem, a przede wszystkim ze mną – w prześlicznej starej chałupie z glorietskami przy Kanoniczej. Ale cóż – kto lepiej wiedział o jakie mieszkanie należy powalczyć – prezydent miasta, czy para praktykujących architektów. A jeszcze podparta takim autorytetem jak archiwariusz, do tego emerytowany! Ale jak powiedziałem, w tej chwili, emerytowany archiwariusz, z tytułem

naukowym – lata z tym swoim tytułem po wszystkich pomieszczeniach ślicznego gniazda rodzinnego Rybickich, uwitego architektonicznie przez potomków, omija z groźną twarzą niektórych współlokatorów, wybiega jednymi drzwiami, powracając natychmiast drugimi. Na szczęście rodzina jest w rozsypce, ojciec uciekł na parę godzin do swego biura projektów, matka w Warszawie, Agnieszka ma nowego fioła pomaturalnego – jako najlepsza humanistka w klasie wybiera się ostatnio na elektronikę. Cała klasa, wszystkie koleżanki, bo wiadomo, że koledzy z tej samej klasy się nie liczą, więc każda koleżanka z klasy jej to odradza, ale ja znam Agę, nie da się zagnać w maliny, jak raz coś postanowiła, to mur. Myślę, że wygra tę walkę klasową.

Tak więc nie mam z kim dyskutować o tym co nas spotkało dziś, choć to dziś łączy się z tylu dawniejszymi sprawami, że nie wiadomo od czego zacząć. W każdym razie główna wina w tej całej sprawie spada na Zbyszka. Tak, bo to on z tą leicą doprowadził do mojego wzburzenia. Zresztą nie tylko mojego, bo Tadeusz, przecież spokojny facet, zdezerterował z domu tylko dlatego, że nie potrafił wraz ze mną wytłumaczyć rozzłoszczonemu synowi, jaką burzę sprowadził na nasz dom.

A wszystko z powodu naglej miłości do fotografii. Aha, i jeszcze tego, że najserdeczniejszy przyjaciel naszego domowego bohatera, Leszek Wilczak, dostał przed kilku dniami od ojca na imieniny tę nieszczęsną leicę. A mój wspaniały wnuk nie miał nic innego do roboty jak przygnać do naszego spokojnego mieszkania z wiadomością o tym kolosalnym wydarzeniu. I żeby tylko z wiadomością! Już za parę godzin zdołał wycygnąć od najukochańszego druha ową leicę, żeby pochwalić się nią przed ojcem.

A ja? No niby, bądź co bądź dziadek. Cóż mogłem zrobić? Z należytą ostrożnością, bo tego stanowczo zażądał ode mnie mój wnuk – wzięłem do rąk ową leicę, zmieniłem okulary na te „do czytania” i spojrziałem.

Wpierw na mego wnuka, piętnastoletniego Zbigniewa Rybickiego, który patrzył na mnie dumnie – a następnie na leicę.

I od tego zaczęło się wszystko. Jakby kto nacisnął samowyzwalacz w aparacie fotograficznym. Pstryk!

I już stoimy obaj z panem Auerem, naszym łysiejącym sąsiadem, ramię w ramię obok siebie na wspólnie użytkowanym ganku, oczywiście tym Wagilewiczowskim.

Sąsiad wywołał mnie dzisiaj ku mojemu zdziwieniu, bo nigdy tego nie czynił – z mojego balkonu, na którym przed chwilą przyglądałem się niedzielnemu ruchowi ulicznemu

odbywającemu się dwa piętra niżej. Rad byłem z tej czerwcowej słonecznej niedzieli, jako że prześlęczałem całe przedpołudnie na studiowaniu fotokopii czterech stron z któregoś tomu miejskich Consulariów. Chodziło o pasjonujący spór naszych szesnastowiecznych przodków ze szkockimi kupcami próbującymi ich ocyganić, omijając obowiązujące tu od wieków prawo składu, czyli przymusowej sprzedaży wiezionego towaru w kramach rynkowych. A chodziło o towar niebagatelny – sukno! Tak się w tym cholernym suknie zaplątałem, że zapomniałem o obiedzie, przecież niedzielnym i przecież z takim trudem wykoncypowanym przez Marię. Gdyby nie Tadeusz, który co parę minut stawał w progu i milczał wymownie a potem znikał na chwilę jak wyrzut sumienia – byłbym zapomniał i o tym, że z samego rana obiecałem mu wyskok na kąpielisko – Żelazną Wodę. Jasny gwint, *matm* szczęście do tego chłopaka. Miglanc taki, osiem lat niespełna, a chlapać się lubi, że strach. Od rana do nocy z wody by nie wychodził. Na szczęście, po którymś tam wejściu do pokoju zniknął na dłużej, pewnie ciężko obrażony.

O ile go znam, poleciał do Józka Auera, z czego na pewno mogło wyniknąć wszystko co najgorsze. Zauważyłem to mimochodem, ale wiadomo, jak mnie napada historia, to już rady nie ma. Tu obiad zjedzony chybcikiem, tu rodzony syn pognął na siuchty do niebezpiecznego kolegi – już nawet słyhać na schodach jakieś rumory, pewnie wspólnie wywalili ten wazon po palmie na półpiętrze. Już raz im się to udało. Huk jak jasny gwint, a ja nic, tylko te piekielne sukna: falendysze, karazje, tkaniny hańskie, machelskie – jakbym rozumu nie miał. Chyba dość tego. Zamykam z trzaskiem tekę z kopiami szkockich grzechów i chcę wyjść przedpokojem do sieni, ale balkon jest bliżej, a mnie trochę, co tu dużo gadać, skołowały te Greshamy i Mc Guiry.

Nie. Tadeusz poczeka. Minutkę, dwie. Muszę wyjść na balkon, uwierzyć w to polskie słońce. Szkocja też może poczekać. Wakacje za pasem, Tadzik ma przed sobą kolonie letnie w Haczowie, to gdzieś koło Rymanowa, a Marii i mnie też czas na urlop. Ale najpierw na balkon, co?

Już jestem na balkonie. I oto niemal w ostatniej chwili, jakby tylko czekał na mnie, pojawia się na drugim balkonie mój zacny sąsiad. Mało tego, kłania mi się bardzo uprzejmie, podnosi w górę coś, co wygląda na lornetkę, czy jakiś futerał, a drugą ręką wskazuje za siebie raz i drugi. Wyraźnie jest zaafierowany. Teraz pokazuje mi, że zaprasza mnie na ganek. Coś przy tym wykrzykuje, ale nie rozumiem ani słowa. Pan Aron ma głos raczej mizerny, wobec tego ja z kolei ryczę na cały głos ponad ulicą: – „Ganek?” – na co sąsiad kiwa radośnie głową i znika w drzwiach błyskając okuciami szelek. Co się stało? Nagle przypominam sobie, że Auer wybiegł

na swój balkon w samej koszuli i chyba w spodniach, bo o co innego bym go nie posądział.

Dopiero teraz znika ostatecznie moje szkockie zac zadanie, dostrzegam znowu słońce i przypominam sobie znów o niedzieli i oczywiście o moim zabawnym sąsiedzie. Co go tak poruszyło? Pierwszy raz widzę, że może być nawet ojcem takiego postrzelonego syna, jakim jest Józku. Aha” przy okazji sprawdzę co się dzieje z Tadeuszem. Biegnę na ganek i wpadam wprost – na pana Arona. Za mną bieży biedna Maria nie na żarty wystraszona moimi wakacyjnymi nastrojami. A ponieważ w tej chwili z auerowskiej strony ganku pojawia się obfita pani Auerowa przytrzymując mocno za ramiona Józka i mojego Tadzia – dochodzę szybko do wniosku, że jakimś dziwnym trafem znaleźliśmy się w ciągu kilku sekund w komplecie na ganku. Obie rodziny. Jak gdybyśmy się tu umówili na niedzielne spotkanie. Coś takiego!

Kogoś mi tu jednak brakuje w tym niespodziewanym zbiegowisku na wysokościach. Zaraz. Gospoia Auerów ma dzisiaj z pewnością wychodne. Przecież niedziela.

Więc kto? Aha, ten tajemniczy krewniak naszych sąsiadów przemykający się czasem, zwłaszcza wieczorami, na ganku. Pojawił się na Wagilewicza przed dwoma laty, a może dawniej. Coś mi raz wspomniał o nim Auer, że przyjechał z Niemiec, bo musiał. Tak, tam teraz nie za wesoło, zwłaszcza dla rodaków naszego kuśnierza, ale o tym pan Auer wspomniał tylko jakoś tak ubocznie, mimochodem, a ja nie wypytywałem za gorliwie. Widziałem, że był z tego zadowolony. Śmieszne. Widać, że nawet tacy spokojni ludzie jak Auerowie miewają swoje tajemnice. A teraz właśnie jego jakoś nie widzę, tego zagadkowego jegomościa z Niemiec, którego przez dwa ostatnie lata przyłapywałem wieczorami na paleniu któregoś tam przed nocą papierosa czyli szluga. Pewnie tak jak ja nie chciał budzić nikogo z rodziny. Nigdy nie zamieniliśmy słowa, po prostu milczeliśmy obaj zgodnie, każdy w swoim gankowym zaciszu obok zlewów i klozetów, bo takie właśnie pułapki na późnych palaczy wymyślili budowniczy tej kamienicy. Zresztą tego chyba było nam właśnie potrzeba, – tej wspólnej ciszy nad zamkniętym podwórkiem.

Tych dziesięciu a czasem i pięciu minut wspólnie przemilczanych. To było niemal wszystko, co o nim wiedziałem. Dlatego tym razem, jako że to było w jasnym świetle i przy niedzieli, chciałem zapytać wprost o nieobecnego, ale pan Auer mnie uprzedza:

– Przepraszam, panie dyrektorze – nic na to nie poradzę, tak mnie tytułuje, nie mam pojęcia dlaczego, ale sąsiad i tym razem nie dopuszcza mnie do protestu – przepraszam, że pana fatyguje w takie... taką gorącość, ale widzę... zobaczyłem pana dyrektora na balkonie i pomyślałem sobie,

że o wiele się tak składa, że pan dyrektor i pani dyrektorowa mają przy niedzieli trocha czasu, bo pan stał już przez całą chwilę na balkonie, ja dobrze widziałem, przepraszam że naga... nagabywani, ale to Lusda mnie namówiła, żebym pana... państwa dyrektorstwa... dyrek...

– Ale o co chodzi, panie sąsiedzie – dorwałem się wreszcie do głosu – czego pan sobie życzy...

– Przepraszam – przerywa mi gwałtownie Auer – co znaczy czego ja sobie życzę – mam tu, widzi pan, aparata fotograficznego. To nie byle co – przysuwa się do mnie z konfidencjonalnym uśmiechem – to leica, najnowszej... najnowo... bardzo nowy i modern produkt techniki fotograficznej – pani dyrektorowa zobaczy – podsuwa Marii przed oczy mały, trzeba powiedzieć bardzo zgrabny aparacik fotograficzny. Z daleka widzę, że dużej klasy, ale widzę też, że moja Maria wciąż duchem obecna w kuchni, choć stoi przy samym modern produkcie techniki Niemiaszków i wciąż nie wie jak przyłączyć się do entuzjazmu sąsiada. Na szczęście znam się trochę na fotografii, ostatnio sam pomagałem przy mikrofilmach w naszej pracowni archiwalnej, więc i tym razem jakoś ratuję sytuację. Coś tam zaczynam bajdurzyć o pomysłowo wbudowanym dalmierzu i w ostatniej chwili przypominam sobie o statywie.

– Co znaczy statyw? – podskakuje nerwowo pan Auer – dalmierz jest, sam pan dyrektor mówi, że zabudowany...

– Taak, dalmierz rzeczywiście... wbudowany. To bardzo wygodne urządzenie...

– No, proszę jak już sam pan dyrektor mówi, to można wierzyć – kuśnierz wciąż atakuje trochę już wystraszoną Marię. – Jak już jest dalmierz i jest nawet selbst... – jąka się nagle – taki aus... selbstausleser... to statywa by nie było. Jest statyw, co by nie miał być. Sam go kupiłem w tamten czwartek u pana Raucha, pan go nie zna, panie dyrektorze, to taki kontysta z naszej firmy, to właśnie u niego kupiłem tego statywa, okazjijnie. I pasuje, proszę pani dyrektorowej, jakby się ta leica z tym statywem urodziła. Nawet Maks mnie pochwalił, bo już pierwsze próbne zdjęcia to my sobie zrobili, naturalnie z Lusią i Józkiem, ze mną i z nim. Z Weimannem.

– Z kim? – Maria nagle odzyskuje głos.

– Z Maksem. Maks Weimann. To właśnie mąż mojej siostry. Przepraszam państwa. – Pan Auer zaczyna nagle dyszeć, jakby zatrzymał się obok nas po długim biegu. Pochyla głowę i przez chwilę nic, tylko dyszy. Dopiero teraz sięga do kieszeni i z zaciśniętymi ustami ociera pot z czoła i łysinki. Bardzo poblądł.

– Co panu? – oczywiście pierwsza Maria odzyskuje równowagę – może wody, zaraz

przyniosę.

– Nie, nie, łaskawa pani dyrektorowo. Całuję rączki. Nic... już mi nic nie jest. To tak... to taka bardzo... taka bardzo straszna historia z moją siostrą Elką.

Przepraszam, ale znowu mi się przypomniało, bo Maks Weimann, to właśnie szwagier... znaczy mąż od mojej siostry. Mieszkali w Osnabrück, sześć lat, potem w Berlinie. Dzieci na szczęście nie było...

– Na szczęście? – pytam głupio i zaraz żałuję tego pytania.

– Tak – odpowiada natychmiast Auer, jakby tylko na to czekał. – A w Berlinie – dodaje cicho – skończyło się wszystko ein, zwei, drei. Państwo przecież wiedzą, kiedy – kiwa głową nie patrząc nawet na nas. Tak, wiedzieliśmy, kiedy. Co mogliśmy teraz powiedzieć?

– To było trzy lata temu. Prawie. A ja... a my... to znaczy z Lusią i Maksem, bo tylko on się wtedy uratował w Berlinie, skąd udało mu się przeskoczyć do nas, do Polski. Ale od tej chwili, sza! Ani słówka o tym! Nie mówimy na ten temat między sobą... do dzisiaj. Chodzi o Józka, on nie potrzebuje wiedzieć nic.

Ma czas. Jak dorośnie to się dowie, prawda? Po co mu to wiedzieć, jak i kiedy zginęła Elka, znaczy moja siostra a żona Maksa.

– I ciotka Józka – dodaje cichutko Maria.

– I ciotka... – powtarza jak automat Auer, ale zaraz prostuje się i skanduje wyraźnie słowo po słowie. – Bo jak jest ten selbstauleser, to można samemu sobie robić zdjęcie. No, to ja właśnie chciałem skorzystać z tego słońca i że dobre światło i poprosić szanownych państwo dyrek...

– Chciał pan pewnie zrobić wspólne zdjęcie? – domyślam się wreszcie, zwłaszcza kiedy dostrzegam, że pani Lusie rusza z obu następcami tronu w naszym kierunku – pewnie z panem... panem Maksem, co... żeby już było naprawdę wspólne?

– Nie. Maksa nie będzie na tym zdjęciu – kuśnierz powraca do konspiracyjnego szeptu – Maks wyjechał dziś rano. Zostawił mi tego aparata, bo jemu w drodze on na nic, a mnie, a... Józkowi w przyszłości może się przydać. Nie chcieliśmy z Lusią brać, ale on się uparł, że i tak przez dwa lata siedział nam na karku, no, sami państwo słyszają co za głupota, przecież mógł siedzieć do kiedy chciał. Ale się uparł. I pojechał.

– Ale dokąd i po co? – znowu nie wytrzymuję – przecież mógł tu...

– On się bał – szepce mi w samo ucho pan Auer wspinając się na palce – ale Lusie idzie!

– Maryś – odwracam się do żony i teraz ja zaczynam konspirować. Mrużę to jedno oko to

drugie, stroję głupkowate miny, żeby skierować Marię na spotkanie pani Auerowej, ale widzę, że moje migi nie mają żadnego sensu, bo Maria nic z tego nie rozumie. Zrozpaczony nachyliam się do ucha żony i szepczę akurat tym samym tonem jak to przed chwilą czynił Auer – Maryś, zatrzymaj na moment panią Lusię, chcę sam pogadać przez chwilę z panem Aronem. Sam, rozumiesz?

I oto moja pani natychmiast dostraja się do naszej konspiracji. Wychodzi naprzeciw niebezpieczeństwu. Na domiar wszystkiego pan Auer przychodzi jej z odsieczą. Unosi znów ku górze aparat i wskazując nań pokrzykuje po swojemu to znaczy cichutko – w stronę pani Lusi.

– Przy... przynieście mi statywa. Jest w drugim pokoju, za szafą.

– Co przynieście? – nie rozumie pani Auerowa.

– Oj, przecież krzyczę – niecierpliwi się pan kuśnierz – statywa! Za szafą! Józku, pokaż mamuni statywa! Słyszysz?

– Zaraz będzie statywa – rozstrzyga natychmiast najmłodszy z sąsiadów – chodź Tadziki! Mamunia nie – odpycha matkę dość bezceremonialnie. Ja sam... my z Tadzikiem... zaraz przyniesiemy.

– Co znaczy mamunia nie – obrusza się pani Lusie – widzi pani dyrektorowa, co ja mam z tym... z tym Józkiem – próbuje groźnego tonu matka, ale mówi to głosem tak matczynym, jak gdyby kto grał na flecie posmarowanym miodem. Patrzą spod oka na ojca, ale i jemu wyjaśniały oczy, gdy patrzy na syna.

Zresztą w tej samej chwili Józku znika w drzwiach kuchni ciągnąc za sobą opierającego się dla fasonu Tadzika.

Ależ oni muszą kochać tego jedynaka – przebiega mi przez myśl. Na szczęście w tej samej chwili przyłapuję się na tym, że przed sekundą oboje z Marią gapiliśmy się tak samo na naszego Tadzika. Dokładnie w ten sam sposób. Dlatego w samą porę przypominam sobie o tajemniczym tonie pana Auera.

– Mówi pan, że szwagier się bał? – odzywam się trochę chyba za głośno, bo sąsiad rzuca niespokojne spojrzenie za siebie. Ale ganek jest pusty. Widać obie panie ruszyły w głąb mieszkania Auerów, tropem najmłodszej generacji. – Kogo się bał?

– Co znaczy kogo? – pan Auer patrzy na mnie jakbym mu język pokazał – Ich. Hitlerów. To pan, ja przepraszam, doktor, dyrektor, człowiek od nauki nie wiesz co się tam dzieje?

– Ale u nas? Tu. W naszym kraju, w naszym mieście. Na Wagilewicza? To chyba pan

niepotrzebnie się denerwuje. Rozumiem, po takim nieszczęściu ma pan prawo do wszystkiego, ale tam jest tam, a u nas jest u nas, panie Auer, niechże pan powie wreszcie, o co chodzi?

– Już powiedziałem – odzywa się po chwili kuśnierz znękany głosem. – Maks się bał. I pewnie już teraz będzie się bał zawsze, przez całe życie, po tym oo tam widział i przeżył.

– Ale dlaczego stąd wyjechał. I dokąd?

– Panie dyrektorze... bardzo pana szanuje, ale pan wie swoje, a on, Maks Weimann, swoje. A wyjechał gdzieś, nie wiem, nawet nam nie powiedział, gdzie.

I ja go o to nie pytałem, bo ja na swój głupi rozum tak sobie myślę, że jego sprawa przed swoim strachem uciekać. Dlatego pojechał. Właśnie dziś rano, a ja... ja nawet go nie odprowadziłem na dworzec.

– Nie chciał?

– Nie chciał. Pojechał i już. Jak mu wyjdzie tak jak myślał to napisze do nas. No i dobrze.

– A czym był pański szwagier. No, czym się zajmował?

– Co znaczy czym był? – odzywa się nagle zniecierpliwionym tonem Auer – dentysta. Zwykły dentysta. Ja wiem, że dentysty żaden normalny człowiek nie lubi, ale żeby aż tak! A co im zawiniła Elka! Pomagała mężowi w pracy, no wie pan dyrektor, robiła te odlewy zębów z gipsu dentystycznego, czy ja się znam na tym? Nie. A jak się morduje niewinnego człowieka to też się trzeba na tym znać – Auer nagle odwraca się ode mnie plecami i uderza bezradnie, płasko ręką w żelazną poręcz balustrady. Raz, drugi, dziesiąty.

– Przepraszam, panie sąsiedzie – dotykam po chwili jego ramienia – chciałem o coś pana zapytać – nie, nie – dodaję natychmiast widząc, że Auer kręci głową przecząco, ja... chciałem w sprawie tej... tej leici...

– Co? – kuśnierz odrywa się szybko od balustrady i przygląda się ze zdumieniem trzymanemu w ręce aparatowi, jakby go ujrzał pierwszy raz w życiu.

– To bardzo dobry aparat – powtarzam z naciskiem, jakby mi tylko o to chodziło. – Znam się trochę na fotografowaniu, a pan mówił, że ma wbudowany samowyzwalacz. To bardzo chytrze pomyślane, o i dalmierz! – chcę mu wyłuskać z dłoni aparat, ale pan Auer natychmiast przyjmuje reguły gry, już się uśmiecha, widać że trochę za dużo go ten uśmiech kosztuje.

Ale mimo to, wygląda już trochę lepiej i odsuwa moją dłoń.

– No właśnie – oświadcza spokojnie, jak gdyby tylko czekał na powrót do zwyczajnej rozmowy – to aparat do fotografii mało... małokalibrowej...

– Raczej małoobrazkowej – mówię mimochodem – 35 milimetrów, tak?

– Pan wszystko wiesz, panie dyrektorze – wpada w dawny ton kuśnierza. Już jest znowu panem Auerem sprzed godziny. Sięga ręką do kieszeni, ale zaraz ją cofa – myślałem, że wziąłem, ale widać zostawiłem w domu te... te... takie fabryczne... Instruktion... Maks mi zostawił, razem z aparatem... to warto przeczytać... tak, u nich do wszystkiego są takie... instrukcjony. To przecież taki już kraj i takie ludzie, że jak już coś robią, to już musi wszystko grać. Wszystko. Bo na wszystko jest Instruktion... pan rozumiesz, panie dyrektorze – Instruktion. Na takie leici, na ludzi, na chodzenie, na jedzenie...

– Panie Auer – ściskam ramię kuśnierza – spokojnie.

– Pro... proszę? – odzywa się pan Axon zachrypniętym głosem – Spokojnie?

– Żona nadchodzi. I pana syn. Ze statywem.

– Żona – chrząka pan Auer raz i drugi jakby mu nagle coś bardzo w gardle zawadzało – o czym to ja... no właśnie. No i patrz pan, ze statywem... Józku – co to ja mówiłem – A, o tej... o tej instrukcji... mówiłem, że ją zostawiłem w domu – dodaje już znowu spokojnie, to nawet się bardzo ładnie nazywa... czytali my to z Makssem... zaraz, zaraz, aha: Gebrauchsanweisung.

– Sposób użycia.

– No, proszę. Znowu pan dyrektor wi! – kiwa głową Auer. – Właśnie. To tam jest napisane, że jest... że jest możebność wymiany obiektywa. Moжебność jest, ale innego obiektywa ni mam. Za to film do tego aparata idzie perfo-ro-wa-ny – to... to znaczy, mówił Maks, że przez te dziurki przepycha się cały... film do aparata. Pstryk i kawałek filma, pstryk i... i tego...

– Taśma filmowa? Oczywiście – wtrącam niebacznie – klatka po klatce.

– Tak. Przecież mówię, że taszma – niecierpliwi się pan Aron – i, i... no, i klatki. Pan naciskasz na guzik a sprężyna sama panu te dziurki przesuwają.

I aparat już jest znów fertig. Do nowego zdjęcia. Pan rozumiesz, panie dyrektorze, tak, jak... jakby pan strzelał z pistoletu automatycznego... – urywa nagle i przyciska aparat do piersi, ale ja tym razem brutalnie wyrywam mu go z ręki.

– Przecież mówię, że to świetny aparat – huczę gniewnie, jakby mi rozum odebrało – pan pozwoli, panie Aronie, że go sobie obejrzę dokładnie. O, i futerał elegancki, zaraz, zaraz, tu powinna być śrubka, jest! Widzi pan?

– To od statywu – odpowiada jak echo kuśnierza. – Pod spodem...

– Właśnie. Wykręcamy śrubę i już można wkręcać aparat na statyw. Tadzio, co z tym

statywem?

– No widzisz pan – ożywia się Auer – już by się pobili. Józku, dawaj tego statywa i puszcz kolebę, bo ci mamunia przyłoży.

– Już, tata, to on sie bije! Puść! – wrzeszczy piegowaty dryblas Auerowy o wyraźnie za dużych rękach i nogach. Przy nim oczywiście mój Tadzio, też nie od macochy.

– Tadeusz! – Puść Józka!

– Ón mie nie czyma – odgryza się Auerek – ón czyma te nóżki od statywa. Niech ón je zostawi to ja zaraz przytaskam tatusiowi statyw!

– Tadeusz, słyszałeś? – interweniuje. – Zostaw go i chodź tutaj – Mario, zrób z tym porządek!

– Masz, weź se to – Tadeusz ze wstrętem odsuwa od siebie statyw i zwraca się w moją stronę – ale nie mówi się czyma tylko trzyma. Pani w klasie wciąż go poprawia – wskazuje głową na Józka. – A on swoje: czyma i czyma. Prawda, że się nie mówi? – Tadeusz wyraźnie adresuje to do mnie.

– Nie, nie mówi się „czyma” i nie mówi się też „weź se to”, słyszysz, Tadzio?

Ale mój synal milczy jak przeklęty królewicz. Widzę tylko, że czerwienieje i patrzy na mnie jak na zdrajcę. Za to Józku za moimi plecami wybucha takim wrzaskliwym śmiechem, że w progu kuchni wykwita natychmiast zaniepokojona pani Lusja. Ale my z panem Auerem już tkwimy przy aparacie, już przymierzamy statyw do leici z takim zapalem, że Józku natychmiast zapomina o śmiechu. Już jest przy ojcu, już widać jego zadarty nos pod pana Aronowym łokciem.

Tadzio po minucie decyduje się darować mi mój nietakt ojcowski i powolutku, krok za krokiem podsuwa się ku nam. Po sekundzie już w cztery nosy nachylamy się nad ósmym cudem świata.

– Co wy tu za awantury wyprawiacie – czuje, na ramieniu rękę Marii – cała kamienica wyleciała na ganek. Wszyscy myślą żeśmy się pobili.

– Nic, nic. Pan Aron chce nam zrobić wspólne zdjęcie. Ma śliczny aparat. Zagraniczny. No i oglądamy go.

– Kogo, pana Arona? Przecież go znasz – szeptem mi perfidnie w ucho Maria.

– Aparat! – odwracam się oburzony. – Ale Marii już nie ma. Odplynęła do kuchni. Jakże. Niedzielny obiad.

– Nie wstyd ci, Józku. Taki gwałt robić na cały dom. Co te państwo z dołu sobie pomyślały? A pan gospodarz! – pan Aron przypomina sobie nagle o ojcowskich obowiązkach, bo istotnie, nasze przygotowania do wspólnego zdjęcia wzbudziły spore zainteresowanie całej chałupy – zerkam za balustradę i widzę w przekroju aż do parteru nasze codzienne audytorium niemal połowy kamienicy. Wikta z pierwszego piętra faszeruje najnowszymi informacjami parę osób żeńskiej proveniencji, za którymi widzę dwie błyszczące łysiny, pana Rudla, właściciela domu, lustrującego bacznie cały ganek naszego piętra i pana Oleszkiewicza, emerytowanego inspektora gazowni przechylonego przez barierę i wskazującego właśnie na mnie, jako że w tym momencie również wytknąłem głowę za balustradę. Cofając się szybko dostrzegam jeszcze ruch na podwórzu, na którym rozrasta się w oczach liczna rodzina dozorczy. Wszyscy zadzierają głowy w górę. Brakuje tylko widzów z parteru, ale oni w tej chwili pewnie będą jedli obiad albo już go zjedli i wyszli na spacer. Zresztą drugą część parteru i tak zajmuje aż do rogu pracownia pana Sokółki, Alberta Sokółki. W niedzielę wyjeżdżają już z rana do Zimnej Wody i niestety nie będą brali udziału w naszym południowym spektaklu. Dobre i to.

...a nie robić publike na całe kamienice – słyszę w tej chwili resztę pouczeń ojcowskich, ale wyciągałem właśnie leicę z futerału i muszę jej poświęcić całą uwagę. Sprawdzam po kolei te wszystkie wbudowane cuda, wyzwalacz migawki, obiektyw, siłę światła – nie ma co, to istotnie aparat dużej klasy. Jeżeli go tylko nie rozniesie „w proch i pył krzyżacka zawierucha” – cytuję sobie bezmyślnie słowa poetki – myślę oczywiście o niepohamowanych rękach Józka, a pewnie i Tadeusza, czekających tylko na sposobność dobrania się do tych wszystkich kółek i sprężynek tkwiących w brzuchu leici. Ale niestety, niedobrze mi się wtedy pomyślało na tym ganku, w samo południe.

Strach pomyśleć, jak niedobrze.

W tej samej chwili dostrzegam na spodzie aparatu jakiś napis a raczej cyferki. Wygrawerowane czy co – przybliżam aparacik do oczu. Tak, to istotnie cyfry, pewnie znak fabryczny, chociaż w tym miejscu, na zewnątrz, raczej się nie umieszcza znaku fabrycznego – dumam, mrużąc to jedno to drugie oko, jakbym stroił miny do tej leici. Ale coś przecież te cyfry znaczą? I teraz już widzę dokładnie, że nikt ich nie grawerował. Są po prostu wyryte ręcznie czy wyrzezane jakimś ostrym narzędziem, scyzorykiem czy dłutkiem, nie fabrycznie. 17 – 6 – 37. Co by to mogło być? – mówię na głos i opamiętuję się natychmiast, słysząc sam siebie. Ale już dochodzi do mnie zatroskany falset kuśnierza.

– Pan coś mówił? – panie dyrektorze?

– Po prostu – odpowiadam trochę za szorstko – nie wiem, co oznaczają te cyfry.

– Cyfry? Co znaczy cyfry? – brwi pana Auera wyrażają taki bezmiar zdumienia, że muszę mu wyjść naprzeciw.

– Tutaj, na stopce aparatu.

– Rzeczywiście – kręci głową kuśnierz. Coś takiego, patrz Józku – zwraca się do syna, co ma ten skutek, że teraz oni obaj z kolei zaczynają przymierzać się oczami do nieszczęsnych cyferek. Są przy tym tak do siebie podobni, że o mało nie wybucham śmiechem.

– Proszę. Niech pan spojrzy. O, tutaj, widzi pan – podsuwam leicę Auerowi pod nos. Widzi pan: siedemnaście, kreska, sześć, kreska. I trzy i siedem. 1937.

Zgadza się?

– No, coś takiego – pan Auer ustawia sobie leicę pod światło mrużąc oczy i posapując cichutko – stimmt... na końcu stoi jak byk: trzydzieści siedem.

No i jak to sze stało, że ja tego nie, że ja tego nie zobaczyłem jak my z Maksem robili zdjęcia. Ale prawda, nie mogłem widzieć, bo ja robiłem z ręki, a tylko Maks wyjmował aparata z futerału kiedy przykręcał go do statywa. A potem już sam nie odkręcałem, bo po co? Nie? Dopiero teraz... Ale żebym ja nie zauważyłem – kręci głową i patrzy na mnie z wyrzutem, jakbym to ja był temu winien. Nagle odwraca się ku synowi, który przygląda się nam kręcąc głową zupełnie jak ojciec.

– Zobacz, Józku, ty masz młode oczy. Co tu widzisz?

– Szedemnaszcze, szeszcz i czy i szedem...

– To ja sam wim – wpada mu w słowo ojciec – ale co to może bycz? No? Wołaj mamunie!

– Ale mamunia tu stoi. Po co wołacz?

– Aha, Lusia, pozwól tutaj. I oto pani Lusia „pozwala tutaj”. Wysuwa się zza moich pleców i oddziela mnie doszczętnie od męża.

Słyszę tylko jej głos.

– Stało się co, Aron? Pewnie Józku coś nabroił?

– Żaden Józku, zobacz tu, na aparata.

– A mamunia to zawsze na mnie – dorywa się do głosu chłopak – tato, powiedz cosz.

– Cicho bądź. Pacz tutaj Lusia, co” tu napisane. Ja myszle, że to Maks.

– Co znaczy, Maks? Mówisz, że napisane. Pokaż.

Aha zaraz, zaraz, to – słyszę po sekundzie przerwy głos pani Aronowej – to jest dzisiaj.

– Jak?

– Przecież mówię: to jest dzisiaj – klaruje spokojnym głosem pani Lusia – siedemnasty czerwca i dzisiejszy rok, trzydziesty siódmy. Tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy. Tego tu nima, ale to się rozumi.

– Jak może być dzisiejszy rok? – podrywa się kuśnierz – czekaj, pozwól... no, odsuń sze, pan słyszy panie dyrektorze? – widzę jak pan Auer przebija się w moim kierunku przez okolice swojej małżonki – pan słyszy, co ona mówi?

– Oczywiście, pani ma słuszość – przyglądam się jeszcze raz cyferkom na podstawce leici.
– To po prostu dzisiejsza data. Mnie to też nie przyszło do głowy.

Przecież dziś mamy właśnie siedemnasty czerwca. I rok się zgadza.

– To ja już wim – śmieje się pan Auer triumfująco – to musiał napisać Maks, zanim nam podarował te leice. Wiedział już kiedy wyjedzie, że to ma być dziś, i napisał. No i wyjechał. Tyle, że nam nie powiedział o tym... o tej dacie, bo... bo pewnie nie chciał żeby my wiedzieli kiedy ma jechać. Żeby... żeby co, Lusia?

– Żebyś go nie odmawiał od tego – odzywa się tym razem bardzo cicho pani Lusia. Ledwie ją słyszę. – Ale co my tyle o tym... po co nudzisz pana dyrektora. Miałaś robić zdjęcie, to rób, bo słońce zajdzie, a... pani dyrektorowa ma już na pewno obiad.

– To ja przepraszam, ale tak jakos... zagadałem pana dyrektora... – sąsiad podreptuje po ganku zaafierowany – dawaj tego statywa – natyka się nagle na syna przysłuchującego się całej scenie z wyraźnym zadowoleniem – już robimy to zdjęcie, co? Może... może by pan dyrektor poprosił panią dyrektorowa?

– Co? A oczywiście – opamiętuję się – zaraz poproszę.

– To ja polecę po mamę – nawija mi się pod łokciem Tadeusz – żeby zaraz przyszła, tak?

– Leć sokole! – gładzę rozczochraną czuprynę syna, co zwykle czynię z dużą przyjemnością gdy tylko zdarza się okazja. Nie mam ich jednak za dużo, bo Tadzio, jak każdy rycerz w jego wieku, cholernie nie lubi takich oznak męskiej słabości. Za to go szanuję dodatkowo, oczywiście, nie mówiąc mu o tym. No i o czym to się zamyśliłem stojąc w pełnym słońcu na tym ganku. Ale tak to bywa z rodzicami. Pamiętam do dzisiaj każdą z tych minut, choć nic się więcej wtedy nie stało, o czym warto by pamiętać. Tyle tylko, że zaraz nadbiega Maria, trochę spłoszona, bo nie zdążyła się uporać z fryzurą, jako że do zdjęcia. Ale już pan Auer obskoczył nas fotograficzną

opieką, już porozstawiał nas w malowniczych pozycjach, upozował przy balustradzie i jedynym krześle porwanym w ostatniej chwili przez Marię z naszej kuchni. To krzesło zresztą pozostało na zdjęciu puste, bo żadna z pań nie chciała się zgodzić na zajęcie w nim miejsca. Pan Aron uwinął się tymczasem na drugim końcu ganku ze statywem, do którego wkręcił leicę, coś tam przykręcił i prztyknął, przymrużył oczy, spojrzął jeszcze raz w wizjer i odskoczył jak oparzony od statywu. W ułamku sekundy dobiegł do nas, odwrócił się ku aparatowi z uśmiechem dorobionym po drodze i nie wiadomo dłaczego przykląkł tuż przy swoim synu, który stał z krają i pilnował miejsca upatrzonego dla ojca. W tym momencie usłyszeliśmy cichy trzask samowyzwalacza i w ten sposób przeszliśmy do historii. Właśnie tak: z tym pustym krzesłem pośrodku i panem Auerem w przyklęku.

Dlatego dzisiaj, po latach wyrudziałych przecież nie od słońca, latach, które położyły swoją ogromną patynę na tym kartoniku – bardzo rzadko zaglądam na ten ledwo widoczny ganek, z ledwo widocznym słońcem, bo natychmiast zaczynam dorysowywać nieobecne na tym zdjęciu postacie, wypełniać puste miejsca w wyblakłej przestrzeni. Wiem, że tylko z Tadeuszem mógłbym jeszcze posprzeczać się o to, kto, gdzie i jak stał wtedy na tym ganku minutę przed trzaskiem samowyzwalacza. Pewnie i dzisiaj nie byłbym sięgnął do tego kartoniku, gdyby nie fotograficzne hobby mojego niezrównanego wnuka, Zbysia.

Ale między tym, co dzisiaj wymyślił Zbyszek, a tamtym zdjęciem, stało coś, czego nikt wymyślić nie mógł. Ani wtedy, ani dziś. I właśnie dlatego nie mogę sobie wciąż poradzić z tą całą historią. Wciąż jeszcze nie mogę.

A przecież udało się panu Auerowi to zdjęcie jak nigdy. Wszystko się wtedy pomieściło w tym niemieckim obiektywie. I nasza szóstka i kawałek balustrady i te promienie słoneczne odrzucające nasze cienie i cień balustrady na mur i nawet kawałek spokojnego błękitu rozjarzonego czerwcowym upałem, nieba widocznego w prześwicie ogrodów i podwórek dotykających się po sąsiedzku łokciami na zapleczu kamienic przy Wagilewicza. Jeszcze przez dwa lata i dwa miesiące było to niebo spokojne. Czekały nas jeszcze trzy takie same jak dzisiejszy – czerwce i dwa zwyczajne wrześnie, bo trzeci...

Przez ten czas niewiele się zmieniło na naszym piętrze. Tyle, że panu Auerowi przeszła jakoś fotograficzna żarliwość. Za to parę razy widziałem Józka parującego z leicą, zwłaszcza podczas wakacji. Tadzia też nie chciałem zanadto o to dopytywać, miałem zresztą dość swoich kłopotów, archiwalnych i życiowych. Maria straciła swoją dorywczą zresztą pracę korektorki

w „Kurierze”, a ja musiałem odstawić płatną robotę przy kwerendach dla kilku instytucji naukowych, gdyż sam zabrałem się dość ostro do własnej habilitacji.

Skutkiem tego trzeba było po raz pierwszy zrezygnować ze wspólnych wakacji spędzanych zwykle na wsi, tyle że Tadzia wyprawiliśmy szczęśliwie raz i drugi na kolonie do Horyńca z całą szkołą.

Trzeciego roku przed próbą wyjazdu na krótki choćby urlop przestrzegły mnie prognozyki sąsiadów, zresztą nie tylko Auerów, ale i Oleszkiewicza z pierwszego piętra, a także pana Alberta, introligatora z parteru, u którego zdarzyło mi się w lepszych czasach oprawiać skrypty i książki. Tego roku jakoś żaden z nich nie wybierał się na urlop. Zwłaszcza z rodziną.

Taką samą decyzję podjęli Auerowie, zresztą o ile wiem po krótkiej rozmowie pani Lusi z Marią na sławetnym ganku, tyle że wieczorową porą. I tak jakoś nie wybraliśmy się nigdzie. Ani oni, ani my. Cała Wagilewiczka siedem jakby wstrzymała oddech. Wszechwładny niepokój zaczął ogarniać wszystkie nasze dzienne i nocne sprawy. Od komunikatów radiowych do rozmów ulicznych i od przyciszonych, żeby dzieci nie słyszały, rodzinnych biuletynów przekazywanych z ust do ust wieczorową porą czy przed zaśnięciem – do trwożnych suplikacji w przepelnionych kościołach. Coraz częściej nawiedzał nas ten niepokój, z dnia na dzień ogromniejący, z dnia na dzień coraz bardziej podszyty przeczuciami nadsięgającej grozy. Niepokój – groza istnienia – niedobry druh człowieczy.

Tak nas dopadł ten wrześnieowy grom, tak nas dognały żelazne pięści bomb. Ciosy z jasnego nieba runęły ze straszliwą bo obojętną furią – na całe miasto od dachów do piwnic i od klatek z kanarkami wystawionych na słońce i kotów wygrzewających się na przymurkach do ludzi śpieszących do pracy, od wózka mleczarza wciśniętego wraz z koniem w zrujnowane okna sutereny na placu „Kopytkowym” koło dworca aż po trzy, rozerwane na sztuki kobiety ze Sołonki wchodzące do miasta od strony Pohulanki, z koszykami nabiału i „zielonego” czyli warzyw – wszystko trzeba było dokładnie przeżyć, skrupulatnie odmierzyć każdym uderzeniem własnego oszalałego serca, po to, żeby wystarczyło jeszcze na następne sekundy, godziny, a jeżeli się uda, to do końca wojny, a jeżeli się jeszcze bardziej uda, to na zawsze. A przecież wszystko razem trwało jedenaście minut. Myślę oczywiście o pierwszym nalocie, bo potem przyszły inne. Wiele, bardzo wiele innych. Ale żaden z nich nie był już pierwszym, nawet wtedy, kiedy podczas jednego z nich, parę lat później, odeszła od nas Maria. Dziwne, bo nawet Tadzio, świadek śmierci matki, tak samo to przeżył.

Powiedział mi kiedyś, że było to tak, jakby się zdarzyło komu innemu, nie tak, jak historia z Józkim.

I tego właśnie nie mogę pojąć. Do dzisiaj nie potrafię tego zrozumieć.

Na razie zdążyliśmy oprzytomnieć tylko na okres paru tygodni. Dopiero znacznie później, po historii z leicą, zaczęliśmy na nowo liczyć lata. A jeszcze później przyzwyczailiśmy się znów do wartościowania przynajmniej niektórych spraw, które warte były zapamiętania. Ale na razie przyszła pora na rezygnację Marii ze smakołyków niedzielnych podtykanych mnie i Tadziovi. Teraz wystarczyć musiały ziemniaki, dobrze jeżeli czymś okraszone. Tadziovi, a przez niego wiem, że i Józkowi uciekło z przed nosa liceum, jako że obaj właśnie ukończyli podstawówkę. Również i moja praca w archiwum skończyła się z dnia na dzień, „zwurdziła się”, jak to się u nas mówiło. Pewnego pięknego poranka wygarnął nas zza biurka czarny archanioł nowego porządku, w mundurku prosto z igły, z oficerskim kordzikiem u boku. Na szczęście nie zainteresował się ani moimi sukiennikami z XVI-wiecznej Szkocji, ani pracami innych kolegów. Po prostu nie przewidywał dalszego ciągu tych spraw w archiwum, które właśnie przejmował w asyście swojego kordzika. My zresztą też nie. Ho, ho, ani nam się nie śniło. Zresztą już po dwóch tygodniach absolutnego bezrobocia udało mi się przy pomocy dobrych krasnoludków otrzymać kawałek fizycznej pracy przy rozbiórce dwóch stratowanych bombami domów w sąsiedztwie. Zarobek niewielki i mało atrakcyjny („cegłą się nie najesz”), ale Ausweis murowany. Dosłownie i w przenośni. Starłem sobie do krwi ręce przy tych cholernych ceglach, ale w jakim towarzystwie! Krasnoludki jednak wciąż nad nami czuwały, bo oto niemal natychmiast po wyburzeniu do imentu owych nieszczęsnych domów – ocknąłem się jako pełnoprawny inkasent miejskiej elektrowni, z Ausweisem co najmniej tak samo ważnym jak poprzedni. Praca jak praca, majątku się w niej nie dorobiłem, ale umożliwiała mi ona utrzymywanie kontaktów, na jakich mi bardzo zależało. Z Tadziovi doszło do nowych zmartwień. Z ciężkim sercem skierowałem go na tajne nauczanie. Z początku konspirowaliśmy obaj przed Marią.

Tadzio wynalazł sobie nowego kolegę przy Wincentego Pola, to znaczy niemal w sąsiedztwie, jako że pierwsze komplety odbywały się właśnie tam. Poruczono mi prowadzić na nich wykłady z historii, ale oto nie co innego ale właśnie te nasze wspólne z chłopakiem znikania z domu naprowadziły moją najmilszą na ślad tej konspiracji. Jedyne co mogłem w tej sprawie uczynić, to przenieść wykłady historii do naszego mieszkania, co bynajmniej Marii nie uspokoiło. Potem komplety trzeba było przenieść gdzie indziej i na inne godziny.

Zastrzelili nam ucznia, który nie chciał się zatrzymać na wezwanie „strajfy”. Wraciał z kompletu i nadział się na patrol facetów w żelaznych kapeluszach. Chcieli go zatrzymać, bo im się nie spodobał z niewiadomych przyczyn. Witek próbował wskoczyć do przejeżdżającego tramwaju, ale kule „strajfy” były szybsze. Nie wiem do dzisiaj, jakim sposobem udało się nam obu z Tadzikiem ukryć ten wypadek przed Marią. W każdym razie od tego czasu nie tylko ona drżała, gdy Tadzio z obojętną miną sięgał po płaszcz, żeby „podskoczyć na godzinkę do Staszka. Mamusiu, przecież na Pola to tylko parę kroków!”. Zawsze wtedy, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, podchodziłem szybko do okna, nie żeby sprawdzić czy spokojnie wyszedł, ale żeby nie widzieć utkwionych we mnie oczu żony. Tym bardziej wtedy, kiedy i mnie wypadło wyjść z domu.

A wypadło nieraz i to bynajmniej nie w interesach miejskiej elektrowni. Przecież wiedziałem, że zostawiam Marię jeszcze bardziej samotną niż zwykle. Bo nawet na Auerów nie mogliśmy liczyć. Z pewnością było im ciężiej niż nam, chociaż wciąż jeszcze pozwolono im mieszkać na Wagilewicza. Pewnie dlatego, że po staremu kroił czy zszywał tym razem wojackie kożuchy u siebie w domu, bo dla wygody firmy, oczywiście niemieckiej, taszczył te zszywki jak dawniej na Teatralną. Przez cały ten czas spotkałem go tylko raz w bramie i to wtedy, objuczony jak zwykle jakimiś baranami, opowiedział mi zdyszczanym szeptem, że na razie wszystko dobrze, że pozwolili mu tutaj pracować na ausweisie firmy i że – to wypowiedział z największym przejęciem, swoim zwyczajem wprost do mego ucha, że ciągną go do getta. Aha, i że może pracować z Józkiem. – Czasem daje mu pare kożuchy, niech nosi – mamrotał gorączkowo – niech sze nie nudzi.

Bo Lusia by go już nie utrzymała w garści, a ja, pan mie znasz, kogo ja bym w garści utrzymał?

– A rzeczywiście, dawno nie widziałem pańskiego chłopaka. Dlaczego nie zajrzy do nas? Ani nikt z państwa.

– Panie dyrektorze – przerywa mi szybko – czy to dzisiaj czasy, żeby „zajrzyć” do kogo?

– Albo robić zdjęcia na ganku. W słońcu, co, panie? To on, niepokoi Aronie? – uzupełniam mimo woli. Ale pan Auer się nie uśmiecha.

– Przecież... słyszałem – szepce, przerzucając tobół z futrem na drugą rękę – słyszałem, że państwu tyż ciężko. Jak w takie straszne czasy utrzymacz dziecko w ryzach. Chociaż z Józkiem ni mam żaden kłopot.

Szedzi w domu jak zamurowany i co pan powiesz, rysuje. Albo nam tylko tak mówi. Niech robi co chce, grunt żeby szedział w domu, mówi Lusia. I dobrze mówi. A do państwa to ón by sze nie wybrał, ja wim za żadne skarby świata. Taki sze zrobił od kiedy zamknęli getto. Dziki jakiś. Czasem jak popatrzy, to mie samego strach bierze, panie dyrektorze. Ja myszle, że ón już nie dziecko. Że jemu już przeszło dzieciństwo.

Myszle, że ón już starszy ode mnie i od nas, starszych.

Ón chyba... czy ja wim... ón chyba musi prędzej żyć od nas w takich czasach. Co, jak pan myszli?

– Ktoś kiedyś mądrze powiedział – próbuję się wykręcić od odpowiedzi – że „każdy musi sam urosnąć, choćby miał ojca nie wiem jak wysokiego” – panie Auer.

– Tak – odzywa się po chwili kuśnierz – każdy?

Może. Ale tylko wtedy o wiele mu pozwolą wyrosnąć, panie dyrektorze. Prawda? Przecież pan tyż ma dziecko. To jak pan myszlisz?

– Staram się panie Aronie nic na ten temat nie myśleć. Wiem tylko, że jak u pana, przychodzą na mnie takie chwile, że nie mamy sobie z Tadeuszem nic do powiedzenia. Rozumie pan? Stajemy przed sobą i bardzo chcielibyśmy wszystko sobie powiedzieć, i co?

Nikt z nas nie mówi ani słowa. I rozchodzimy się jak Obcy.

– A widzisz pan, panie dyrektorze, sam pan widzisz kto z nas ma racje. To z czym ktosz od nas ma do państwa przychodzić? Ze swoje bide? Za swoje nieszczęście? A wy macie go mało dla siebie? Pan nie uwierzysz, ale jak ja czasem Józka zabiram ze sobą, żeby mnie pomógł nosić te skóry, to ón, znaczy Józku, zarzuci sobie te baranice na głowę i jakby rozumu nie miał, idzie tak przez cały czas. Aż na Teatralną. A potem czeka na nowe skóry i znowu zarzuca je na siebie, żeby tylko go ludzie na ulicy nie widzieli. I co pan na to?

– Albo po to, żeby on tych ludzi nie widział, panie Aronie – odpowiadam po chwili.

– A przecież... a przecież... – zaczyna jeszcze Auer, ale zaraz milknie.

– Co?

– A jakie to byli wesole chłopaki, jakie zbijaki straszni, pan pamiętasz panie dyrektorze jak óni razem do spółki rozwalili ten wazon na klatce schodowej, o tu, nad nami – wskazuje ruchem głowy półpiętro przy zakręcie schodów. – A dlaczego rozwalili? Z samych zbytków? Nie. Pan najlepiej wiesz, panie dyrektorze.

Z radości rozwalili. Ze szczęściem, że są takie młode, i z tego że czuli, że są młode. Co óni

dzisiaj czują, co óni dzisiaj... – pan Auer urywa w pół słowa i szybko rusza schodami w górę, bo drzwi nad nami trzasnęły a en pewnie wie o tym, tak samo jak i ja, że na pierwszym piętrze nasz gospodarz musiał odstąpić swój najładniejszy frontowy pokój z osobnym wejściem jakiejś pani, pracującej w niemieckim kasynie na Pohulance.

Widać pan Auer nie chciał z nią rozmawiać na temat chłopców, których nie łatwo wychować w dzisiejszych czasach – bo tylko skinął mi głową i niemal pędem pobiegł w kierunku podwórka. Ja też wymknąłem się na ulicę. Wołałem nie sprawdzać kto schodzi z góry.

I tak się skończyło moje najdłuższe podczas wojny spotkanie z panem Auerem. W bramie domu numer siedem. Ale świadkiem ostatniego spotkania z Auerami stała się parę tygodni później cała nasza kamienica.

Choć wszystko zaczęło się oczywiście od nas, to znaczy na drugim piętrze.

Tego dnia wróciłem z pracy trochę wcześniej, tylko po to, żeby zjeść a raczej przełknąć parę kęsów tego, co Bozia dała do garnka, a Maria wyczarowała, żeby jako tako smakowało. Resztę inkasenckiej roboty miałem zamiar załatwić po południu. Tadzio oczywiście był w domu. Od jakiegoś czasu przestał uganiać przedpołudniami „do kolegów”. Zagadnięty przeze mnie w sprawie Auerów odburknął jakoś, że spotkał Józka tylko raz czy dwa w klatce schodowej czy przy zsypie i za każdym razem Auer zbył go byle jak, jakby tamtych parę lat w tej samej ławce w szkole i na Wagilewicza przestały się liczyć. – A w środę, tak, tej środy, w samo południe – Tadzio odtajał na chwilę – wyszedłem akurat z kuchni na ganek z dywanikiem, tym z przedpokoju, mamusia prosiła, żeby go powiesić na poręczu.

I w tej samej chwili zobaczyłem Józka jak wybiegł od siebie z wiaderkiem. Pewnie do zsypu, ale gdy mnie zobaczył, skoczył z powrotem do kuchni, mało tego wiaderka nie rozwalił. Swirka dostał, czy co? Co ja mu zrobiłem? Obrazili się chyba o coś czy jak? Ale przecież tak rzadko – Tadeusz marszczy brwi – tak mało z sobą gadamy... a zresztą nie to nie. Pies go drapał.

Nie trza piasku, gęsty barszcz!

– Tadeusz! – tym razem ja się chmurzę – co to za gadanie – próbuję interweniować, ale widzę zmrużone oczy mojego syna i od razu poznaję jak dokucza mu ta drzazga z tego ostatniego spotkania z Józkiem na ganku. I wiem też, że to mrużenie oczu w chwilach zawziętości Tadeusz ma po mnie, a ja, gdy tylko zaczynam o nim w ten sposób myśleć, zaraz mięknie jak masło. Tylko na chleb mnie smarować. Więc i tym razem kapituluję.

– Jesteś pewny, że Józku pogniewał się na ciebie? – pytam po chwili obojętnym tonem.

– A czemu dał dęba z ganku?

– Może on z nikim nie” rozmawia, co, pomyślałeś o tym?

– Proszę? – twarz Tadzia nie wygląda w tej chwili za inteligentnie. – Z nikim? Jak to?

– Może on z nikim nie chce rozmawiać, Tadeusz?

Przecież wiesz, co się dzieje na świecie. I dokoła nas.

I nie w mówisz we mnie, że nie masz do tych spraw ani oczu ani uszu. A o Auerach wiesz, nie dlatego, że to nasi sąsiedzi, ale że cała kamienica nimi się interesuje. Po cichu, ale jednak... Tylko ty jeden nie, co?

Choć Józku to twój szkolny kolega. A może myślisz, że jemu i jego rodzicom grozi tylko to, co nam każdego dnia. I jesteś pewny, że tak jest, bo przecież mieszkają w tym samym domu i na tym samym piętrze co my? Że to, że my jesteśmy Rybiccy, a oni Auerowie – nic dzisiaj nie znaczy? Pomyśl o tym chłopcze, pomyśl. Lepiej, żebyś sam do tego doszedł niż z moją pomocą, choć cię uczę na kompletach historii starożytnej a wspólnie prywatnie i codziennie uczymy się obaj dziejów nowożytnych. Nie najlepsze one są, ale musimy ich się uczyć z tego samego podręcznika. Bo innego nie mamy, a nowy się jeszcze nie ukazał. Obyśmy tylko tego doczekali. Ale na razie, stary – trącam go poufale w ramię, bo wiem jak to lubi – na razie spróbuj pomyśleć o Józku. I to inaczej niż przed chwilą. Fajno?

Zresztą chyba niepotrzebnie się martwimy – dodaję szybko, widząc nadchodzącą z kuchni Marię z garnuszkiem zupy na tacy i serwetkami. O tych serwetkach nie zapomniała w najgorszych czasach. A takie właśnie nadeszły. Ale ja w złym momencie wypowiedziałem te słowa o niepotrzebnym zmartwieniu. W fatalnym.

– O czym mówicie? – Maria przygląda nam się uważnie, rozlewając zupę w talerze. – Pewnie o Auerach?

– Co? – obaj z chłopakiem uciekamy spojrzeniami w kłęby pary i poczynamy przełykać pierwsze łyżki gorącej zupy. Obaj też równocześnie sięgamy po kromki ościstego chleba przygotowane przez te same opiekuńcze ręce. Jemy tak zajadle, jakbyśmy głodowali co najmniej przez cztery wojny. Ma to tylko ten skutek, że Maria przysiada na brzeżku krzesła i zaczyna się teraz przypatrywać obu nam równocześnie. Nie wiem jak ona to robi, nagle zaczynam wyczuwać każdą słomkę sterczącą w erzacowym chlebie. Patrę na syna, ale on odkłada łyżkę i unosi głowę takim ruchem jakby nadśluchiwał. Nagle podrywa się z krzesła.

– Co się stało? – mimo woli przestają jeść. Nie podoba mi się twarz Tadeusza. Podchodzi do

okna na palcach, zaciskając wargi. Nagłym ruchem uchyla firankę.

– Uwważaj! – szepta żony podrywa i mnie na nogi.

– Ciężarówka pod naszą bramą. Szwaby!

– Odejdź w tej chwili od okna, Tadeusz. Janek, powiedz mu co!

– Dwóch czarnych, nie, trzech, i jakiś cywil, niech tatuś patrzy – Tazio przyciąga mnie chytrze do siebie i teraz już obaj widzimy, co się dzieje na dole. Jeden z tamtych patrzy na nas, może nie na nas, ale podniósł głowę w czarnej furazerce i wodzi ślepiami po naszych oknach. Odskakujemy obaj.

– Oni przyszli po kogoś – słyszę jeszcze głos Tadeusza i już biegnę do sypialni. W biegu rzucam twardym głosem – jakby co, ja otworzę. Wy siadajcie przy stole. Niech Pan Bóg broni do okna albo do drzwi. Już wracam, tylko coś sprawdzę.

– Janek! – słyszę zza drzwi głos żony. – chodź tutaj.

– Już! – wołam odsuwając gorączkowo nocny stolik a potem trzy znajome na pamięć parkiety w narożniku podłogi. Teraz nachylam się nad nimi. I już zasuwam je z powrotem. Jeszcze tylko stolik na miejsce i znów tylko ja wiem, że nic się nie zmieniło z tego, co tam tkwi pod podłogą. Aktualnie: paczka „Biuletynów”, ściśle – trzydzieści osiem egzemplarzy, a pod spodem moje notatki jeszcze z archiwum i te nie z archiwum. Można już wracać do pierwszego pokoju. Po drodze słyszę chamski, komiśny tupot podkutych żołdackich buciorów. Są już chyba na zakręcie schodów. Wychodzą na nasz podest. Tupot przed drzwiami. Chwila ciszy – jakbym widział te wściekle ślepia zbliżające się do naszych drzwi. Jeszcze sekundy. Staram się nie patrzeć na oboje najdroższych mi Rybickich przywartych do brzegów stołu. Za moimi plecami czuję te ślepia wbite, wszczepione w nasze drzwi. Czytają! Tak, nawet czytać potrafią, przecież to nie ślepia zwierzęcia.

I nagle cisza pęka. Czyjeś pięści grzmocą w drzwi.

I jeszcze raz. I jeszcze! I wrzaski: Aufmachen! Dopiero w tym momencie uświadamiam sobie że to nie do naszych drzwi i robaczywa, paskudna smużka radości przebiega mi przez pierś. To nie do nas! I nic mi nie wstyd. Co za człowiek ze mnie.

Na szczęście nie ma czasu myśleć. Za drzwiami wybuchają wzmożone okrzyki, potem chwila ciszy i nagły, przeciągły skowyt, jakby ktoś psa uderzył. Czy Auerowie mają psa? Czy nie mają? – przebiega mi nagle przez myśl – jak właściwie jest z tym psem? Nie, zwariowałem chyba – próbuję się opamiętać, kładę palec na ustach i patrząc na Marię wskazuję wzrokiem

zasłuchanego Tadeusza. Żona skłania głowę, że tak, że rozumie i chce jeszcze coś powiedzieć, ale ja już jestem w przedpokoju, już zamykam za sobą dokładnie drzwi, już przylegam okiem do wizjera. Widzę na wpół otwarte drzwi do mieszkania sąsiadów. Właśnie w tej chwili wybiega z nich jakiś cywil objuczony futrami a za nim jeden z czarnych. Kiedy zbiegają w dół schodami widzę, że to nie Auer. A więc jest jeszcze w mieszkaniu. Odsuwam bezszelestnie zasuwkę i odchylając połówkę drzwi wychylam się za próg. „Żeby tylko Marii udało się zatrzymać Tadzia. Żeby tylko...”

I właśnie w tej chwili z drzwi naprzeciwko wysuwa się, nie wierzę oczom, pan Auer we własnej osobie. Widzę, że mnie dostrzegł, i widzę też, że maszeruje swoim drobnym kroczkiem w moją stronę. Usuwam się, żeby go wpuścić do mieszkania, ale pan Aron przystaje i uśmiecha się tak, jakby chciał mnie przeprosić za to, że nie, że nie wejdzie, jakby, czy ja wiem, jakby nie miał czasu. Coś mi się jednak nie podoba w jego schludnym zawsze wyglądzie. Oczywiście. Rękaw, cała górna część rękawa jego marynarki – oderwana wraz z podszewką. Dobrze, że nie z ręką! – myślę, jakbym rozum stracił. Ale w tym samym momencie widzę strużkę krwi sącząca się spod jego włosów na samym brzegu łysinki.

– Panie Aronie, rany boskie, co się dzieje? – sięgam do kieszeni po chustkę, ale sąsiad przytrzymuje moją rękę w żelaznym uchwycie. Nigdy bym nie przypuszczał, że kruchy pan Aron ma tyle siły. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i widzę, że chce coś powiedzieć, że próbuje otworzyć usta, że chce, za wszelką cenę, chce coś powiedzieć, ale kilka razy odwraca głowę ku swoim drzwiom, jakby się bał, że nie zdąży.

– Co oni... – zaczynam, ale Auer przerywa mi ruchem ręki. Tej, z oderwanym rękawem w marynarce.

– Óni! Przyszli! – zaciska usta „ikby za wiele powiedział. W tej chwili suchy krótki trzask, jakby ktoś, czy ja wiem... jakby ktoś z całej siły rąbnął w drzwi pustej szafy. Szafy?! I to chyba w mieszkaniu Auerów.

Pan Aron zamyka oczy i kuli się jakby dostał w twarz.

– Widzimy, że przyszli, ale czego chcą? – potrząsam ręką kuśnierza, bo już nie mogę patrzeć na jego przeraźliwą twarz. I oto Auer otwiera oczy.

– Przyszli po nas – mruczy – mamy... powiedzieli że musimy, że musimy – poprawia się, jakby tylko o tym myślał, żebym wyraźnie słyszał jego każde słowo – że musimy iść z nimi.

– Do getta, czy jak? – Przecież macie przepustkę.

Ma pan dobry Ausweis i przepustkę na miasto z pozwoleniem pracy tu, u siebie w domu? I co się u was dzieje? Meble łamią. Rewizja?

– Rewizja też. Ale óni przyszedli po nas. Nie... nie wiem czy do getta, może gdzieś... dalej. A Ausweisu już ni mam, przepustki już ni mam, i pozwolenia też już ni mam.

– Jak to?

– Ten ich... oficer czy co, bo nie w mundurze. Ón w takie kurtki i w butach – oficerkach. To ón wyrwał mi z ręki te wszystkie papiery. I podarł je na szmatki. Nawet ich nie czytał. Powiedział, że to szajs i rzucił na podłogę. W kuchni. Na podłogę – powtarza jak automat. – Pewnie tam jeszcze leżą. A o Maksie też wie – dodaje nagle.

– O jakim Maksie? – pytam zaskoczony.

– Pan dyrektor nie pamiętasz? Maks. Maks Weimann. Szwagier z Berlina. Mąż od naszej Elki. Jego leicą robiliśmy w trzydziestym siódmym zdjęcia. Z samowyzwałaczem! – wygłasza z naciskiem, jakby to Wyło najważniejsze w tej chwili.

– Przecież on wyjechał od was kiedy to... jeszcze właśnie w trzydziestym siódmym.

– Teraz, jak tylko wpadli, zaraz zaczęli pytać o Maksa. Nie o mnie, nie o Lusie, ale o Maksa Weimanna. Z Berlina. Skąd mogli wiedzieć o nim? Przecież w całej kamienicy nikt...

– Wystarczy, że był meldowany, panie Aronie.

– Meldowany – powtarza Auer jak nakręcony. Widać, że mnie w ogóle nie słucha – óni nic, tylko o Maksa... Że mieszkał u nas przez dwa lata. I gdzie ón jest teraz. Żeby gadać zaraz, bo óni już same wszystko wiedzą, a tam gdzie nas... gdzie nas zabierają, to i tak im wszystko powimy.

– Co?

– Tak powiedzieli – powtarza z naciskiem Aron, choć widzę, że jego oczy są już samą rozpaczą – że óni i tak wiedzą wszystko. I ja wiem, że wiedzą. I wiedzą też, że ja im powim, gdzie ón jest teraz. Bo tego jednego nie wiedzą.

– A pan wie? Panie Aronie, przecież pan też nie wie.

Sam mi pan kiedyś mówił, że pan nie ma pojęcia co się stało ze szwagrem. I co pan im powie? – patrzę przez sekundę na Auera, ale zaraz odwracam wzrok. Nie potrafię już spojrzeć mu w oczy. Kto by zresztą potrafił.

I w tym samym momencie czuję jak mi serce podchodzi do gardła. Widzę obok swoich stóp parę lśniących lakierowanych butów. Podnoszę głowę. Tak. To on, ten cywil. To jego właśnie widziałem przed chwilą z okna jak wyskakiwał z szoferki tej ciężarówki przed naszą kamienicą.

W sportowej kurtce z lodenu, ściągnięty w pasie jak osa. Z odstającą od boku kieszenią. Można się założyć, że ma w niej ukryte kopyto. I to nie mauzer, ale jakiś ciężki kaliber. Pewnie luger, albo jeszcze gorsze świństwo. I teraz właśnie on stoi tu przy mnie, nie wiem, podkraśl się do nas jak kot, czy co za cholera.

Stoi, ale patrzy nie na mnie tylko na kuśnierza. Widzę z bliska jak mu szczęki grają, jak ogarowi kiedy poczuje zdobycz. Pewnie poczuł krew Auera, bo nagle rzuca okiem na własną rękawicę. Elegancką, irchową. Ale ja widzę, że chyba też spryskaną krwią. Teraz już wiem wszystko. Skąd mogło mi przyjść do głowy, jak bardzo się myłę.

– Was machst du hier, Jude! – słyszę głos tamtego, cichy, ale wyraźny. I zaraz po polsku: – kto ci pozwolił wyjść z domu? Kto pozwolił uciekać do... – tu kose spojrzenie na mnie – do sąsiada, co? Ach – unosi brwi z wyrazem zdumienia. – To pewnie tylko taka mała... taki mały Spaziergang. Spa-ee-rek – sylabizuje, jakby z wysiłkiem czytał z kartki – naa... so was!

I w tej samej sekundzie pan Auer dostaje w twarz.

Ordynarnie. W pysk. Aż echo klaszcze w pustej sieni.

Nagle i niespodziewanie, bo mu głowa odskakuje do tyłu. I zaraz cywil zaczyna ściągać z dłoni tę podwójnie skrwawioną rękawiczkę. Czyni to długo i z tak wyraźnym obrzydzeniem, że zaciskam zęby, żeby nie krzyknąć. Na szczęście tamten bardziej zajęty jest rękawicą niż nami oboma razem, ściąga ją wreszcie z ręki i odrzuca ze wstrętem za siebie, przez ramię. Ma przy tym taką minę jakby odrzucał skorpiona. A do tego ja ani przez chwilę nie wierzę, że mu nie żal tej irchowej pięknotki. Pewnie ją za chwilę każe tamtemu gemeinowi podnieść z podłogi, bo krew się przecież łatwo pierze.

– Spacerok! – przypomina sobie nagle przybysz odstawiając swój numer z rękawiczką. – Ja! Zaraz zabierzemy was na spacerok. Sofort.

W tym momencie zza jego pleców wyłania się twarz w czarnej furazerce. A nie mówiłem, że gemein. Ale ten nachyla się ku cywilowi i podaje mu coś, czego w pierwszej chwili nie mogę dostrzec. Dopiero gdy kurtkowiec odbiera to coś na rzemieniu od czarnego i zarzuca sobie na ramię, widzę, że to aparat. Tak. To chyba ta leica. – A może to właśnie jej szukali, może po tym śladzie przyszli do Auerów? – przelatuje mi przez myśl, ale zaraz przepędzam ją od siebie. – Co za brednie. Chociaż... – Widzę szeroko otwarte oczy Auera i już sam przestaję rozumieć co się dzieje. Ale nowy właściciel leici odprawia czarnego ruchem głowy.

Gemein pręży się aż mu w tyłku trzeszczy, zawraca na pięcie, kopnięciem nogi wywala

drugą połówkę drzwi do mieszkania Auerów i już po sekundzie wypycha dobrotliwymi szturchańcami z przedpokoju na klatkę schodową samą panią Auerową. O ile mi wiadomo, z domu Spiessbach, – myślę jak idiota, bo nic innego mi nie przychodzi do głowy. – Z domu...

Teraz pewnie wyprowadzą Józka – powoli zaczynam logicznie porządkować fakty – żeby się tylko nie stawiał – zdążyłem jeszcze pomyśleć i natychmiast słyszę przenikliwy krzyk pani Lusi. Z początku tylko sam krzyk, ale zaraz wyłania się z niego imię:

– Józku! J-óó-ż-k-u-u! Gdzie jest mój syn! – pani Lusie zwała się ciężko na brzeg balustrady schodów i dostrzega nagle męża. – Aron! gdzie Józku! Gdzieś podział syna, Aron!

Na ten krzyk wybiega z mieszkania Auerów drugi czarny, ale nawet nie patrzy na krzyczącą. On ma oczy tylko dla swojego cywila. Jego krótki ruch głową wystarczy. Koniec żartów. I już dobrotliwy blondyn wraz z kolegą dobierają się z dużą wprawą do pani Lusi.

W mgnieniu oka odrywają ją od balustrady i żwawym chwytem posyłają po schodach na półpiętro. Zanim przestała krzyczeć zdążyli już obaj powrócić i równie nieomyślnymi pchnięciami spuszczać za nią jej męża, kruchego jak szkło, pana Arona. Oczywiście żaden z nich nie liczy się z ogromną obfitością pani Lusi ani z piórkową wagą jej męża. Kto by też liczył stopnie schodów, po których spuścili oboje. A za zakrętem balustrady wszystko już idzie gładko, wypróbowaną metodą kopniaków i pokrzykiwań nakładających się na lamenty pani Auerowej. – Żeby choć przestała krzyczeć. Kiedyż wyprowadzą Józka – przyłapuję się na tym, że gapię się jak urzeczony w rozwalone drzwi naprzeciwko, ale czuję w tej chwili, że ktoś bezceremonialnie trąca mnie w ramię. – Sehen Sie, Herr... HerrNachbar – widzę, że cywil już zdjął z ramienia aparat, odkręcił śrubę futerału i wyjąwszy z niego leicę przygląda się jej ze ściągniętymi brwiami. – O tu, niech pan patrzy – trąca mnie znów – przecież to leica. Echt deutsche Firma. I ten tu... Inschrift... napis -podsuwa mi pod nos te nieszczęsne cyfry, które znam na pamięć: 17-6-37. – Na ja, alles stimmt – prostuje się nagle i przygląda mi się uważnie swoimi zaczerwienionymi ślepiami chorego kota, w których tańczy utajona furia. Patrzy tak, jakby rzeczywiście wszystko wiedział o mnie i o tym, co mnie łączy z tymi cyferkami Maksa. Czuję strużkę zimnego potu spływającą mi po plecach. Ale cywil znów nachyla się nad aparatem i mruczy ostrym szeptem, chyba po to, żebym i ja dosłyszał: – Już musiał, jüdischer Lump, majstrować przy tym aparacie. Pewnie chciał go zniszczyć, albo... po coś to napisał schmutziger szajgec, nie wie pan czasem, po co? – Wpiera znów we mnie te cholerne gały i nie czekając odpowiedzi odsuwa mnie niecierpliwym gestem. – Wie heissen sie eigentlich?

– nachyla się nad moim ramieniem ku wizytówce na drzwiach. – Ach, Herr Doktor, fiu – gwizdże przez zęby – doktor! Jan, das heisst, Johann Ry-bi-ki – sylabizuje mi do ucha. – Naa, wissen Sie Herr Doktor – nie może jakoś, sukinkot, strawić tego doktora – wissen Sie, ten... ten scheissbube, jego syn nie chciał mi oddać tego... Apparata. Trzymał i nie puszczał.

Nie darł się, nie wrzeszczał – zaczyna nagle najczystsą polszczyzną – tylko trzymał mocno, z całych sił te leice, a nawet zaczął się szarpać. Ze mną! Ten... ten... dieser Scheisskerl!

– A... a co... gdzie ten... ten chłopak? – zaczynam się jąkać. Chyba zwyczajnie dostaję pietra, jak prosty tchórz, co z tego, że z tytułem doktora. Ze strachu wszyscy jękają się tak samo. Tylko nie jestem pewien czy to z powodu tego lugera w jego kieszeni, czy przez to, że nie da się spokojnie patrzeć w te źbiczę ślepiea, chore z nienawiści. Nie na moją wytrzymałość te oczy.

I chyba z tej przyczyny zaczynam się jąkać. Nic na to nie poradzę. Zaciskam zęby, żeby nie usłyszał jak dzwonią. Psiakrew! I oto nagle, na siłę, na przekór wszystkiemu otwieram gębę i powtarzam, słowo po słowie, wyraźnie jak niemowa uczący się mówić: – Ale gdzie ten chłopak? Czemu go nie wyprowadziliście z nimi?

I to jest wszystko, na co mnie stać w tej chwili.

Tamten patrzy na mnie z tak wyraźnym zdumieniem, że mimo woli prostuję się jakbym poczuł w swojej ręce dłoń Tadeusza.

– Wie? Co pan mówi? – cywil ledwie otwiera wciąż zaciśnięte usta. Bardzo mu się nie chce rozstać z własną furią. Ale ja już jestem spokojniejszy. Tym razem nie będę się jękał. Niedoczekanie twoje, draniu!

– Co z tym chłopcem? Mit diesem Bube? – pytam po prostu. I chyba dlatego mi się udaje.

– Was für ein Bube? Jaki... Bube? Aa, ten chłopak... od tej... od tego Apparat. – A no, nie chciał mi go oddać. A przecież, pan doktor chyba rozumie – patrzy na mnie ze zgniłym uśmiechem – jakże on mi mógł go nie oddać, co? Taki szczeniak. Ale przecież nie będę się z nim bił. Z żydowskim gówniarzem.

I wtedy Heinrich, to ten blondyn, którego pan widział przed chwilą, domyślił się o co chodzi i... i przytknął go ze swojej FN. On zawsze ma przy sobie taki pistolecik. Dla dyskrecji. Huku z tego prawie nie słycać, a swoje robi. Taki niewinny kaliberek, 6,35. Nie zna pan 6,35 mm Kaliber? Choć wy w tej wojnie używaliście trochę cięższych Visów, 7,65 – nieprawdaż? Ale pan doktor pewnie w wojsku nie był. I na tej wojnie, co? Ale te małe FN bardzo dobrze pracują. A Heinrichowi ten kaliber znowu się przydał. Pac! Jakbyś muchę stuknął. Tyle, że krew trysnęła

nie na niego, ale na moją rękawicę. Bo Heinrich chwycił leicę. Nawet ta gruba Żydowa, no... matka, w kuchni nic nie usłyszała.

A tatele tego Icka na pewno nie. Gdzie tam, taki był zagadany z panem... doktorem – znów uśmiecha się zjadliwie – a prawda – chowa troskliwie leicę do futerału – co panu miał ciekawego do powiedzenia ten... jak mu tam... Auer, że aż uciekł z własnego mieszkania? I to podczas rewizji.

– Nie wiem – odpowiadam ze ściśniętym gardłem.

– Właśnie wyszedłem na próg. Musiał to zobaczyć przez otwarte drzwi.

– I przyszedł? Do pana, tak?

– I przyszedł do mnie – powtarzam jak echo – przecież to parę kroków.

– So was... – mruczy cywil i przewiesza znów leicę przez ramię. – No i widzi, pan, panie doktorze, wreszcie niemiecki produkt w niemieckich rękach – znów rzuca okiem na mnie i uśmiecha się po swojemu, widać nie bardzo spodobał mu się wyraz mojej twarzy. – Ale czym się pan przejmuje, Herr Ry-bi-ki?

Przecież to was nie dotyczy... Mam nadzieję – dodaje, wpierając we mnie swe białe ślepia. – No, na mnie już czas. Pewnie ta gruba Żydowa już się za mną stęskniła, nicht wahr, Herr doktor? A ja muszę jeszcze nakazać waszemu... dem Hausmeister... no... dozorczy, muszę mu nakazać sprzątnąć mieszkanie tych, jakże, Auerów. I żeby niczego nie dotykał. Tylko sprzątnąć, nur reinigen...

– To... to znaczy... co sprzątnąć? – mamroczę, bo jakoś wydaje mi się, że się przesłyszałem.

– No jak to? Tego Żydziaaka. Ma go wynieść na dół, na ulicę czy jak i... i zakopać albo... zresztą to już jego sprawa. A mieszkanie... za godzinę albo dwie ktoś tu przyjdzie od nas, żeby opieczętować, nie? Ordnung muss sein. A pan doktor to tylko by się martwił. Lepiej niech pan wraca do siebie. Do domu. Zamknąć drzwi i nie wychodzić na próg... z byle jakiego powodu. Klar? Dobrze radzę! Also, gute Nacht! – unosi niedbale rękę z dyndającą na ramieniu leicą i nie czekając na moją odpowiedź odwraca się na pięcie i zaczyna zbiegać susami ze schodów, dudniąc buciorami jak rozhukany chłopiec. Można powiedzieć: dzieciak!

Tego już nie mogę słuchać. Wbiegam do domu, zatrząskuję za sobą drzwi, przekręcam w nich klucz i zasuwam rygiel, bo dopiero w tej chwili dochodzi do mnie prawdziwy sens tego chłopięcego hałasu w klatce schodowej. Biegnę przez przedpokój i wpadam do mieszkania jak burza, płosząc Marię, która odskakuje od okna.

– Co... co tam się stało u... Auerów? – chwyta mnie za rękę – z kim tak długo rozmawiałaś?

Tak się bałam, Janku. Tak się...

– Gdzie jest Tadeusz?

– Tadeusz? W kuchni. Prosiłam, żeby zagrzał wody na naczynia. Ale czemu...

– Wolę, żeby był przy nas – przerywam niegrzecznie.

– Dobrze, zaraz go poproszę – twarz Marii nagle blednie. Widać muszę niewesoło wyglądać, ale przecież w kuchni są drzwi na ganek, a z ganku... – biegnę za Marią do kuchni i wiem już wszystko. Drzwi na ganek otwarte, a Tadzio...

– Nie ma Tadzia! – widzę jej szeroko otwarte oczy, ale w tej chwili nie mam czasu na nic innego jak na to, o czym szepczę z okrucieństwem, przebiegając koło Marii:

– Wiem gdzie jest. Ale to ty miałaś go pilnować!

– Janek!

Ale ja już jestem na ganku. Teraz przez sień i w lewo ku rozwalonym drzwiom. Brnę przez jakieś wybebeszone szafy, sterty kolorowych sukni i obuwia rozrzuconego na podłodze. Przebiegam przez pierwszy pokój, już jestem w drugim i koło drzwi balkonowych...

...Koło drzwi balkonowych leży na podłodze jakiś spory tobołek z którego wystają na pokój dwie patykowate nogi z za wielkimi stopami. Zawsze je takie miał. To oczywiście Józku. A nad nim blady z wytrzeszczonymi oczami, napięty jak łuk – mój postrzelony Tadzio. Stoi tak wyprostowany i drżący pewnie od pierwszej chwili, gdy wszedł do tego pokoju i dostrzegł to, co dostrzegł. Ani nie drgnie, wpatrzony w leżącego. Twarzy Józka nie widać, bo chłopak leży z głową skrzyżowaną w przeciwną stronę niż ta, z której trafiła go kula. – Mały pocisk z Ef-Enki – przypominam sobie wykład cywila. Podbródek, lewa część szyi i połowa piersi – zbroczone krwią. To jest wszystko, ca Tadeusz musi zmieścić w swoich oczach, od czasu gdy tu wszedł.

Wszystko? Boże, o ileż za wiele.

W tej chwili widzę, że Tadeusz patrzy na mnie. Patrzy, ale nie poznaje. Dopiero za chwilę podbiega do mnie z wyciągniętymi rękami. Właśnie jak dziecko..

Przyciskam go do siebie na moment, tylko na ten krótki moment, żeby samemu nie krzyknąć. W swojej dłoni czuję jak wtedy, gdy patrzyłem w oczy cywila – rękę Tadzia, zimną, ale przecież żywą rękę mojego syna.

I jak poprzednim razem, właśnie ona, ta ręka, jej dziecięcy dotyk przywraca mi rozum.

– Idziemy stąd, Tadzio – szepczę mu do ucha – idziemy.

– Co? – podnosi ku mnie oczy. – A on? – wskazuje na ciemny kształt na podłodze.

– Zaraz... zaraz się nim zajmą.

– Jak to „zajmą”? Przecież...

– Na razie wracamy do mamy. Trudno, jemu już nie pomożemy, a mama... boję się o mamę, została sama w mieszkaniu. Musimy iść do niej – ciągnę obierającego się chłopaka przez oba pokoje ku wyjściu.

I nagle przypominam sobie, że sam zamknąłem frontowe drzwi przed wszystkim, co przed chwilą przeżyłem. Na cztery spusty zamknąłem. Ale nie wszystkie rygle bronią przed nieszczęściem. – Nie tędy, Tadzio, idziemy przez ganek.

– Nie tędy – powtarza Tadeusz i posłusznie skręca w stronę ganku, ale zaraz przystaje i chwyta mnie za ramię – dlaczego przez ganek?

– Bo... bo tymi schodami przyjdzie zaraz nasz pan Szymon.

– Dozorca? Po co?

– Pan Szymon musi... kazali mu uporządkować wejście do mieszkania państwa Auerów, a potem zamknąć drzwi.

– No to co? To dlatego musimy iść przez ganek?

– Tak, bo zaraz mogą tu przyjść Szwaby, żeby opieczetować drzwi. Chcesz ich spotkać?

– Co tato mówi – zaciska usta Tadeusz – ja? Ich spotkać? Niech ich zaraza spotka. Ale co będzie z Józkiem? Przecież on tam został? Jakże go zamykać?

– Już pan Szymon zrobi jak trzeba. Chodźmy, Tadzio – odciągam leciusieńko z futryny drzwi rękę mojego synka, który się w nią zaparł i popycham go przed sobą, bo cóż innego mogłem wymyślić. Tadeusz sunie przez ganek jak we śnie i nagle, tuż przed drzwiami do naszej kuchni, przystaje jak wryty. Niemal wpadam na niego.

– Tatusiu – odzywa się cicho, ale nie patrzy na mnie, jak to czyni zawsze, gdy coś przeszkobie – ale przecież teraz... – ty wiesz, kto z nich... który z nich go zabił?

– Co za różnica, synku – czuję, że znowu zasycha mi w gardle – zginął i już. A który z nich...

– Ale to był jeden z tych... z tych czarnych?

– Tak. Taki wysoki. Blondyn, w mundurze. Heinrich.

– Tatusiu, czy on, ten Heinrich, musiał zastrzelić Józka? Taki chłop, widziałem go z okna, najwyższy z nich i musiał strzelać do takiego jak Józku... dwa... niecałe dwa lata starszy ode mnie – Tadzio odwraca się nagle, ale gdy tylko chwytam go w ramiona, bo już nie mogę znieść

tego wszystkiego, czuję jak jego chude barki wiotczą w moich dłoniach, jak nagle zaczyna mi ciążyć w objęciach. I dopiero gdy zbliżam usta do jego twarzy słyszę te najbardziej wstydlive, widać najtrudniejsze dla niego słowa, jakie szepce teraz – I co... i co będzie, co to znaczy, że Józku nie żyje? Czy jak się nie żyje, to już na śmierć?...

Na szczęście w tej samej chwili otwierają się przed nami drzwi i Maria wyciąga ręce po swego syna, a potem po mnie. Ale ja wchodzę sam. Jestem przecież starszy od niego. Dopiero teraz dostrzegam zaciśnięte usta mojej żony i jej poszarzałą twarz. Oczu Marii nie widzę, bo w tej chwili ma je tylko dla swego jedynaka.

...I po co on przyniósł do domu ten aparat od Leszka. – Tadeusz odsuwa od siebie kanciasty brzeg rysownicy wpierający mu się w żebra i sięga po kolejnego rarytasa, ale zaraz odsuwa czerwoną paczuszkę. – Za dużo palę – mruczy niewyraźnie, ale doskonale słyszy sam siebie, nie ma obawy. Tylko jakże nie palić po takiej drace jaką urządził całemu domowi dzisiaj ukochany potomek – Zbyszek. Wielka nowina!

Że kolega dostał od ojca na imieniny leicę. I że tę leicę pan Wilczak kupił swemu juniorowi okazji, „za dwa koła”, jak się – kwieciście wyraził Zbyszek.

I cóż z tego, że taka okazja przytrafiła się panu Wilczakowi. Kupił ją od jakiegoś cudzoziemca, konkretnie Niemca – na Starym Rynku, zaraz za kościołem.

Oferta mogła się każdemu zdarzyć: tak a tak – ich brauche forsa, nehmen Sie diese leica, prachtvolles Werk. Nur zwei Tausend Zloty. Also schnell – i szybka decyzja – handel – pieniądze z rączki do rączki, milicjanta w pobliżu nie było i imieniny Leszka pan Wilczak ma z głowy. Dotąd wszystko gra – wzdryga się Tadeusz i sięga po papierosa i znów cofa rękę.

– Albo nie gra – mruczy z namysłem do siebie i przez moment przygląda się tępo modułowi budownictwa przemysłowego rozrysowanemu w rzucie poziomym. I co z tego, że rozrysowany? Nie: i co z tego, że z tą leicą wszystko grało do momentu gdy Leszek pochwalił się przed Zbyskiem tym podarunkiem imieninowym. Gdyby się chociaż na tym skończyło, gdyby ten fifak – Tadeusz oczywiście nie ma pojęcia, że w tej sekundzie uśmiecha się na myśl o sprycie swego jedynaka – gdyby ten fifak nie oczarował na amen swego najserdeczniejszego kumpla, Leszka, i nie wyłudził od niego nieszczęsnej leici na kilka godzin „tylko po to, żeby pokazać ją w domu, ojcu i dziadkowi, bo inaczej seniorzy nigdy nie uwierzą w taki cud”. Tak.

Gdyby! – na nieszczęście na tym się nie skończyło i leicę już w domu Rybickich obejrzał pobieżnie Tadeusz, potem, znacznie dokładniej – dziadek Jan, seniorzy, przy czym Tadeusz wcale

nie ma pewności, że Zbyszek w swojej argumentacji nie użył terminu „wapniaki”.

Nie. Takie biadolenie do niczego nie doprowadzi – Tadeusz ciężko wspiera się na stole, wstaje i podchodzi do okna. Ale okno też nie przynosi pociechy. W perspektywie kapryśne wiosenne południe z ledwie zaznaczonym zielonym wężykiem Plant na horyzoncie.

Z drugiej strony, to rzeczywiście niesamowita historia z tą leicą – inżynierowi przebiega przez głowę jakieś bardzo paskudne przypomnienie. Przymyka oczy i opiera głowę o szybę. Jej chłód na moment go opamiętuje. – Na szczęście – дума – jak dotychczas z całej rodziny tylko ojciec, ja i Zbyszek przeżyliśmy tyle w spotkaniu z tą leicą. 17-6-37. Kto poza nami trzema wie coś o tej złowroziej cyfrze? Najszczęśliwszy z nas jest Zbyszek. Zna jej dzieje tylko z naszych opowiadań, ale jego te sprawy nic już dziś nie obchodzą. Agnieszka też nic nie wie, a gdyby i wiedziała, to i tak dla jej trzeźwego serca byłaby to tylko nieproduktywna informacja z przeszłości. A to przecież już historia. I informacja. Do tego nie elektroniczna.

Może ja Agę źle osądzam z tą jej elektroniką, ale nie jest mi teraz lekko, zwłaszcza po tych Zbyszkowych rewelacjach, a Cesia... cóż, Cesia jest w Warszawie, broni tego „swojego” osiedla jak lwica i nic poza tym dla niej nie będzie istnieć, dopóki go nie obroni i nie „rzuci w pion”... No, dopóki go nie ustawi na ziemi, po której stąpa i nie wzniesie na solidnych fundamentach. Wiem przecież, jaka jest ta moja najdroższa małżonka. Gdzie jej do pookupacyjnych upiorów.

Tak więc wychodzi na to, że w całym klanie Rybickich pozostajemy na placu z tą leicową historią tylko my dwaj: mój ojciec i ja. I chyba tylko my dwaj musimy tę sprawę między sobą rozstrzygnąć na przyszłość. Może jeszcze ją uratujemy czy w jaki sposób spróbujemy przekazać najmłodszemu z Rybickich. Tylko w jaki sposób można przekazać cień?

Tak czy tak, czasu mamy niewiele. Zaledwie do końca tygodnia. Cesia wraca w niedzielę a po niej we wtorek – Agnieszka, z tego swojego pomaturalnego „obozu z elektroniką”. Co za zwariowana nazwa studenckich wczasów. Żeby nam tylko nie przywiozła jakiegoś elektronicznego faceta z tych wczasów, jak to się zdarzyło podczas tegorocznych zimowych ferii z tym kierownikiem „ścieżki zdrowia”. Ledwie jej zdołaliśmy go wyperswadować, bo Aga jak się uprze... więc i tym razem może się trafić nowy narzeczony. Ale by się Cesia ucieszyła!

Na razie więc prowadzimy się tutaj po męsku. „Nie ma niewiast w naszej chacie”, jak śpiewają w Moniuszkowskiej operze. Zresztą w domu też straszny dwór.

Jemy, czyli spożywamy posiłki w stołówce Polibudy i jak dotychczas, żyjemy.

Najtrudniej będzie chyba z ojcem. Ale trudno, nikt inny mi nie pomoże, muszę wracać do

domu. Zawsze tak wracam gdy mam coś na sumieniu. Tym razem to sprawa Zbyszka, ale jako ojciec mam obowiązek go bronić. Tego właśnie nauczył mnie ojciec. Cóż, starszy pan czeka, trzeba będzie znów sobie spojrzeć w oczy, chociaż dziś rano już po obejrzeniu leici obaj nie wiedzieliśmy co z sobą zrobić. A do tego w obecność Zbyszka, który patrzył na nas z takim zdumieniem jakbyśmy się obaj bobu najedli. W dodatku starszy pan uparł się, że wtedy... już po śmierci Józka powiedziałem coś, czego absolutnie nie pamiętam, a czego nie mogłem chyba zapomnieć. Ojciec może mieć wiele wad, ale gdy twierdzi, że tak wtedy powiedziałem, to widać musiałem tak powiedzieć i dziś już tego nie pamiętam. Po prostu nie mogło być inaczej. Bo ojciec już taki jest. I nigdy nie był inny.

A chyba ja wiem o tym najlepiej. Jak powiedział, to mur. Więc i tym razem nie mógł sobie niczego ubzdurać. I ja wiem o tym, bo to jest mój ojciec, ten starszy pan – Jan Rybicki.

A ja? Biorę z niego co chcę i kiedy chcę. Nigdy mnie nie wychowywał, przynajmniej nigdy dotychczas tego nie czułem. Nie tak jak mama. Nie udało mi się nigdy jej odmówić gdy czegoś ode mnie chciała. A chciała wiedzieć o każdym moim kroku, była o mnie zazdrosna w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. A ojciec?

Ojciec do dzisiejszego dnia robi wszystko, żebym tylko nie spostrzegł, że się interesuje moimi poczynaniami i dlaczego. A przecież nigdy nie chciał, żebym był jego kopia. Chyba dzięki temu różnimy się bardzo od siebie, choć mamy wiele, bardzo wiele wspólnych, powiedziałbym „Rybickich” grzechów na sumieniu. On popędliwy, często apodyktyczny, nieustępliwy, zawsze zawzięcie walczący o własną suwerenność, obserwujący siebie baczniej niż innych – ja spokojniejszy, lubiący patrzeć na tylne koła, choć nigdy asekurant, o czym Cesia mogłaby niejedno powiedzieć. On jadący prosto i szybko decydujący – ja, odwrotnie, lubię objazdy, byle tylko prowadziły do celu, nastrojowiec, marudny w decyzjach. Tak, tak, trochę o sobie samym jednak wiem, choć bardzo nie lubię się do tego przyznawać. Tacy to jesteśmy, my, Rybiccy. Albo raczej bywamy.

Bo od czasu do czasu potrafimy nie wiadomo dlaczego wyskakiwać daleko poza wyznaczony nam przez los margines ryzyka i wtedy wszystko to, co mi przyszło przed chwilą do głowy przestaje się liczyć, nie ma najmniejszego znaczenia. Jak to dziwnie kiedyś określił mój zdumiewający ojciec w jakiejś rozmowie na temat mamy, którą obaj pamiętamy równie żywo – wtedy jak powiedział ojciec – każdy z nas występuje na plac nagi, tak jak go Pan Bóg stworzył i tylko z mieczem w dłoni. I wtedy ostatecznie tylko miecz jest ważny. Bo i sytuacja musi być

właśnie taka – wymagająca ostateczności.

Niewiele razy w życiu zdarzyło mi się sprawdzić to dziwne ojcowe powiedzenie. Ale przecież parę razy sprawdziłem. Ja w okresie studiów, a i potem, kiedy nie miałem należycie zabezpieczających punktów o pochodzeniu w ankiecie personalnej – on, w okresie starania się o habilitację na Uniwersytecie Wrocławskim, oczywiście w swoim umiłowanym przedmiocie dziejów naszej kultury materialnej. Po jakimś WAŻNYM SPOTKANIU wrócił do domu i spokojnie zabrał się do penetracji własnej biblioteki. Gdy po trzech dniach gimnastyki na regałach książkowych zapytałem go – co z Wrocławiem, odpowiedział mi przez ramię, że się rozbudowuje i sądząc z frontowych ścian jest coraz piękniejszy. Od tego czasu nie poruszamy tej sprawy na mocy wzajemnej ugody. Aha, a habilitacji nie zrobił. Natomiast wydał parę książek, o ile wiem, liczących się w jego specjalności. Takiego mam ojca. I co najśmieszniejsze, wiem na pewno, że od samego początku nie miał najmniejszej pretensji do tych, którzy mu tę habilitację utracili. Widać musiał ich zaliczyć do kategorii latarni czy słupów ulicznych. No, było, przeszło.

On się do moich kłopotów podczas studiów też zanadto nie mieszał. To już był resort Cesi, którą wtedy poznałem. A ojciec ją jakoś akceptował, choć na początku bez entuzjazmu. Wiele spraw w tym okresie rozmyło się w rozmowach czy dyskusjach, choć na ogół każdy mówił swoje, bywało, że nawet równocześnie i tylko od czasu do czasu zahaczaliśmy z niejakim zaskoczeniem o wspólny motyw, który trzeba było obgadać w uporządkowanych dialogach.

Pamiętam jedną z takich rozmów, do której chyba nie wracaliśmy nigdy od jej premiery. Teraz jakoś mi się przypomina. Zgadaliśmy się kiedyś z ojcem, to chyba zaraz po moim dyplomie, wieczorem, u niego w pokoju – mieszkaliśmy wtedy jeszcze na Sławkowskiej, w takiej dziwacznej dwupokojowej mansardzie z kuchenką wydartą z części sionki prowadzącej do tych pokoików. Gdzie nam wtedy było do dzisiejszej kamieniczki z glorietskami przy Kanoniczej. Ale i tam, w tych maciupieńkich metrażach, zdarzały nam się rozmowy o znacznie większych formatach. Myślę, że dzisiaj chyba dlatego lubię powracać do tamtych naszych wieczornych rozmów i że dlatego najlepiej wspominam o nich tak, jak gdybym ja teraz sam sobie opowiadał – że do tych właśnie wieczorów, do tych spotkań cniło nam się każdego dnia, bo jestem z jakiegoś powodu pewny, że i ojciec do nich tęsknił, choć nigdy go o to nie pytałem. Po prostu czułem, że tak jest. Schodziliśmy się w tej swojej mansardzie w tych samych porach, długo łąziliśmy „po górach i chmurach” czyli między jego książkami i szufladkami pełnymi fiszek o Szkotach handlujących swoimi suknamy, naszym zbożem i potaszem i przy okazji

ruskimi futrami – a moimi projektami i bezczelnie rozrzuconymi grafionami, suwakami i krzywkami. Po kwadransie, po dwóch, schodziliśmy z tych egocentrycznych parnasów do wspólnych nam realiów, parzyliśmy z rozmaitym szczęściem herbatę, ułatwiającą trawienie cudzych i własnych myśli i dopiero wtedy przysiadaliśmy w nieoczekiwanym miejscu i czasie, po to, by pomilczeć na temat wspólnego ganku przy ulicy Wagilewicza, chłopaka zastrzelonego na ulicy przez żandarmów zaraz po wyjściu z kompletu tajnego nauczania, czy mamy wybiegającej z piwnicy pod spadający ze świstem topór bomby.

I wtedy już, po tych obowiązkowych przemilczeniach mogło ujawniać się to, co się w nas tajiło od godzin czy od lat. O ile pamiętam nigdy nie było inaczej.

Tego wieczora, o którym myślę teraz – zacząłem od profesora Nowickiego. Zresztą nie po raz pierwszy.

Ojciec znał profesora jeszcze sprzed wojny, pracowali razem społecznie, bodaj w Towarzystwie Szkoły Ludowej czy w Macierzy Szkolnej. Podczas okupacji był z nim w kontakcie w kolportażu „Biuletynu”. Wiedziałem, że był bardzo zadowolony gdy się dowiedział, że właśnie u niego robię dyplom inżyniera. Potem jeszcze raz zaciągnąłem moralny dług u Nowickiego, gdy dowiedziałem się, że to właśnie on ostatecznie dopomógł nam, mnie i Cesi w wysztyftowaniu tej zabytkowej bądź co bądź kamieniczki przy Kanoniczej, a potem, co dla mnie było znacznie ważniejsze, przyczynił się w znacznym stopniu do tego żeby ojciec zamieszkał w niej z nami, już po urodzeniu się Agi. Wiem jak bardzo mój senior ceni sobie niepodległość osobistą i tym więcej jestem wdzięczny profesorowi. O ile wiem po prostu spotkał ojca kiedyś w mieście, wziął go pod pachę, zataszczył na Kanonicza, obleciał z nim wszystkie komnaty, bo ani razu nie nazwał żadnej z nich izbą i ostatecznie pokonał starszego pana Rybickiego wszystkimi urokami barokowej architektury.

Dokonał tego, co nie udało się ani mnie, ani Cesi, bądź co bądź też architektorzycy, a przede wszystkim jego synowej. Już na drugi dzień senior naszego rodu wylądował w narożnym pokoju na pięterku wraz z wszystkimi larami i piernatami, a zwłaszcza z paroma tysiącami książek, niezliczonymi fiskami i kilkudziesięcioma tysiącami Szkotów ukrytych w tych fiskach. Cały ten majdan oczywiście rozproszdził w regałach osobiście już w ciągu tygodnia w swoim pokoju i dwóch korytarzykach łączących ten pokój z balkonem i resztą mieszkania. Wszystko to zawdzięczałem przede wszystkim profesorowi Nowickiemu. Ale wtedy, w tej mansardzie przy Sławkowskiej nie śniło nam się jeszcze o tej wiktorii profesora nad moim ojcem. Wtedy byłem

pewny tylko tego, że główną osobą, która w moim życiu odgrywa jakąkolwiek rolę poza ojcem – był i będzie właśnie profesor. Muszę co prawda przyznać, że nie brałem jeszcze pod uwagę Cesi. Ale to już inna historia, a wiadomo, że w historii obowiązuje taka już pragmatyczna reguła, że jednego człowieka nie można za wszystko winić.

Tak więc w czasie jednej z tamtych rozmów, która mi się właśnie przypominała, znów długo klarowałem ojcu o tym, co prawdopodobnie wiedział lepiej ode mnie – mianowicie o tym, czy jest... a raczej jak sobie wyobrażam to wszystko, co jestem winien profesorowi Nowickiemu. Mówiłem, trochę zresztą chaotycznie, dlaczego uważam go w jakimś sensie za wzór, cholera, trochę trudno mi było nie tylko wtedy, w tej rozmowie wykrztusić to z siebie, ale w końcu zdecydowałem się na to: a więc powiedziałem że profesor, to z mojego punktu widzenia człowiek, który stwarza wokół siebie dobro, nawet wtedy kiedy sam o tym nie wie. Oczywiście natychmiast dodałem, że zdaję sobie sprawę, że brzmi to trochę ewangelicznie, ale Nowicki był i jest dla mnie tym, kim ja sam chciałbym być, gdy dorosnę naprawdę, choć już w tej chwili jestem stary koń, i dodałem jeszcze nieśmiało, że chciałbym żeby to się stało, o ile Cesia na to pozwoli. Trudno, ale tak właśnie wyraziłem się wtedy.

I co przy tej okazji ojciec powiedział, choć wiem, że nie był to monolog (lubiliśmy obaj utrzymywać rozmowę raczej w formie dwóch monologów, niż jednego dialogu), otóż w tym wypadku nie była to wypowiedź o profesorze Nowickim, ale raczej na temat profesora.

Zatem ojciec... zaraz, zaraz, jak to ojciec wtedy powiedział. Pamiętam nie tylko o tym, co mówił, ale i jak wtedy wyglądał. Widać bardzo głęboko musiała zakorzenić się ta chwila w moich wspomnieniach, choć dzisiaj ojciec wypomnił mi, że nie pamiętam o czymś, o co zapytałem go już po śmierci Józka Auera. No nic, wrócimy do tego, panie doktorze. Wtedy, na Sławkowskiej siedział pan przy stole obok swojej półki z książkami. I teraz ja mógłbym zapytać czy pan pamięta, jak odsunął od siebie szklankę z herbatą, żeby mu nie przeszkadzała w myśleniu – bo ja to pamiętam, a potem sięgnął pan na półkę i wyjął z niej jakieś opasłe tomiszcze i zaczął je kartkować z takim zainteresowaniem, jakby pan nigdy do niego nie zaglądał. Dopiero potem zatrzymał się pan przy jakiejś stronicy i zaczął pan do niej mówić po swojemu, prawie po cichu. Przypominam: do niej, a nie do mnie, jakby pan jej te słowa powierzał, a nie mnie, swemu synowi, bądź co bądź – jedynakowi. Tak więc do dzisiaj zapamiętałem każdy szczegół. I co, jaką mam pamięć, panie doktorze? Doktorską czy inżynierską? Nie, nie, wcale się nie gniewam – Tadeusz znów sięga po rarytasa i tym razem zapala go z uśmiechem. Nie wiadomo do kogo ten

uśmiech adresuje, do doktora Jana Rybickiego czy do promyka majowego słońca, który w tej samej chwili zapala się na brzegu popielniczki. Inżynier gapi się przez chwilę na ten normalny cud, potem w okno, a nawet unosi na moment w krzesło, ażeby w tym świetle dojrzeć choć rąbek zieleni Plant majaczący na widnokręgu. Ale stąd zieleni nie widać. Tadeusz wzdycha leciuteńko i przysiada z powrotem. – Więc jak to wtedy, tato, przemawiałeś do tej książki:, – Są – tak dokładnie zaczęłeś – są ludzie-skały – ludzie-opoki – ludzie-kraj obrazy – można ich traktować jako kamienice, jako rzeki, nad którymi się pochylamy, jako źródła, z których czerpiemy wodę, gdy chcemy w drodze ugasić pragnienie. Można według nich regulować zegarki, albo też ustawiać własne życie.

Podstawą tego rodzaju stosunku do takich ludzi, to nie test ich autorytet – takie stawianie sprawy spłycałoby cały problem – ale to, że to my wierzymy w nich, że to my sami, dobrowolnie, wierzymy w to, że nas nigdy nie zawiodą, a nie w to, że nam dają przykład.

To zasadnicza różnica.

Patrzyłem tak na niego, gdy to mówił, raczej do tej książki, która przed nim leżała, niż do mnie – i nagle uświadomiłem sobie, że on właściwie mówi sam o sobie, bo od kiedy go znam, przez całe nasze wspólne przecież życie, zawsze taki był: prosty, ludzki, mądry i taki jakiś... do naśladowania, czy jak... W każdym razie zawsze tak o nim myślę. Nie na wynos, tylko dla samego siebie, pod siódmą skórą, ale właśnie tak. Autorytet profesora Nowickiego był dla mnie tylko pretekstem. Bo chodziło mi zawsze tylko o niego. O ojca. Nigdy mu tego nie śmiałem powiedzieć wprost. Byłby z pewnością wstrząśnięty moją opinią o nim. I chyba by mnie zrugął, jak diabeł kozę, bo lubił być szorstki kiedy chciał.

Tak to chyba jest, gdy się ma takiego ojca jak ja.

Nie dopasowanego do pochwał. Taki pozał się Boże wzór pełen niedoskonałości. Pewnie dlatego tyle o nim myślę, bo to trochę tak, jakbym myślał sam o sobie.

O trzech milionach moich wad, z których tak chętnie się rozgrzeszam.

I tak znowu się zasiedziałem, a o czternastej mam męski zlot w chałupie. Mecz: wapniaki – młode pokolenie. Trójka Rybickich przeciw samym sobie. Już rano mieliśmy małą próbkę tego co nas czeka. Zbyszek absolutnie nie mógł zrozumieć, dlaczego ma maglować swojego przyjaciela w sprawie tej... tego numeru 17-6-37. – Przecież Leszka nie było przy tym, gdy jego staruszek – przepraszam tatę – gdy jego ojciec, kupował ten aparat, to skąd ma wiedzieć jakim cudem leica wróciła do nas w niemieckiej kieszeni. I ojciec pewnie też nie wie, bo kto by tam

o to pytał w takiej podbramkowej sytuacji, gdy każdy przechodzący milicjant mógł się zainteresować tym, co się dzieje i kto kupuje trefny towar od cudzoziemskiego gościa. I to niemal u wrót kościoła. Wiadomo jak milicja nie lubi szargania świętości. Tak właśnie wyraził się mój ukochany jedynak. Strasznie lubi pyskować. Nie wiadomo co przyjdzie mu do głowy teraz, po południu. Cóż zatem!

– leciem do chałupy, panie inżynierze! – Tadeusz zerka na zegarek, zrywa się z krzesła i kilkoma nawykowymi ruchami wrzuca do szafki rulony szkiców rozrysowanych według modułu budownictwa przemysłowego. Niewiele ich dzisiaj przejrzał. Ale jak się już komu trafi taki zwariowany dzień jak dzisiejszy, to czegoż można więcej oczekiwać? Chociaż nigdy nie wiadomo, co wymyśli jeszcze taki syn, jak mój, Zbyszek, a cóż dopiero taki ojciec, jak mój. Jedyne wyjście, to samemu przejąć inicjatywę. Przecież Zbyszek musi zrozumieć... ostatecznie nie jest już dzieckiem, że...

... Więc musisz zrozumieć, Zbysku... ostatecznie nie jesteś już dzieckiem. – Tadeusz przystaje na środku pokoju, bo przyłapał się na tym, że biega za synem w jakiś śmieszny sposób od drzwi do okien i od lustra ku tapczanowi, jak gdyby bał się że jego słowa nie dojdą do synowskich uszu – musisz wreszcie zacząć poważnie traktować to, co się dzieje dokoła ciebie i co się do ciebie mówi, bo...

– Ale tata, przecież chyba to wiem...

– Nie. O to chodzi że wszystko mieszasz, do wszystkiego zabierasz się równocześnie, natychmiast zapominasz o wielu postanowieniach, na każdą sprawę patrzysz w jakiś dziwny sposób, zresztą to nie tylko ty.

Wy wszyscy, wszyscy twoi koledzy, których znam czynią tak samo jak ty, patrzą tak samo jak ty...

– To znaczy jak? – Zbyszek przystaje na moment w marszu, ale natychmiast rusza dalej, a ojciec za nim.

– No... jakby ci... – Tadeusz nagle zatrzymany w miejscu zbiera myśli, a kiedy rusza, jeszcze trudniej mu się skupić – to tak... jakby, jak gdybyś chciał... jak gdybyś potrafił ujmować wszystko w całości, od razu, syntetycznie czy jak, tylko po to, żeby za chwilę przejść do analizy każdego szczegółu tworzącego całość poprzedniego obrazu. W rezultacie i ty sam i wy wszyscy... oczywiście nie chcę, nie mam prawa tego zjawiska generalizować, ale na ogół wydaje mi się, że wszyscy wy, młodzi, macie w sobie za dużo tej... czy ja wiem., tej niecierpliwości, a może

niepokoju. I to wam musi cholernie utrudniać życie. Ale ty pewnie w ogóle nie rozumiesz tego, co do ciebie mówię w tej chwili, prawda?

– Czego nie rozumiem?

– Tej mojej... pogadanki wychowawczej – próbuje ironizować Tadeusz – tobie pewnie ani w głowie zastanowić się choć raz nad tym, co do ciebie mówi twój, jakby nie było rodzony ojciec.

– Proszę?

– Mógłbyś chociaż raz przez moment... przestań do jasnej Anielki tak łązić z kąta w kąt, bo dostanę zadyszki. Coś się tak rozbiegał?

– A bo... – Zbyszek zatrzymuje się wreszcie i przysiada na tapczanie – bo głodny jestem jak dingo, nic nie jadłem w budzie od śniadania, bo...

– Jak to nic? Sam ci zapakowałem. Chleb z masłem i z kielbasą. Nadwiślańską, podobno dobra.

– Skąd mam wiedzieć, musiałem Leszkowi odpalić, bo sam zapomniał wziąć z domu.

– Dlaczego musiałeś?

– Za ten wywiad. No, co tata tak patrzy. To przecież dla taty ten wywiad. W sprawie tego trącanego aparatu. I tak nic się nie dowiedział...

– Jak ty się wyrażasz, Zbyszku – woła Tadeusz ochrypłym głosem – na tym... na tym... na tej leice jest krew ludzka, a ty...

– Nie zauważyłem. A Leszek też mi nic nie powiedział.

– A jego ojciec?

– Wilczaka stary? Nic nie powiedział. Sam nic nie wie. Niemiec – powiada – Młody taki. W prochowcu czy skafandrze. Potrzebował forsy, bo miał jeszcze przed powrotem wstąpić gdzieś, do Wrocławia czy Włocławka, nie pamiętam.

– Nie pamiętasz?

– No skąd! Leszek coś tam truł, ale on zawsze tak...

Zresztą, czy to ważne. Grunt że sprzedał te leice panu magistrowi.

– Komu?

– No, panu magistrowi Wilczakowi. Przecież Leszek jeszcze nie jest magistrzem i chyba nie będzie nigdy. Wisi z matmy i z fizyki, dlatego tak wiernie mnie się trzyma, bo w klasówkach mu idę faktycznie na rękę.

– Jak? – Tadeusz przekrzywia głowę, jakby się przesłyszał.

– Faktycznie – powtarza spokojnie Zbyszek – a on mi podlewa w polskim, a ponieważ razem robimy naszą gazetkę w budzie, to wiem że i tam daje sobie radę. Najlepiej mu wychodzą tytuły, tak jak mnie zdjęcia.

– Tytuły? Czego? – inżynier wyraźnie nie nadaża, ale tym razem Zbyszek wyjaśnia mu cierpliwie, jakby to właśnie on był ojcem Tadeusza.

– Tytuły do naszego czasopisma. Zawsze w poniedziałek przynosi do budy takie tytuły, jakby mu w nocy sam Słowacki naszeptał do ucha.

– Słowacki nigdy nie był redaktorem.

– No właśnie.

– Co „właśnie”?

– Leszek też nigdy nie był, a teraz jest. Jak tamtego poniedziałku przyniósł tytuł do artykułu o naszej klasie, to sam Stokłosa był skołowany. I tym razem...

– O jakiej klasie?

– O naszej. Pierwszej B. Według nowego programu powszechnej szkoły średniej. Pasowało jak ulał. Tyle, że Stokłosa nie puścił tego tytułu. Może tym razem słusznie, bo coś mi się zdaje, że Leszek czasem podpyla te tytuły z jakichś gazet. I jak by się wydało, to byłaby draka na 24 fajerki. Ale szkoda tytułu: „Ludzie czynu szkolnego, młodzi kontynuatorzy w sztafecie pokoleń dzieła ojców i dziadów”. Fajnie, nie?

– Pewnie... pewnie tak – powtarza Tadeusz trochę znużonym głosem – ale co ty robisz w tej gazecie?

– Zdjęcia. To chyba jasne. Przecież tata wie, jak mi pasuje fotografika. Od dawna. A teraz trafia się taka okazja. Właśnie teraz będziemy razem robili zdjęcia tą leicą. On będzie podrzucał tytuły, a ja opracowywał technicznie fotosy i gazetka musi grać. Zresztą tam oprócz nas jest jeszcze sześciu redaktorów. I to jest właśnie kontestacja.

– Co ty bredzisz, chłopie?

– A bo tata czepia się każdego słowa – chmurnieje Zbyszek – myślę o takiej kumplowskiej współpracy.

Koordinacja czy integracja. Ważne, żeby grało, nie?

– Ale... ale jak ma grać – kręci głową trochę skołowany inżynier – skoro nie znacie nawet znaczenia słów, jakimi się posługujecie.

– Przecież od tego jest-naczelny, nie?

– Jaki naczelny?

– Nasz. W budzie. W „Życiu w świetle”. Bo my się tak nazywamy. Nasza gazetka. Od dobrego języka jest właśnie Leszek Wilczak, ale przede wszystkim Janusz Sumik z pierwszej A. Gdyby jeszcze było mało, to polonista, profesor Stokłosa. I jeżeli do jednego numeru, do samego języka, dobrać się takie toreadory jak oni, to jak tata myśli, mogą puścić jakiś błąd w naszym „Życiu”?

– Myślę, że nie, że wszystko będzie w porządku – oświadcza Tadeusz trochę wahającym się głosem. Wygląda przy tym tak jakby się drapał w głowę. – Ale...

– Ale co?

– Myślę, że w prawdziwym życiu może się zdarzyć, że zabraknie Wilczaka czy tego, jak mu tam... Sumika.

Że nie będzie pod ręką profesora Stokłosa. Co wtedy?

– Ee tam – macha ręką chłopak. – Zawsze ktoś się znajdzie, kto pomoże. Nie żyjemy sami na świecie.

– A ty nie machaj ręką – obrusza się Tadeusz – za dużo i za często machacie ręką na wszystko.

– Ale tata, po co się martwić na zapas. Naprzód musi się coś zdarzyć, a dopiero potem kombinuje się, co z tym zrobić. Dlatego lepiej machnąć ręką jeśli coś nie pasuje od razu, a potem zrobić co trzeba. I nie ma sprawy.

– Jest sprawa! – oburza się inżynier. – I nie ma sensu mydlić sobie oczu, że jest inaczej. Jeszcze raz powtarzam, nie machajcie na wszystko ręką, bo was jeszcze rozboli od tego machania.

– To się tylko tak mówi – zaciska wargi Zbyszek.

Widać, że nie to chce powiedzieć.

– Właśnie – podchwytuje Tadeusz. – „MówiM.

I to wszystko. Z wykonaniem już jest gorzej...

– Tata!

– Czekaj. Pozwól, że dokończę. Już ci powiedziałem: wciąż was coś pogania. Nie potraficie się skupić nad jednym, co w tej chwili jest dla was najważniejsze. Już was to niecierpliwi. Odkładacie jedno rozpoczęte, żeby zacząć inne. Wciąż was gna gdzieś i po coś, jakiś niepokój

czy co... Myślałem, że sport. Ale gdzie tam. Miesiąc, dwa i już nowe sitko na kołku...

– Jakie znowu sitko?

– To się tak mówi... mówiło – potrząsa głową Tadeusz, jakby odpędzał kłębiące się w niej myśli – już coś innego was interesuje...

– Czy to nie fajnie? Chyba każdego interesuje wszystko co nowe...

– Zaraz, zaraz. Ale nie ze szkodą dla tego, co już jest ważne, prawda?

– Chwileczkę, bo nie chwytam – chłopak jest wyraźnie zaskoczony – to ja niby nie lubię sportu? A kto w zeszłym roku wyróżnił się przy budowie szkolnej bazy sportowej. 120 roboczogodzin jak w pysk strzelił.

– Zbyszek, jak ty...

– Przepraszam – zniża głos Zbyszek i milczy przez chwilę, wreszcie pociąga potężnie nosem, ale nie wygląda jakoś na stropionego – tak mi się powiedziało – dodaje beztrąsko. – Ale przecież cieszyliście się z dziadkiem, bo mama i Aga to nie mają głowy do sportu – ale dziadek i tata cieszyliście się z mojego drugiego miejsca w biegu międzyszkolnym...

– To nie argument – przerywa synowi inżynier – przecież sam kupiłem ci łyżwy. Ale ty jakoś bardzo szybko przesiadłeś się z nich na rower...

– I znów tata powie, że mi go kupił, tak?

– Wspólnie z dziadkiem – dorzuca spiesznie ojciec ale nie o to chodzi. Nie zanadtoś na nim pojeździł i już nowa sensacja. Ósmy cud świata. Fotografika!

Może nie? Zaraz, pozwól... A łyżwy wiszą w przedpokoju, z butami.

– Nasmarowane. W każdej chwili mogę w nie wskoczyć.

– Ale nie wskakujesz. Na rowerze w pierwszym tygodniu szalałeś, a od końca kwietnia brałeś go z domu tylko cztery razy. A teraz też stoi pod ścianą i dziadek codziennie musi go przestawiać, gdy się chce dopchać do swoich regałów. Wiem, zaraz powiesz, że wysmarowany...

– Dziadek?

– Nie błaznuj. Rower. Teraz myślisz o fotografice.

– No, nie patrz tak. Przecież ci nie wymawiam, ale nie rozumiem, jak można tak szybko odwracać się od tego, czego... na co się miało tak wielką ochotę. To wszystko... jak byście się umówili, mówię „byście”, bo znam przecież i twoich kolegów, i nie tylko z tego, co o nich słyszę od ciebie. Rozmawiam z nimi i ich rodzicami. Myślisz, że mówią co innego?

– Bo wy wszyscy strasznie kochacie mówić – mruczy chłopak trochę zgnębiony – trujecie

i sami o tym nie wiecie, jak. Bo...

– Co? – krzywi się inżynier, jakby dotknął bolącego zęba.

– Noo – nawijacie, mówiąc inaczej. Na każdy temat. A najczęściej na taki, o jakim nie warto... jaki nie powinien... nie musi was obchodzić.

– Na przykład?

– Na przykład to... co przed chwilą... o tej niecierpliwości do sportu, czy jak... że łyżwy, że kółko, że dzinsy...

– Jakie znowu dzinsy?

– A te wranglery, które zafundowaliście mi na Wielkanoc. Nawet nie nawijałem, że widziałem, że fajne, prawda? Raz tylko wspomniałem o nich, gdy tylko zobaczyłem je na wystawie. Tylko raz. Nie upominałem się, ani napraszałem.

– To już cała rada rodzinna tak uchwaliła, żeby wranglery. Tym razem jak na złość właśnie mama Aga przeważały sprawę – mówi Tadeusz trochę zakłopotanym tonem. – Podziękują ci za to jak wrócą.

– Tata nie powie – stwierdza sucho chłopak i mruży kpiąco oczy.

– A to dlaczego?

– To nie taty fason.

– Ty się nie wykręcaj – chrząka Tadeusz jakby mu coś nagle w gardle zawadzało – ale w związku z fasonem ja ci mogę powiedzieć, że także chodzi mi o te źle pojęte wasze fasony.

– Jak to?

– A tak to, że rozdrabniacie sobie wszystko na małe sprawki, żeby było łatwiej o nich zapomnieć. Od wczoraj do dziś, od jutra do niedzieli. I tak dalej. Na zasadzie czasu teraźniejszego. Tu i teraz. Tu i teraz, jak się dziś modnie mówi, a nawet i pisze, małpując stare rzymskie przysłowie. Spokojna głowa – widzisz, jak trzeba, to i ja potrafię mówić twoim językiem – spokojna głowa, wielu ludzi znacznie starszych od was wyznaje te same, łagodnie mówiąc, wygodnicze teorie... Im, tak samo jak wam wystarczy hobby, czy właśnie fason. Wy chociaż legitymujecie się autentyczną młodością, ale wielu waszych starszych kolegów kocha też takie niewyraźne sytuacje. Chce przebalansować to, co im jeszcze zostało z młodości, korzystając z przywilejów „zielonego światła dla młodych”. Tak jakby tylko metryka miała o tym decydować. Nie dorobili się własnego stylu, zastępuje im go fason, o którym byleś łaskaw wspomnieć, a to nie to samo. Można ich, bo wy macie na szczęście jeszcze trochę czasu, choć już

wpadacie w ich nawyki – więc można ich zakodować do komputera i usłyszeć takie same wypowiedzi. Stwierdzić te same cechy.

– O kim tata...

– O tych wszystkich, którzy tak łatwo wchodzą w szkodę innym, nie myśląc nawet przez moment o tym, co robią. Przelecieć, prześliznąć się, wzruszyć ramionami, żeby „nie było sprawy”. Bez pasji, bez namiętności. Ale co ja ci będę...

– Ale tata, przecież każdy chce żeby mu się udało. A jeżeli nie pasuje, to zamiast się gryźć lepiej... to przecież trzeba pokręcić głową, po...

– Pokombinować, co?

– O właśnie. Pokombinować – uśmiecha się wreszcie Zbyszek, zaglądając przelotnie do lustra bo wie, że mu do twarzy z tym uśmiechem. Taka jedna Janka z zawodówki też tak uważa, ale o niej chyba nie trzeba wspominać teraz kiedy... kiedy... co też staruszek się tak rozindyczył, coś mu dzisiaj nie zagrało... – przebiega mu przez myśl, ale głośno dodaje – a najlepiej, jak coś nie chce grać, to powiedzieć sobie: nieważne.

Samo przejdzie. I przechodzi... tata... słowo daję. Przechodzi. Albo się odczepi, albo się zapomni. Obojętnie – Zbyszek przez chwilę przygląda się, marszcząc czoło, ojcu, który przysiadł przy stole i wygląda jakby zbierało mu się na kichanie. Jakieś dziwne miny.

– Obojętnie, mówisz? – odzywa się wreszcie, trochę dudniącym głosem, którego syn raczej nie lubi słuchać. Ale i teraz zuchowato wzrusza ramionami.

– A pewnie – odzywa się o wiele za głośno i zaraz pyta mniej spokojnie. – Bo co?... Czemu...

– Bo każdy kto podejmuje się jakiegokolwiek pracy – wpada mu w słowa ojciec – musi, słyszysz, synu, musi, a nie powinien czy może – musi ją szanować, lubić i mieć do niej cierpliwość. I to jest właśnie pasja, o której mówiłem przed chwilą. Nie zapał, bo szybko mija, nie fason, który każe człowiekowi pracować na pokaz, po to żeby pokazać, co to on potrafi i tylko on, niezależnie od tego z kim i dla kogo pracuje. I jeszcze musisz tę pracę lubić, musisz w każdym momencie czuć całym sobą jej wagę i sens. I chyba to jest też pasja, bez której nic nie wyjdzie z tego co zamierzasz. W najlepszym razie sfabrykujesz byle co, na odczepne, coś, czego sam przed sobą zawsze będziesz się wstydził.

I to nie są słowa, staruszku – Tadeusz po raz pierwszy uśmiecha się do syna – przysięgam ci, że, to nie są tylko słowa. Pasja tworzenia, to jest chyba wszystko.

Gdyby nie ona, nie wyprowadzilibyśmy z mamą jednego domu pod dach, jednej ściany

z parteru. Moglibyśmy wrzucić do kosza na śmieci wszystkie nasze rysunki, projekty i obliczenia, gdybyśmy w najtrudniejszych momentach nie znachodzili w sobie zawsze dość siły, żeby powrócić jeszcze raz, drugi i dziesiąty do tego, co »am wymknęło się z rąk za pierwszym razem, co nam się w planie pokręciło, co przekreśliło i zawaliło jakieś piętro z naszych marzeń. Ale zawsze wracamy do tych wszystkich szczerb, blizn i niewypałów z zaciśniętymi zębami, ze zdruzgotanym kręgosłupem, po to, żeby znów się wyprostować, znaleźć to, co się przegapiło i przemyśleć na nowo. Nigdy tego nie żalowaliśmy dotychczas. Popatrz na mamę. Nie musiała jechać do Warszawy dla obrony tego osiedlowego projektu wypracowanego z całym swoim zespołem, ale pojechała. I spróbuj jej powiedzieć, że to nie było konieczne. A ja sam, dokąd uciekłem dziś rano, po tym jak dowiedzieliśmy się od ciebie o tej historii z leicą, jak myślisz? Dokąd? Do kawiarni? Do parku czy na Planty – zgubić to cholerne wspomnienie w jakiejś ustronnej alejce? Nie. Poleciałem do mojej projektowej budy. Wiesz przecież, gdzie. Byłeś tam parę razy.

I tam się zaszyłem w swoim kącie nad rysownicą. Nad rozrysowanym modulem... zresztą co ci będę głowę kręcił. Bo wiedziałem, że jeżeli mogę gdzieś spokojnie pomyśleć o czymś, o czym bardzo nie chcę – to tylko tam. Trochę się rzeczywiście uspokoiłem dopóki... dopóki nie wróciłem do domu i nie spotkałem się z tobą. I chyba tylko po to, żeby się dowiedzieć od ciebie co dla takich jak wy, bo tak to tylko muszę rozumieć – co dla was znaczy to piękne zdanko, że „nie ma sprawy”, Tak. – Tadeusz urywa, trochę przerażony tym co powiedział, czy też tym, w jaki sposób to powiedział.

Teraz siedzą przez długą chwilę naprzeciw siebie, bo i Zbyszek przysiadł na zydelku koło telewizora – i starają się jakoś uporządkować ubiegłe minuty. Milczą.

Dopiero po jakimś czasie usłyszeli odległy odgłos otwieranych drzwi wejściowych. Szybko spojrzeli po sobie.

– Dziadek? – rzuca Tadeusz nikłym szeptem. Ale syn i tak słyszy.

– Tak. Jak przyszedłem właśnie wychodził. Po gazety i zajrzeć do skrzynki. Może jest coś od mamy.

– Mogłeś sam sprawdzić.

– Jakoś zapomniałem.

– Dobrze, że choć nie cyganisz – mruczy inżynier – ale swoją drogą dziwne, że nie bardzo cię interesuje, bo z mamą. Czy to też nie obojętność? Powiedz sam.

– O rany – jęczy chłopak – mama wraca lada dzień, a ja mam biegać na dół po list, którego z pewnością nie napisała. Po co lecieć?

– A dziadek mógł?

– Dziadek i tak szedł po gazety.

– Pyskaty to ty jesteś – kiwa głową inżynier.

– I obojętny – mruży oczy Zbyszek.

– I obojętny – przytwierdza ojciec, ale mówi to takim tonem, że chłopak przygląda mu się niespokojnie. – A wiesz – dodaje po sekundzie namysłu – przypomniał mi się w tym momencie taki... takie bardzo mądre zdanie, już nie pamiętam, kto to powiedział i gdzie: „Strzeż się obojętnych – nie zabijają i nie zdradzają, ale za ich milczącą zgodą mord i zdrada istnieją na świecie”.

– Rany boskie! – Zbyszek zrywa się z miejsca -

Mord i zdrada?! A co ja mam z tym... albo nawet my obaj, z Leszkiem, co mamy z tym wspólnego?

– Sam się przyznałeś przed chwilą.

– Do niczego się nie przyznawałem – czerwieni się chłopak i kręci się niespokojnie. Wygląda jak młody wilczek: zaraz pokaże zęby. – Co ja takiego powiedziałem? O sporcie? O tym że nie sprawdziłem czy jest list od mamy? A gdzie tu zbrodnia? Jaka to zdrada? Co?

– Tu nie o to – opamiętuje się Tadeusz – ty zawsze musisz wszystko pokręcić. Tu chodzi o sprawy ogólne, taka... przenośnia... na temat tego, że trzeba się bronić przed obojętnością w życiu, bo może przynieść nieobliczalne skutki...

– Fajna przenośnia – indyczy się Zbyszek – a tak naprawdę, to dlaczego ja mam niby być obojętny. Po czym to poznać? A jakbym włożył dres, wsiadł na kółko i jechał a na plecach miał przyczepione buty z łyżwami, to wtedy wszyscy by widzieli, że jestem w porządku, że mi sport nie jest obojętny, tak?

– Znowu mieszasz wszystko. Ty to masz talent do zabałaganienia najprostszej sprawy. Co ma jazda na rowerze i łyżwy wspólnego z tym, o czym mówiliśmy?

– To tata zaczął o tym, nie ja. Przecież gdybym był rzeczywiście taki obojętny na wszystko, gdybym naprawdę nie miał do niczego cierpliwości to dmuchnąłbym do gitowców czy stenił się z chałupy, a nie latał na dodatkowe ćwiczenia z fizy czy matmy. I przede wszystkim dawno by mnie wylali z budy na zbity... na zbitą twarz. A tymczasem... Zbyszek... co ty pleciesz –

czerwienieje z kolei inżynier – nie mówiłem o szkole.

– A dlaczego nie? – stawia się coraz mocniej pierwszoklasista-licealista-nowoprogramowiec powszechnej szkoły średniej. – Albo jestem taki... najgorszy, albo nie. A dlaczego tata – dodaje spieszenie, widząc, że ojciec chce mu przerwać – dlaczego tata, albo dziadek, kiedy wracacie z wywiadówki w budzie i kiedy macie „takie miny, jakby was kto na sto koni posadził (to twoja gadka, tata) – dlaczego wtedy nie trujecie, że jestem „obojętny” do matmy, co? Bo mam z niej piątkę u „doktora”. A gdybym miał u niego lufę z matmy, to co? Ale gdzie tam. Wiadomo, że w budzie jestem dobry. I wtedy nie jestem ani fasonowiec, ani nie mam żadnego hobby tylko jestem dobry. Wtedy mówicie:

„nasz kochany Zbysio”! Prawda? I wtedy można zafundować mi dzinsy z „Canadian Railway”...

– Wranglery – próbuje dorwać się do głosu ojciec.

– Wranglery – akceptuje uprzejmie Zbyszek – i kalkulatorok BOLEK, naszej, plastikowej produkcji...

Wtedy jestem dobry, co?

– I co chcesz przez to powiedzieć – odzywa się po chwili inżynier głosem dudniącym, jak zawsze gdy wzbiera w nim złość – bo jak dotąd każde twoje słowo jest dowodem na to, że niewiele zrozumiałeś z tego, co mówiłem.

– Może z tego, co tata nawi... mówił... – chłopak patrzy spode łba na Tadeusza – co było o mnie, nie wszystko zrozumiałem...

– O was, nie tylko o tobie«.

– Zgoda, o nas – ale jedno jest pewne, tata nas chyba także nie... nie całkiem rozumie. Ale ja... chcę powiedzieć tylko o sobie. Nie żeby się chwalić, ale jeżeli tata wylicza mi to, co „na nie”, to ja mam chyba prawo odezwać się „na tak”, prawda? Albo jest demokracja, albo nie?

– Dobra. Tylko nie chwal się swoimi sukcesami W szkole, w sporcie czy w nauce, bo...

– A dlaczego nie? O sporcie już była gadka, nie będę powtarzał, ale o oddawaniu krwi dla Centrum Zdrowia Dziecka, jakoś nie było mowy. A przecież to nie bajer, nie nawijanie, ale prawda. Szesnastu w naszej klasie oddało krew, choć nikt nas do tego nie zmuszał. Dyżurów w domu dziecka nie miałem... trudno... nawaliłem, tak jak i Leszek, bo obaj nie umiemy się dogadać z maluchami. Widocznie to dziedziczne, bo Aga też miała trudności w opiece społecznej. Ale kto w zeszłym roku, w akcji letniej zgłosił się ochotniczo do pomocy

budowlanym? Kto, jak nie nasz IV Szczep harcerski, a w tym szczepie druhowie Rybicki i Wilczak. Kto pierwszy zaczął organizować w naszej budzie Szkolną Izbę Pamięci?

– Pewnie też Rybicki i Wilczak?

– Nie. Tym razem nie – odpowiada najspokojniej w świecie chłopak. – Zaczęła organizować klasa I A.

Ojciec Staszka Prymy pracuje w Predomie i oni zafundowali nam pierwsze cztery gabloty do eksponatów.

Ale żeby nie ja, to nie byłoby co w tych gablotach pokazać.

– A coś takiego zrobił? Poprosiłeś dziadka o pomoc.

I rzeczywiście pierwszą dokumentację zrobił dziadek.

Z tajnego nauczania. A później dołączył do tego te dublety ze swojej kolekcji medali. I gdzie tu twoja zasługa?

– Jak to? Przecież mogłem dziadkowi nie wspomnieć ani słówkiem o naszej Izbie Pamięci i... gdybym... gdybym już był takim hobbystą jak... jak mi się to chce wmówić... to wołałbym sam zacząć zbierać te medale. Dziadek by na pewno mi nie odmówił...

– Wstydzilibyś się wytaczać takie argumenty.

Chcesz wiedzieć, co o tym myślę naprawdę? Według mnie to było zwyczajne nadużywanie zaufania. Nieładnie, proszę druha!

– Czyjego zaufania? – pokrzykuje Zbyszek bardzo zły na siebie, bo czuje, że się znowu czerwieni.

– Nie lubię jak krzyczysz – odzywa się spokojnie Tadeusz. – Zaufania dziadka. To chyba oczywiste.

– Tata, ale przecież mój... wytypowanie mnie do tegorocznej olimpiady matematycznej, to tu już... tego chyba... tata nie powie, że niesłusznie... tu chyba cała buda ma do nas, Milczarka i mnie, zaufanie że coś tam o tej matmie mamy jakieś pojęcie, skoro nas dwóch wytypowali na olimpiadę.

– Mogę... – chrząka Tadeusz raz i drugi – mogę ci tylko, synu podziękować za radość jaką sprawiłeś nam wszystkim tym twoim... udziałem w olimpiadzie – zaczyna uroczyście – ale to nie powód, żeby... rodzzonego dziadka naciągać na pozbycie się kolekcji medali.

Wiesz, jak dziadek się nad nimi trzęsie...

– Nad czym to ja się tak trzęsę? – w drzwiach staje – ni mniej ni więcej sam doktor Rybicki,

najstarszy z rodu – drogi Tadeuszu – dodaje trochę zachrypniętym głosem, nie ruszając się od drzwi. Głowę przechylił na bok, a nastroszony siwy czub na niej sprawia, że starszy pan wygląda jak czapla. Taka trochę poirytowana czapla.

– A choćby nad swoją kolekcją medali – Tadeusz jak zwykle wstępuje w bój z podniesioną przyłbicą. – Trochę się bałem, czy Zbyszek nie wycygał jej przypadkiem od taty.

– Zaraz – starszy pan wstrzymuje ostrzegawczym gestem rozpędzonego inżyniera – Zbyszek!

– Tak, dziadziu – chłopak prostuje się jak na paradzie, frontem do dziadka.

– Jedzenie dla was stoi na stole w jadalni. Zanim wyszedłem słyszałem, że jesteś bardzo głodny.

– Tak jest. Jestem bardzo głodny. I tata też. O ile mi wiadomo nic nie miał w ustach od rana.

– A dlaczegoż to?

– A dlatego – chłopak rzuca niespokojne spojrzenie na ojca – że od kiedy wrócił... dobrał się do mnie. Musiał...

– Co to znaczy „musiał”?

– Widać musiał mnie ochrzanić...

– Ale dlaczego?

– To już tata wie lepiej ode mnie – odpowiada Zbyszek najspokojniej w świecie.

– ... A... aha – rozumiem – dziadek gładzi swój siwy czub, ale z jego twarzy widać wyraźnie, że nic nie rozumie. Dopiero rzuciwszy okiem na inżyniera, który stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym tkwił w momencie agresji najstarszego z Rybickich – dopiero wtedy prostuje się i patrzy na Zbyszka. – A ty – odmaszerować do jadalni. Przegryź coś i zaraz wracaj do nas. Słyszysz?

– Tak jest – odpowiada służbiście chłopak.

– Na co czekasz?

– A... a tata i dziadek?

– Jak ci tylko o to chodzi, to chyba też coś wtrząchniemy. Zresztą pewnie wybierzemy się razem na spóźniony obiad.

– To... to znaczy, że ja na chybcika wrzucam coś na ruszt i zaraz mam się zameldować? Tak?

– Właśnie tak – dziadek znów sięga do czuba. – Wykonać! Na chybcika!

– Jest! – Zbyszek tupie w podłogę nogą jak królik w klatce i dwoma skokami dopada progu. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Tadeusz przysuwa ojcu fotel i przysiadła obok niego na

tapczanie.

– Widzi tato, sam tato widzi, jak to jest – odzywa się półgłosem, jakby bał się żeby go syn nie usłyszał.

– Nic nie widzę – grymasi pan doktor. – O co chodzi?

– Przecież ten Zbyszek rozpuścił się jak dziadowski bicz. Jakich on wyrażań używa i jak on wychodzi z pokoju. Jak stado bawołów.

– Eee – wzrusza ramionami starszy pan. – Zaraz stado! – najwyżej jeden cielak. To jego wiek, jego prawo. Ty też nie byłeś inny. I ja też... zresztą – dodaje po sekundzie.

– Tacy byliśmy?

– Dokładnie tacy sami. Nie bardzo rozumiem, czego chcesz od Zbyszka.

– Chcę go po prostu uwrażliwić na wiele spraw, które według mnie pomija, albo w ogóle nie dostrzega.

– I to wszystko przed obiadem? – uśmiecha się pan Jan, ale syn nie kwituje uśmiechu.

– Tato żartuje, a... a mnie... a ja nie chciałbym mieć syna o skłonnościach tylko jednostronnych, powiedzmy tylko technokratycznych czy tylko... czy ja wiem... utylitarnych...

– Co ty wygadujesz. Wszystko ci się pomieszało. Mnie się jakoś ani przez sekundę nie wydaje, żeby Zbyszek był mniej wrażliwy od innych chłopców w jego wieku, żeby był jednostronny w jakimkolwiek poczynaniu. A przy okazji: żadnych medali ode mnie nie wycygał, jak byłeś łaskaw się wyrazić. Sam mu je dałem, choć się nad nimi trzęsę. Zresztą to i tak były dublety.

Przejechałeś się trochę niepotrzebnie po jego ambicji.

I według mnie, on jest wystarczająco wrażliwy, żeby to odczuć.

– Tak tato myśli? – odzywa się po chwili trochę strapionym głosem inżynier – mógł tak to odczuć?

„Wygląda w tej chwili dokładnie tak samo, jak czterdzieści lat temu, gdy po tym... po tym co się wtedy stało, prowadziłem go na Wagilewicza przez cały nasz ga, na drugim piętrze. Do drzwi naszej kuchni. Do...

Marii Tak samo wyglądał jak w tej chwili. Strapiony bezradny” – przelatuje starszemu panu przez głowę. Rozgląda się po pokoju trochę nieprzytomnie i wreszcie kieruje wzrok ku synowi.

– Co... co się stało, tato?

– Nic, nic. Masz papierosa?

– Oczywiście, że... nie mam – Tadeusz wyciąga rękę z kieszeni marynarki. – Już w pracowni wypaliłem. Ale mam w pokoju. Zaraz...

– Zostaw – pan Jan dotyka ręki syna – ten papieros to tylko wymówka przed sobą samym. Wiesz o czym myślę?

– Chyba o Zbyszku, bo o nim właśnie mówiliśmy.

– Oczywiście, że to w jakimś sensie chodzi i o niego. Ale tak dokładnie, to znowu nawracam pamięcią do tej... sprawy... o której nam dzisiaj przypomniał Zbyszek. Wiesz, o czym myślę?

– O tym nieszczęsnym aparacie?

– O tym czasie, ale nie o tym aparacie. To nie o Ieir cę chodzi.

– A o co?

– Pamiętam, jak tobą wstrząsnęła śmierć Józka Auera. Na Wagilewicza.

– Bo to była najstraszliwsza chwila mojego życia.

Widziałem przecież już przedtem zabitych na ulicy, we wrześnie, ale dopiero wtedy, w mieszkaniu Auerów zatknąłem się z tym, co wstrząsnęło wszystkim, co mogłem pojąć czy zrozumieć, co było większe i straszniejsze od wszystkiego co znałem. Tego właśnie nie mogłem pojąć patrząc na to, co zostaje z Józka, na jego zakrwawioną szyję i pierś, bo twarzy nie widziałem.

A przecież to z nim, z Józkiem stłukiliśmy tę sławetną urnę czy wazon na półpiętrze. Pamięta tato jaka draka z tego była! I właśnie z Józkiem pobiliśmy się wtedy, w lecie przy tej fotografii wspólnej – o statyw. Właśnie do tej leici. I nad nim właśnie, nad Józkiem Auerem, towarzyszem pierwszego dziesięciolecia mojego życia, stałem wtedy w mieszkaniu Auerów, gdy tato mnie znalazł – Ale wtedy już wiedział, wtedy właśnie zrozumiał, że już nigdy nie zobaczę Józka inaczej jak wtedy, kiedy leżał nieruchomy na podłodze, koło drzwi... koło tych drzwi – urywa i patrzy na ojca szeroko otwartymi oczyma.

– Na balkon – dopowiada cicho pan Jan.

– Tak. Na balkon. I może dlatego – ożywia się nagle Tadeusz – pewnie dlatego, to straszne co powiem, ale tak właśnie było i nic na to nie poradzę, wtedy kiedy mama... kiedy ta bomba... mamę... a ja przecież nadbiegłem parę sekund później – wtedy tak okrutnie tej śmierci nie przeżyłem. Bo to już nie był pierwszy zabity człowiek, choć był mi najbliższy. Nie wiem jak to się działo, przecież to była mama! Nie wiem dlaczego inaczej to odczułem, ale tak właśnie było i po raz pierwszy w życiu mówię o tym. I to z tobą, tato, bo z kimże innym...

– Pewnie dlatego wtedy, po śmierci Józka powiedziałaś do mnie – pamiętasz – na ganek, już przy drzwiach kuchennych... powiedziałaś, a raczej zapytałaś tak jakoś dziwnie, nie po dziecięcemu, tak, że do dzisiaj pamiętam każde twoje słowo: „Co teraz będzie, co to znaczy, że Józku nie żyje? Czy jak się nie żyje, to już na śmierć?...”

– Tak powiedziałem?

– No jakże – chyba pamiętasz – doktor przygląda się Tadeuszowi z niepokojem – przecież powtarzam słowo w słowo. Setki razy już o tym myślałem, tyle że nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Jakże możesz nie pamiętać.

– No trudno... – inżynier pociera sobie czoło, wstamoment i znowu przysiada. – Jeżeli tato tak mówi, to tak musiało być. Chociaż wciąż mnie to gnębi– Co?

– Bo jakże to może być, żeby nic, ale to absolutnie ni jedno słowo z tego czasu nie zostało w pamięci.

Jak by nie było, miałem już wtedy chyba z trzynaście lat, prawie tyle, co dzisiaj Zbyszek, nie byłem dzieckiem. Pamiętam jak tato mnie wyprowadził z; mieszkania Auerów, potem przez klatkę schodową na ganek, bo drzwi frontowe... coś z nimi było.

– Sam je zamknąłem na cztery spusty zaraz po... po tym, cośmy wtedy przeżyli. Dlatego prowadziłem cię przez ganek, do kuchni.

– To pamiętam. I to, gdy stanęliśmy przed drzwiami. I... i mamę, która otworzyła te drzwi. Tylko tego... pytania jakoś w żaden sposób nie mogę sobie... Chyba że... chyba...

– Zostawmy to – odwraca głowę pan Jan – bo jeszcze się dowiem, że zmyślam, albo że skleroza się w to wmieszała. Z dwojga złego wołałbym to drugie, bo...

– Tato. Jeszcze tylko jedno – przerywa ojcu Tadeusz.

– Słucham – pyta suchym tonem starszy pan, jakby mówił do obcego.

– Płakałem wtedy?

– Nie. Bardzo mnie to poruszyło, żeś tak to przeżywał bez jednej łzy.

– A... a po śmierci mamy?

– Wtedy płakaliśmy wszyscy. I dajmy temu spokój, Tadeusz. Rozumiem, że możesz mnie podejrzewać o to, że dorabiam jakieś własne fantazje do dawnych wspomnień, że „koloryzuję”, jak się to dawniej nazywało, albo że wymyśliłem sobie całą tę historię.

– Tato!

– Dobrze już. Wracamy do Zbyszka. Zgoda?

– Zgoda – inżynier uśmiecha się po sekundzie wahania, którą ojciec dostrzega natychmiast. Ale tym razem nie podejmuje tego tematu – Tylko co tato chciałby jeszcze wiedzieć?

– O co ci chodzi, Tazio? Chłopak uczy się dobrze, ma swoje jak to kiedyś określaliśmy „hopsztosy”, ale to też przywilej nastolatków, choć nie cierpię tego określenia. Trochę jeszcze...

– Właśnie – nie wytrzymuje inżynier – a chyba byłby czas, żebyśmy wiedzieli... żebyśmy... zawsze mogli być go pewni.

– Na to nigdy nie licz, synu. Poza tym jaki masz... jaką miarę masz do dyspozycji. To są cienkie sprawy, a ty chciałbyś... – starszy pan urywa, jakby nie to chciał powiedzieć.

– Chcę go tylko uczulić na odczuwanie dobra i zła, nieomyłne odróżnianie uczciwości od podłości.

– Bagatela! Nie słyszałem o takim, kto by to potrafił. Czy nie za pewny jesteś własnej nieomyślności?

:- Pewny nigdy nie jestem, ale wydaje mi się, że niektóre z tych spraw są po prostu moim obowiązkiem.

Uczynienie Zbyszka wrażliwym na to wszystko cb kształtuje, co może kształtować, co powinno kształtować pełnego człowieka dzisiejszych dni. Nie mam słuszności?

– Może i masz – odpowiada doktor z lekkim westchnieniem – choć wolałbym, żebyś to wyrażał w sposób mniej pompatyczny.

– Jednym słowem, dęty?

– Jednym słowem, dęty – przytwarza poważnie starszy pan – bo wiem, że tak naprawdę, to ty sam bynajmniej nie jesteś i na szczęście nigdy nie byłeś taki... taki zasadniczy. Chwileczkę – pan Jan podnosi rękę widząc, że syn chce mu przerwać – a poza tym test jeszcze jedno: zapominasz, że masz nie tylko syna...

– Oczywiście, z Agą są większe kłopoty, ale myślę, że z nią można się dogadać, zwłaszcza wtedy, gdy ona sama tego chce, a poza tym jest jeszcze Cesia, która... której nie mam zamiaru zanadto wchodzić w drogę w wychowywaniu córki. Tato przecież zna Cesię.

– Nie jestem tego całkiem pewny – kiwa głową pan doktor, archiwariusz i znawca raczej szkockich niż kobiecych obyczajów – ale trochę masz słuszność.

A co do Zbyszka...

– A co do Zbyszka, to oboje z Cesią nie chcemy, żeby na cokolwiek pozostał obojętny. To dla nas najważniejsze. Przecież, o ile pamiętam, zawsze tego ode mnie wymagałeś, prawda?

– Absolutnie tak. Bo zawsze uważałem i uważać będę obojętność za najbardziej koszmarną wadę współczesnego człowieka.

– Niestety – podchwytuje Tadeusz – nie mamy tej absolutnej pewności w stosunku do naszego syna.

Bardzo często postępuje czy nawet myśli tak, jak gdyby był pewny, że cała sprawa funta kłaków nie warta.

I to z góry jest o tym przekonany, nie przykładając nawet ręki do tego, co chciał zrobić. Wszystko, z czym ja sam próbuję do niego dotrzeć, ma już jego pieczętkę, z akceptacją, albo bez niej. W tym drugim przypadku chłopak po prostu uważa, że o niczym nie wie. Jak to się teraz mówi: aha, „nie ma sprawy!” Co ma oznaczać:

„to nieważne!”, „tego nie muszę pamiętać”. I jak można liczyć na takiego faceta, tato?

– Widzisz, Tadeusz, zdaje mi się, że nie możesz od niego wymagać, żeby miał pamiętać wszystko to, co mu przekazujesz do pamiętania.

– Jeżeli ja pamiętam do dzisiejszego dnia każdy szczegół z tej eksterminacji Auerów wtedy na Wagilewicza i widzę do teraz skrwawioną szyję i pierś Józka – to Zbyszek powinien przynajmniej pamiętać to, co przeżył jego ojciec.

– Tak, ale Zbyszek sam tego nie przeżył, osobiście, więc co ma pamiętać?

– To, co mu z tych czasów przekazałem.

– Po co? Przed chwilą sam stwierdziłeś, że nie wszystko zostało ci w pamięci z tamtych czasów. A od niego wymagasz, żeby pamiętał.

– I to tato mówi? Tato, który mnie wychowywał i który sam był wychowywany.

– A co nam obu, Tadeusz, z tego pozostało?

– Jak to? Dla siebie samych, czy do przekazania następnym pokoleniom?

– Rany boskie, chłopie, zejź z tego Parnasu i zacznij mówić i myśleć jak człowiek – woła dziadek doprowadzony do rozpacz. Zrywa się z fotela i otwiera na oścież drzwi do drugiego pokoju. – Masz szczęście, że Zbyszek nas nie podsłuchuje, bo z pewnością nie byłby zbudowany twoimi tyradami. Jak to oni nazywają takie gadaniny: trucie czy jak... Aha... nawijanie.

I słusznie. Powiedz po prostu, że poświęcamy mu za mało uwagi. Może przyznałbym ci słuszność. Ale to „przekazywanie następnym pokoleniom”, daruj, trąci już melodramatem. Tak cię z pewnością nie wychowywałem, tego nie pozwolę sobie wmówić.

– Ale tato, jak tak możesz? – teraz z kolei inżynier zeskakuje z tapczanu i zaczyna krążyć po

pokoju, potrącając meble.

– Czekaj, Tadzio, zaraz przywołamy Zbyszka. Ale przedtem powiedz mi, czy ojciec tego Zbyszkowego kumpla, jakże on się nazywa, aha, pan Wilczak, powiedział coś jeszcze na temat tego, kto mu sprzedał tę leicę?

– Prawie nic. Wiadomo tylko, że to był Niemiec, który na gwałt potrzebował forsy. Młody jeszcze, koło trzydziestki. Porządnie ubrany. Turysta.

– Cóż, jeżeli tak, to nie mamy innego wyjścia, jak nazwać to wydarzenie po prostu przypadkiem – starszy pan lekko przytrzymuje przelatującego obok niego gyjg– rozumiesz, Tadeusz? Już nie ma się czym martwić. Wszystko jest przeciw nam: wiek tego Niemca, to, że właśnie potrzebował pieniędzy... tylko sam aparat pozostał ten sam i wrócił do naszej pamięci z tą samą cyfrą, z jaką z niej odszedł: 17-6-37. Reszta mogła się nam tylko przyśnić. Zły sen, staruszku. Zły sen.

To wszystko.

– Nie, tato. Nie mogę się z tym zgodzić. To tak jakbyśmy zaczęli się upierać, że cała wojna nam się przyśniła, i śmierć mamy i tego chłopca z tajnego nauczania...

– Przestań, Tadeusz! – krzyczy pan Jan i oburącz próbuje przytrzymać syna wrywającego mu się z rąk.

Wygląda groźnie z twarzą nabiegłą krwią, z rozburzonymi włosami i tym srebrnym czubem sterczącym nad czołem.

– A właśnie... – pokrzykuje inżynier, ale milknie nagle, gdy w drzwiach staje najmłodsza latorośl Rybickich. Latorośl przez sekundę wodzi zdumionymi oczami po obrazku jaki widzi przed sobą i przez chwilę nie może wydobyć głosu, jako że właśnie przełyka potężny kęs bułki. Dopiero gdy się z tym uporał zdobywa się na pierwsze słowa.

– Ta... tata, co się... co tu się... dziadzio, co...?

– Nic – odpowiada rażno dziadek – zjadłeś już, co miałeś zjeść?

– Ttak – bulgoce niewyraźnie chłopak z potężnym westchnieniem.

– No widzisz – mruczy starszy pan – dość długo jadłeś, ja ci nie wymawiam, ale musiałeś być potężnie głodny. A my przez ten czas próbowaliśmy ustalić, kto z nas trzech ma najlepszą pamięć. Chodzi oczywiście...

– Już wiem – twarz Zbyszka wyraża generalne olśnienie – pewnie chodzi o tę historię ze śmiercią tego... tego kolegi taty podczas wojny, tak? Miśka... jakże on się...

– Józka Auera – inżynier surowo poprawia syna.

– Właśnie. Józka – godzi się Zbyszek dobrodusznie, wyraźnie gotów na ustępstwa po zaspokojeniu głodu. – Pewnie chodzi o to...

– Chodzi o to, co wtedy miałem jakoby powiedzieć, a czego w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć.

– Co to było takiego?

– Miałem zapytać dziadka, co to znaczy, że Józku nie żyje. I czy, jeżeli się nie żyje...

– A czy to ważne, tata?

– Co czy ważne? A co byś ty sam powiedział, gdybyś nagle zobaczył, że zginął ktoś bardzo ci bliski? Gdybyś to nagle ujrzał własnymi oczami.

– Nie wiem co bym powiedział, bo... bo...

– Bo nigdy ci ktoś taki nie zginął – uzupełnia dziadek.

– Bo nigdy mi ktoś taki nie... – powtarza Zbyszek posłusznie, przekrzywiając głowę, jakby przysłuchiwał się samemu sobie.

– Na szczęście – uśmiecha się trochę gorzko inżynier.

– Ale gdyby tak – idzie za ciosem starszy pan – gdyby się już tak zdarzyło?

– Gdyby? – Zbyszek unosi nagle głowę i wtedy obaj seniorzy widzą, że się uśmiecha.

– Dziwne, co w tym śmiesznego, żeś taki rozradowany? – inżynier jest wyraźnie zgorszony.

– Wcale nie jestem rozradowany – uśmiecha się chłopak, widać nie wiedząc że się uśmiecha – ale właśnie przyszło mi do głowy, co by było, gdyby leicę kupił ktoś inny, a nie staruszek Leszka, albo gdybym wam w ogóle tej leici nie pokazał. Czy wtedy też mielibyście... – urywa nagle i dopiero teraz poważnieje.

Ale oczy mu wciąż błyszczą. Widać, że jest ogromnie zadowolony z siebie.

– Co czy mielibyśmy?

– Czy wtedy też mielibyście takiego zgryza z tym aparatem i z tym, co w tamtych czasach mówiliście?

Nastaje chwila ciszy. Dziadek przez moment przygląda się wnukowi jakby go pierwszy raz widział w życiu, ale zaraz podchodzi wraz z inżynierem, jakby się z nim umówił – do tapczanu i przysiada wraz z nim w zgodnym duecie. Tyle, że nic nie mówią.

– Dziwne – odzywa się wreszcie starszy pan, ale jakoś nie za głośno – dziwne – powtarza.

– Co tu dziwnego, nie chwytam – odpowiada natychmiast wnuk, jakby tyłka czekał na to

słowo – że tata nie pamięta co powiedział, czy o co kiedyś dziadka zapytał? Przecież to było czterdzieści lat temu!

Przez ten czas mogło się urodzić i wyrosnąć trzech takich, jak ja, prawdą? No... prawie trzech – dodaje po Sekundzie, przypomniawszy sobie jako uczestnik olimpiady matematycznej obowiązek ścisłości. A ponieważ nikt zdumiony taką logiką nie odpowiada – chłopak spokojnie uzupełnia swoją tezę: – A gdybyśmy każdego z tych trzech... wyrosniętych, teraz zapytali, o czym ważnym rozmawiali przed rokiem” to by tak samo nie umieli sobie przypomnieć, jak tata i jak ja. Na pewno.

To o co cała draka?

– Jak to o co? – dorywa się wreszcie do głosu dziadek – co ty wygadujesz?

– Bo ja też prosiłem mamę, kiedy w sobotę jechała do Warszawy, prosiłem, czy pytałem o coś bardzo ważnego. I co? I nic nie pamiętam o co mi chodziło. No – ani w ząb! A to było trzy dni temu!

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – ochryply głos starszego pana brzmi jakoś żałośnie – jak to możliwe.

Nic?

– Ano nic. Niente. Niczewo! – Zbyszek wzrusza ramionami i widać, że jest mu cholernie przykro. Obaj seniorzy patrzą przez chwilę na chłopaka zdumieni, potem, w dalszym ciągu zdumieni, na siebie i wreszcie obaj w tym samym momencie wzruszają ramionami.

Dopiero na ten widok szczerzy uśmiech wraca na twarz Zbyszka. Ale chłopak natychmiast go kasuje dojrawszy miny ojca i dziadka. – To ja bardzo przepraszam – wyrywa się ni z tego ni z owego.

– Nie masz za co bardzo przepraszać, bo to tylko dla nas, twojego ojca i mnie – nie bardzo śmieszne.

Aha i jeszcze jedno – pan Jan ożywia się nagle i jakby zakłopotany sięga do czuba na głowie – coś mi się przy okazji przypomniało. Czy ten pan... Wilczak zdaje się... tak, Wilczak... czy nie mówił nic o statywie?

– O... jakim statywie? – chłopak tym razem baranieje na amen.

– Noo... jak to jakim. Drewniany, na trzech nogach.

Nie wiesz, co to statywa? Fotografiki ci się zachciewa, a nie wiesz... nie znasz statywu.

– Wiem, ale... po co... Robię zdjęcia z ręki, takie... reporterskie. Po co mi do leici statywu –

klaruje Zbyszek jak choremu koniowi, ale czyni to trochę jękając się.

– Po co ci do leici statyw, powiadasz. Widzisz, chyba właśnie do tego aparatu statyw był potrzebny.

Do zbiorowych zdjęć. Takich z wmontowanym samowyzwalaczem, żeby ten, który robi zdjęcie mógł sam zdążyć. – Głos pana Jana brzmi coraz bardziej matowo – Tak, to dobry aparat, leica! Tylko statyw do tej leici przepadł w zawierusze wojennej. Tylko jemu udało się zbiec. Nic dziwnego, ma trzy nogi, o jedną więcej od każdego z nas – przepraszam, tak mi się jakoś pomyślało...

– Tata, o czym dziadek mówi?

– Nic, nic – średni Rybicki patrzy błagalnie na najstarszego Rybickiego – to nic ważnego.

– To i wy macie takie nieważne sprawy? – oburza się najmłodszy z Rybickich. – W takim razie czego chcecie ode mnie? Każdy na mnie ujeżdża w tym domu, a ja... – zaczyna Zbyszek tym razem nie na żarty rozeźlony. Ale nagle urywa w pół słowa, gdy widzi skryty gest ojcowskiej ręki. Ten gest oznacza alarm. Taki męski znak solidarności, gdy należy przemilczeć stan pogotowia kobiet w domu, mamy, albo Agi, a najczęściej – jednej i drugiej.

Ale tym razem chodzi widać tylko o dziadka. To do niego odnosi się ten gest ojca hamującego Zbyszkowe dąsy. Starszy pan zamilkł od chwili, jak nie nakręcony zegar. I to jest niepokojące, bo wiadomo, że nie lubi milczeć.

W tej chwili w pokoju obok, dzwoni telefon. I to jest najlepsze, co się może zdarzyć w wypadku milczenia pana doktora. Wszyscy trzej unoszą głowy z nową nadzieją.

– Ja. Ja odbiorę! – podskakuje chłopak i już wyjeżdża za próg. Oczywiście swoim zwyczajem – na obcasach. Za nim obaj starsi panowie przystają w otwartych drzwiach – nigdy nie wiadomo kto może zadzwonić.

– Halo! Słucham, kto mówi? Halo! – dobiega do nich dźwięczny tenorek Zbyszka – Mama! – inżynier już chce podbiec do telefonu, ale nie może, przytrzymany żelazną ręką ojca. Pan Jan kręci głową, żeby nie, że nie trzeba – i syn daje za wygraną. A wnuk?

Wnuk nachyla się nad słuchawką i wykrzykuje po raz drugi – Halo! Kto? Mama? Tu obojętny, to znaczy chciałem powiedzieć, Zbyszek.

– Co on gada? – dziadek patrzy zdumiony na Tadeusza i chce ruszać w stronę telefonu, ale tym razem inżynier go przytrzymuje.

– Cii... – szeptem mu do ucha. Zaraz się dowiemy.

– Halo, halo! Tak, Zbyszek. Są. Zaraz przyjdą.

A jak u mamy? W porządku. U nas też. Mama wraca w terminie? To fajnie. Nie, Aga nie pisała. Całkiem tak gamo jak mama. Co? Źle słyhać? To dobrze, że źle.

Mówię, że dobrze. Mama nie rozumie? Ja też dzisiaj od rana wielu rzeczy nie rozumiem, ale myślę, że tata mi wytłumaczy. Albo dziadek. I jeszcze jedno, halo! Jeszcze jedno: mama pamięta o co mamę prosiłem przed wyjazdem? Co? Nie słyszę. Źe o co? A, o wiele rzeczy.

To klops. Mówię, że klops, bo dopiero teraz nic nie wiem. Ale to się z pewnością wszystko wyjaśni po mamy powrocie. Co się ma wyjaśnić? Nic takiego.,Takie tam... Nie ma sprawy. Proszę? Kto? Są, są obaj. Właśnie nadchodzą, zaraz im oddam słuchawkę. Czy co jemy? A oczywiście, śniadania rano jemy. I będziemy dalej jedli, do zwycięskiego końca. Kto błaznuje? Ja?

To wszystko z radości, że mama zadzwoniła. A poza tym wybieramy się właśnie na obiad. Tak, całą trójką.

Nie, jeszcze nie wiem. Może do Bristolu. Ale skąd, mama, gdzie tam... Oczywiście bez alkoholu. Już ja przypilnuję. Od czego jestem harcerzem. O, już nadchodzą seniorowie. Rączki mamie całuję i oddaję słuchawkę tacie. Proszę.

– Halo, Cesia. Tu Tadeusz – inżynier uśmiecha się do słuchawki i oddycha z wyraźną ulgą, co Zbyszek natychmiast zauważa. Niestety jego radość jest przedwczesna. W tym samym momencie wpada wprost w objęcia dziadka.

– Coś ty tani wygadywał mamie przez telefon?

-Ja? Nic. Zresztą dziadek sam słyszał, co. I tata.

A o co chodzi?

– Ciszej, bo jeszcze mama usłyszy w Warszawie jakiś pyskаты. O... o jakim alkoholu była mowa?

– Alkoholu? – dziwi się obłudnie Zbyszek. – Aha, to mama pytała, a właściwie prosiła...

– Ale o co?

– Prosiła – ciągnie chłopak obojętnym tonem – żeby przypadkiem... żebyśmy przypadkiem nie próbowali alkoholu.

– Ale skąd mamie takie myśli... – coś ty jej powiedział?

– Ja? – oczy wnuka robią się okrągłe ze zdumienia, ale do dziadka chłopak uśmiecha się najbardziej twarzowym ze swych lustrzanych uśmiechów. – Nic takiego. Wspomniałem tylko, że

właśnie wybieramy się w trójkę na obiad.

– I co z tego? Co to może mieć wspólnego z alkoholem. Przecież zwykle chodzimy na obiad do naszej stołówki.

– Tak, ale tym razem...

– Co?

– Tym razem wspomniałem, ale niech dziadzio nie krzyczy, bo zaraz i tata zacznie...

– Co powiedziałeś?

– Że może pójdziemy do Bristolu. I chyba dlatego mama...

– Boże wielki! – Dziadek próbuje odnaleźć swój czub na głowie, ale zaraz opuszcza rękę gestem absolutnej rezygnacji. W tym samym momencie inżynier w zupełnie podobny sposób odkłada słuchawkę na widełki i podchodzi do ojca.

– Szkoda, że odłożyłeś słuchawkę – odzywa się cicho pan doktor – chciałem zamienić parę słów z Cesią.

– Przepraszam, tato, ale już sam nie wiem co robię.

Tato wie, od czego zaczęła Cesia rozmowę?

– Pewnie od pytania o Bristol?

– To tato już wie?

– A tak. Wiem – odpowiada szybko pan Jan i patrzy ciężkim wzrokiem na wnuka. Ale Zbyszek nie lubi takiego patrzenia, więc odmaszerowuje krok za krokiem w stronę kuchni, zamykając za sobą dokładnie drzwi.

– Cesia zapytała ni mniej ni więcej, tylko o to, komu z nas przyszedł do głowy szampański pomysł ciągnięcia małego po nocnych lokalach. I to po to, by zjeść obiad. Tak. Tato coś mówił?

– Nie. Nic. – pan Jan chrząka długo i donośnie – myślę tylko...

– O czym?

– O tym przekłętym obiedzie. Przecież stołówka już nieczynna. Ale czemuś ty nie wytłumaczył Cesi tej całej bzdury. Bristol! Alkohol! I do tego my ze Zbyszkciem!

– Nie zdążyłem. Cesia, jak zwykle nie przewidziała dyskusji. Poza tym obliczyła, że i tak ta rozmowa będzie nas drogo kosztować.

– Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości – kiwa głową pan Jan – całe szczęście, że jest nas dwóch...

Dopiero teraz obaj podnoszą głowy i po chwili zaczynają się do siebie uśmiechać. Wreszcie

śmieją się już na całe gardło. Nie milkną nawet wtedy, gdy do pokoju wpada Zbyszek. Chłopak przystaje w progu jak wbity w podłogę i nic nie rozumie. Dopiero teraz nic nie rozumie.

To on, niepokój

To był paskudny sen. Głupi i paskudny. A przecież pamiętam go i będę chyba pamiętał do końca życia. Bo jakże, czterech szwagrów równocześnie chce mnie złapać czy zatrzymać. A ja się nie daję i wrywam się i uciekam. I nic z tego, bo co ja do drzwi, to w nich stoi szwagier, Józek Rygiel, mąż naszej Hanki, i chwyta mnie za ręce i trzyma. To ja się wrywam i do drzwi od komórki, ale tam już stoi drugi Józek Rygiel i chwyta mnie za rękę i próbuje sięgnąć do karku. Odpycham go i rzucaam się ku sionce, ale w progu staje trzeci Rygiel, niby ten sam szwagier, Hanczyny mąż i już mnie za frak. No to skaczę ku oknu, że niby do ogrodu, na pole, ale wiem, teraz już sam wiem, że mnie zatrzyma, że nie da, że chwyci za rękę znowu szwagier Józek.

I rzeczywiście. Stoi cholera za oknem i czeka na mnie.

Nie do wiary. Czterech szwagrów, Józków Ryglów w jednej izbie! Tego jeszcze nie było. I każdy z tych czterech śmieje się tak samo, i szczyrzy do mnie zęby pod tym samym smolistym czarnym wąsem i tyrpie mnie za rękę albo i za łeb. A ja się cholernie boję, bo wiem, że muszę stąd pryskać, żeby nie wiem co, i wiem, że nie prysnę, że się tej piekielnej czwórce nie wywinę.

To ja znowu do drzwi... i znowu zaczynam tę piekielną kołomyjkę ze szwagami.

Dopiero wtedy poznaję, że to musi być sen i że wystarczy tylko mocno, bardzo mocno zapragnąć żeby się z niego wydobyć, że wystarczy odbić się mocną stopą od samego dna tego snu, a znajduję się znowu tam, gdzie powinienem się znajdować. Tylko spróbować. Tak bardzo mocno zachcieć umknąć z tej parszywej historii.

Próbuję jeszcze raz odskoczyć z tej izby zamkniętej na cztery Rygle, tak jest, bo szwagier, ten mąż Hanki, gajowy ze Stoszowa, naprawdę nazywa się Rygiel, Józef Rygiel, jest czarny jak smok na gębie i także czarne ma włosy. Ale jest tylko jeden. A nie poczwórny. I do niego mam właśnie... zaraz, zaraz... przecież to właśnie do niego mam jechać.

Ale oto przytomnieję. Dopiero teraz opamiętuję się, że to nie szwagry mnie tyrpały za ramiona, ale ręce mamy. Zamiast gęby z czarnym wąsem nachyla się nade mną zatroskana, zawsze mi najbliższa matczyna twarz, poradlona troskami jak nasze poletko w Hińczy. To jej właśnie korzeniaste ręce wrywają mnie ku przytomności z samego dna snu. I już otrząsam się na progu świadomości. Już sam jej głos ustawia mnie w świecie jawy, tam gdzie trzeba, i darowuje mi znowu wyrozumienie wszystkiego.

– Wstawej, Duniek! (tak mnie wołali tylko w domu – Duniek! Zawsze tak – mama i Hanka: Duniek!)

– Czas się zbierać! Musisz jeszcze coś przegryźć przed drogą. I herbaty łyknąć.

– Herbaty – pryham wzgardliwie – lipna! – ale posłusznie zeskakuję z wyrka i biegnę do cebrzyka z ustaną wodą, którą sobie jeszcze wczoraj przygotowałem. Najpierw się ochlapać, to najważniejsze. Zaraz przytomność wróci.

– Masz tu herbatę. Myślałam, że chociaż kubek mleka ci spatrzę na dzisiaj, ale u wujka bida i ledwie od nich skibkę chleba wyrwałam dla ciebie na drogę, to już o to mleko nie miałam śmiałości prosić. No, trudno, może u Józka odkujesz się trochę, boś taki, Duniek, mizerny, że nie mogę na ciebie patrzeć. Zawsze co gajowy, to urząd. A na urzędzie, to wiadomo, dobrze się przędzie.

-. Co on tam uprzedzie, matusiu, na tej swojej gajówce. Biedak jak i my. Ale mleko irioże rzeczywiście mieć. Tam u nich, w Stoszowie chyba łatwiej o mleko, ou! – Cholera, gorąca ta lipowa herbata.

– Dobra, dobra, pij! – zrzędzi matula i patrzy na mnie tymi swoimi wyplakanyimi oczyma, a ja zaraz, gdy ona tak patrzy robię się miękki w kolanach. Ale w tej samej chwili przypominam sobie tych poczwórnych szwagrow i wybucham śmiechem.

– Ale mi się śniło, mamu, gdybym mamie opowiedział, co, to byście i tak nie uwierzyli.

– Wskakuj w koszulę, synku, nie ma czasu sny opowiadać – ręce matczyne już mi nakładają przez łeb fajną kraciastą koszulę, najlepszą jaka jest w domu i chyba ostatnią, bo to jeszcze po Bolku, który zginął na froncie w trzydziestym dziewiątym. Pod Mławą.

I tak po pierwszym synu ostała się w domu tylko ta pamiątka w kratę, ostatnia „świca wosku”, jak się u nas w Blechowie mówiło. Niby że taki rarytas. Ale teraz, kiedy miałem się wybrać w te drogi do szwagra i nie wiadomo na jak długo, co najmniej do końca zimy – to taka koszula jak znalazł. Dobra, nieprzetarta ani w kołnierzyku ani na rękawach. I do tego w kratkę. Z portkami było gorzej, trochę za obszerne, za dużo luftów jak na takie zimowe mrozy, też pamiątka po wuju z Blechowa, ale nie powiem – ciepłe, choć wytarte w kroku i zdziebko powypychane w kolanach.

Ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Do tego kurtka, pewnie chyba tatowa, tyle że przerabiana, ale ciepła. No i jeszcze kaszkiet na łepete. Dobrze, że choć buty miałem swoje własne, tęgie jeszcze i na mocnych przyszwach, choć bardzo już rude, bo pasty do nich nie

miałem.

Już jestem gotów do tej drogi, ale wybieram się w nią jak ktoś nie taki, jaki powinien z tej chaty wyjść.

Jak ktoś cudzy. Bo jakże: w koszuli brata, w tatowym kabacie, w portkach wuja. Dobrze, że choć czapkę, niby ten kaszkiet, miałem swój i niczyj więcej. Rosam go znalazłem w rowie przy drodze do Blechowa. Jeszcze w lecie zeszłego roku. Podniosłem go własnoręcznie z tego rowu. I nadał mi się.

Tupnąłem se ja dla kurażu jedną girą i drugą po dylach w izbie i jakoś mi się różniej zrobiło przed tą podróżą. Tyle, że na matkę wolałem nie patrzeć, bo mi się coś nie spodobało w tym, jak mnie jeszcze kilka razy przed progiem poklepywała, a ściągała drżącymi palcami jakieś niby nitki z kurtki, a raz, gdy tylko ujrzała, że na nią patrzę obróciła się prędko ku kominowi, żeby coś tam na piecu przestawić czy sprawdzić. I to właśnie mi się nie spodobało, ta jej jakaś płochliwość czy niepokój jak gdyby. A w ogóle nie chciałem się ruszać z chałupy w świat, a ją samą zostawiać tak jakoś na pastwę losu i wujka w Blechowie, do którego matka nigdy „nie miała śmiałości”, jak do tego mleka, które chciała dla mnie wycyganić. Tak czy tak, właśnie z nim, z wujkiem Józefem uchwalili zaraz po Bożym Narodzeniu, żeby było najlepiej dla nas wszystkich gdybym się zaszyl gdzieś nie najbliżej, najlepiej u szwagra, gajowego. Nie na resztę wojny, ale może na te miesiące, które nadchodziły. Już teraz coraz gęściej zaczęły się smykać jakieś niewyraźne typy koło Blechowa albo nawet i u nas, w Hińczy, choć to tylko przysiółek. Partyzanci nasi i ruscy przemykają każdej nocy po opłotkach i na leśnych liniach. Najczęściej spływają z północy, od Klimontowa czy z Sandomierskiego, ale niedawno wpadli i do Turska. A potem przez cały tydzień szwabskie żandarmy, forstschutz i granatowi pacyfikowali całą okolicę. Podrywałem się i ja raz i drugi ku partyzantom, ale za pierwszym razem prysnąłem z Jaśkiem Marciniakiem, niby wujowym synem, do biwakującego oddziału BCh w lesie krasowskim.

I wtedy przegonili nas obu stamtąd zwiadowcy partyzantów, z których jeden dał znać do Marciniaków.

Więcej nie było trzeba, za dwie godziny wuj Józef z dwoma kumplami z Blechowa dopadli nas obu pod kapliczką w Skrycznym i zatargali ciupasem do domu:

Tam obaj fasowaliśmy w tyłek ile się wujowi spodobało, bo skąpy do bicia nie był. A wszystko za tę partyzantkę, ku której niby mieliśmy jeszcze czas, choć ja miałem już prawie

szesnaście, a Jaśkowi szło na siedemnasty. O drugim razie lepiej nie myśleć, bo kiedy w nocy zastukali jacyś do naszego okna, żeby zapytać o drogę do Jakuba Bukła, który miał chałupę za hińczowskim lasem, ale od drugiej strony, – poprowadziłem ich i poprosiłem o zatrzymanie w oddziale, to ichni dowódca, taki brodac, pierwsze co zrobił, to rozkazał mnie odstawić z powrotem do naszej chałupy a przy tej okazji inny partyzant, wysoki jak drabina – Pan Bóg miarę na niego stracił – który mnie odprowadzał, dał mi taki wycisk na opłotkach, że tylko zagryzałem zęby, żeby mama krzyku nie słyszała. – „To masz na drogę, zasrańcze”, – powiedział mi ten cholerski dryblas na pożegnanie – „żebyś się trzymał gnojówki a od matki się nie ruszał. Wojna chłopu trafia się częściej niż matka. To sobie zapamiętaj, smarku”.

Dziś wiem, że w nieszczęśliwej godzinie to wtedy powiedział, ale w tamten czas przysięgłem sobie, że mu tego dupobrania póki życia nie daruję. Że zapamiętam sobie jego gębę i tę tykowaną postać. I przede wszystkim mój wstyd. Ale tyle lat minęło, a ja nie zapamiętałem niczego.

Zbierałem ja się z tej naszej Hińczy, to znaczy z ciepłej izby na mróz i śnieg, od matuli, na to samotne wędrowanie, najpierw ścieżką przez las, potem dróżką zanieśioną śniegiem, ku blechowskiemu gościńcowi, do wuja Marciniaka. Stamtąd, skoro świt miały iść sanie do Mokrowoli. A z tej Mokrowoli już, jak to mówią barani skok do Stoszowa. Byłem pewny, że zdążę przed nocą do szwagrowej gajówki. Nogi miałem dobre. No, ale do tej drogi tak mi jakoś było niesporo, że aż strach.

Gdyby nie mama, może bym w ogóle się nie ruszył. Ale mama mnie sama do sieni wyprowadziła, do piersi przycisła i za próg wywiodła. Jeszcze od tego progu, kiedy się obejrzałem, dostrzegłem jak porusza szybciotko wyschniętymi wargami i ręką w powietrzu znak święty za mną czyni. „Krzyżyk na drogę” – pomyślałem sobie, i w gardle mi się tak jakoś dziwnie zrobiło, chrypka czy jak... bom po raz pierwszy tę izbę i te opłotki na dłużej opuszczał i nawet nie wiedziałem, że ostatni. Rozejrzałem się jeszcze raz. Nad głową stała tutaj czarność lutowego przedświt, ale hińczowskim lasem i dalej» za Bukłowym obejściem jaśniejsze smugi już wychodziły na niebo. Czas był iść. Odwróciłem się szybko i ruszyłem ku ścieżce. Stała. Wciąż stała w otwartych drzwiach chaty, wsparta o uszak z tą ręką uniesioną nad czołem, jak gdyby chciała mnie jeszcze dostrzec czy odprowadzić. I tak ją, z tą ręką, zapamiętałem do dzisiaj, spoglądającą w stronę, w którą odszedłem. I tak ją widzę do dzisiaj, choć to już trzydzieści pięć lat z hakiem minęło od tamtego świtania.

Ale wtedy szybko straciłem ją z oczu, chojary zasnuły widok. Musiałem patrzeć ścieżki pod

nogami, bo w lesie, było mroczniej niż na polu.

Na szczęście zdążyłem na te sanie. Woźnica, parobek sąsiadów, Tomek Grenda, coś tam marudził przy wyjeździe, że koń sztrychuje, że szadz na drodze i ślisko jak cholera, dopóki wuj się nie domyślił i nie sypnął mu do musztardówki przydziałowej chary. Tomek z fasonem podstawił dłoń pod brodę i wcedził pół szklanki do gęby aż mu grdyka zagrała. Wujek podniósł flaszką ku mnie, ale pokręciłem tylko głową, że nie. Miałem swój honor, pamiętałem wujowe baty za nasze partyzanckie ciągoty. Wuj czmuchnął nosem, ale wydłubał z kamizoli piątaaka i wpuścił mi go w dłoń. Chciałem mu rzucić tego zasranego piątaaka w ślepią, ale Tomek właśnie zaciął wałacha i sanie ruszyły a ja wpadłem nosem w jakieś worki i toboły. I tyle było mego gniewu, bo zaraz zabrałem się, że to mróz, do obtykania mojego kabatu słomą i tymi workami, a chwilę później przypomniałem sobie, że każda forsa dobra na te ciężkie czasy. Przebaczyłem wujowi Marciniakowi i schowałem piątaaka do kabzy. Ale wpierw musiałem wujowi przebaczyć, a dopiero potem schować forszę. Bo taki już jestem. Honorowy.

Późnym popołudniem dowleklimy się do Mokrowoli.

Na całe szczęście nie spotkaliśmy ani zielonków ani granatowych, a przede wszystkim własowców, bo ci byli zawsze cholernie pazymi na forszę, zarcie i bimber.

A po wszystkim, kiedy już się nażarli i pociągnęli samogonu, zabierali się do mordowania. Nigdy przed tym.

Przyłapanie na drodze ofiary trzymali przez cały czas na muszce, czasem nawet częstowali je bimbrem, ale gdy tylko ruszali dalej, a raczej nim ruszyli – mordowali każdego świadka. Kropili do ludzi jak do kaczek.

Taki już mieli dziwny obyczaj, żeby ich jasny gwint w paragrafy poskręcał.

W Mokrowoli pomogłem jeszcze Grendzie przenieść worki i toboły do stajni gospodarza, u którego miał się zatrzymać na noc, żeby skoro świt wrócić do Blechowa. Takim prawem chętnie przyjąłem zaproszenie na nocleg, bo miałem piekielnego pietra przed samotną drogą do Stoszowa. I to na piechty. Ciekawa rzecz, parę tygodni temu byłem taki kozak na partyzanckie życie, rękami i nogami chciałem się przylepić do jakiegoś oddziału, mimo wojny, mimo pacyfikacji i tajniaków wężących po okolicy. A dziś jest okazja, ruszyć na noc do Stoszowa, tyle, że samemu, i oczywiście bez broni.

A mnie aż tyłek marznie ze strachu na myśl, że miałbym teraz wyjść nocą na ten gościniec bielejący za oknem i pomaszerować do Stoszowa. Nie wiem, dlaczego to tak wyszło i co mi się

stało, ale może posmakował mi gospodarski bimber, albo ten spłacheć siana rzucony w rogu bokówki na ziemię, na którym już się wodziło pod niski sufit grube Chrapanie Grendy. Chyba to chrapanie zawiodło mnie w sen, zanim jeszcze zdążyłem pomyśleć jaki to wstyd, że zdecydowałem się na to spanie.

Rano wyruszyłem w zadymce. Dobrze i to na te ciężkie czasy, bo nie lezie się szkopom w ślepie i w razie czego łatwiej odskoczyć w las, gdyby jaka cholera ich naniósła. Mróz jakoś popuścił, już dobrze z południa skręciłem z gościńca w przydrożny młodniak, ale gęsto podbity jakimiś krzami, jeżyny czy co... Przykucnąłem na pierwszej lepszej kępie, pojadłem sobie pół skibki matulowego razowca i przegryzłem małą cebulą. Do dziś dnia nie wiem skąd wytrząsała tę cebulę: Sobie od ust odjęła, to było pewne. A raczej nie, pamiętałem ale tylko jej postać z daleka, z tą ręką podniesioną do czoła. I taki mnie wtedy żal wziął nad sobą, właśnie nad sobą samym, nie nad matką stojącą na progu, nie nad naszą chałupą zapadłą między opłotkami – ale nad sobą, nad tą cholerską dolą pętacką, nad tym kopniakiem, którym mnie poczęstowali partyzanci i tymi szkopami, którzy mnie mogli stuknąć na gościńcu. Pewnie i wuj Marciniak musiał maczać palce w tej mojej zgryzocie podróźnej. Może nawet przyczynił się do tego i ten czarny chleb, który mi nagle kością w gardle stanął. A już najbardziej to ta malutka cebula wyczarowana przez matkę w zawiniątku z jedzeniem, wygrzanym za pazuchą podczas drogi. A do tego jeszcze zadymka, która mi to jedzenie soliła. Toteż przymrużyłem szczelnie powieki, żeby się nie rozkleić do imentu, bo żal żalem a do Stoszowa jeszcze z piętnaście kila z hakiem, i oczy trza trzymać suche, żeby nie wyzdradziły człowieka na drodze.

Ale kiedy ruszyłem znów spod tej kępy ku gościńcowi, trochę się we mnie jakby odmieniło. Nawet na gwizdanie mi się zebrało. Na szczęście opamiętuję się w porę, bo jeszcze tego brakuje, żebym sobie przygwizdał jakąś francowatą sztrajfę niemiecką. Czasem jak im co strzeli do głowy, to buszują nawet po debrach i komyszach. Pokazali się w styczniu także w Hińczy, tyle że za opłotkami. Widać kogoś tropili, psia ich mać. Przysiółek nie przysiółek, jak kogoś raz wezmą na oko, to już nie popuszczą. – A przecież przed dwoma tygodniami spacyfikowali ten... to osiedle za Turskiem... jakże ono się nazywa... nazywało, przecież już od dwóch niedziel w ogóle się nie nazywa, bo go nie ma – aha, Stołki... nie, Sołki.

I co tam było, sześć chałup na krzyż. Szukali kogoś, czy jakiś szpicel nadał im kogoś właśnie w tych Solkach. Przyjechali w dwie ciężarówki, sami żandarmi, pancerne sukinkoty, w żelaznych baniakach, powyganiali z tych paru chałup każdego kto żył i rąbnęli wszystkich w sadzie przy

wjeździe do osiedla. Sześcioro czy ośmioro luda. Kum wuja Marciniaka, u którego schronili się w Tursku, ci, co zdążyli dać nogę z Sołków, bo uwidzieli z daleka nadjeżdżających szkopów – to właśnie ten kum opowiedział wujowi, że kiedy samochody odjechały, a ci co zwiali, powrócili w nocy do swoich chałup – zastali wszystko w porządku. Żandarmi ani jednej ławy nie przewrócili, ani skopka z mlekiem, który stał przy piecu w jednej z chałup.

Nic. A najważniejsze, nie podpalili swoim zwyczajem żadnej chałupy, jak to lubili czynić na odjeźdnym. Tylko tych kilkoro nieboraków, którzy nie chcieli czy nie mogli odskoczyć w las – tylko tych przybili kulkami do ziemi, bo wszyscy byli postrzelani przez plecy. Gdzie który stał. Dopiero wtedy odjechali.

– A gdyby tak... – nagle paskudna myśl przelatuje mi przez głowę – a gdyby tak u nas, w Hińczy coś takiego. Przecież to też przysiółek i też się może zdarzyć, że go szkopy odnajdą. Tfu! Co mi się przyczepiło do głowy. Zadupie takie okrutne, nawet na mapie szkoda szukać, kto by tam do nas trafił – mamrocę na głos, ale przecież przystaję na skraju gościńca, bo jakby mnie jakaś zadyszka za piersi chwyciła. – A może by tak zawrócić? – druga myśl jak żmija wkręca się człowiekowi w łepetynę – Wrócić? Teraz?

No, no nie, chyba mnie co opętało – powtarzam na głos i dopiero wtedy przytomnieję. Jeszcze tego brakowało. Pierwsze co, to mama by jsię przelęknęła na amen i co by z tego wyszło – dumam i kręcę głową nad własną durnotą. Matczysko wysyła synka w bezpieczniejsze miejsce, do szwagra, do siostry, synek może jeszcze nie wypierzony, ale póki co wszystkie klepki ma w porządku. I nagle tenże synek wraca z połowy drogi do domu jak ostatni wsiok i cwancygier, bo mu się po drodze króliki w głowie popieprzyły, że jak coś się gdzieś straszego stało, w jakichś Solkach, to w Hińczy...

– Rany boskie! Przecież w Hińczy, do nas... przecież nie tak łatwo ku nam się przeprawić – kombinuję i żeby przestało mnie kusić, ruszam mocnym krokiem przed siebie. – Poza tym inaczej niż przez Blechów nikt do nas nie trafi. Chyba piechty. A z Blechowa droga się kręci i już z daleka, od zakrętu widać kogo diabli niosą. Wuj Marciniak pierwszy by przeniuchał co i jak. Zawsze by sami zdążyli prysnąć, kto by musiał, właśnie przez Hinczę, w las. To wtedy by dali znać mamie i innym.

No, kiedym sobie już to pomyślał, jakoś odsapnąłem.

A nawet poczułem takiego szprejsa w nogach, że jeszcze przed wieczorem dojrzałem Stoszów. Najważniejsze, że przez całą drogę z Mokrowoli spotkałem tylko czworo ludzi. Śnieg

już dawno przestał padać kiedy skręcałem w stoszowski las, ku szwagrowej gajówce. I dopiero wtedy napatoczyłem się na jakąś furmankę, która wracała od lasu z kubikiem przydziałowego drewna. Do tego drewna właśnie szwagier Rygiel przyłożył gospodarzowi trochę chrustu na podpałkę. Za nic, za dobre słowo, jak przysięgał woźnica furmanki. A jeszcze kiedy go zapytałem, co u gajowego, to mnie uspokoił, że jak na wojenne czasy, to spokojnie. Tyle, że od Bożego Narodzenia szkopy czepiły się szwagrowego rewiru na polowania. Już parę razy wyskakiwali tu na samy a nawet na dziki. Żeby było weselej, to zawsze z nagonką, by ich jasna krew nagoniła. Ale poza tym spokój.

Od razu poczułem się lepiej i durne myśli wyleciały mi z głowy. Po pół godzinie stukalem już w drzwi gajówki. Pierwszy raz byłem tu u szwagrów od kiedy Hanka wyszła za Józka. Wesele było właśnie tutaj, a nie tak jak ma być, w domu młodej. Ale gdzież by u nas, w Hińczy, po pierwsze bida aż piszczy, po drugie miejsca w obu izbach tyle, co kot napłakał, jak tu gości przyjmować. I za co!

No i jakoś tak młodzi z mamą uchwalili, że mama Pojedzie z Hanką tydzień wcześniej do Stoszowa, tam przygotuje, co się da przygotować w gajówce przed weselem. Ja zostanę w Hińczy, pilnować chałupy. Ślub wezmą w stoszowskim kościele i wsio. No i tak się stało, „bo Józek wtedy świata poza Hanką nie widział i wziął ją z domu, jak to się mówi: w samej koszuli. A poznał moją siostrę w Mokrowoli u swojej ciotki, Bargiełowej, która go wychowała, gdy mu rodzice umarli przed wojną. Właśnie u tej ciotki Hanka była już od roku w obowiązku, no, niech będzie: na służbie. To i tam się poznali, czy pokochali, nie znam się na tym, chociaż nie mogę powiedzieć, parę razy już przytłukłem Zośkę Sternalkę w hińczowskim życie, a raz u wuja Marciniaka w stodole podmacywałem przez parę godzin takiego cycatego kurdupła, Marysię, córkę wuja a rodzoną siostrę Jaśka, z którym żeśmy chcieli pryskać do partyzantów. Co miałem robić, Maryśka napażala się do mnie jak groch do ściany, a była starsza ode mnie o rok i już dawno wiedziała jak się to robi. No i podkładała mi się z każdej strony. Na szczęście uratował mnie sam Jasiak, który przyłapał mnie w tej stodole i przysrał bardzo Maryśce, że mnie wciąż za coś ciąga, co się może bardzo źle skończyć, bo ja jestem bratem ciotecznym, a jak się cyka z bratem ciotecznym to jakby się cykało z rodzonym bratem i to jest sodomia i gomoria. I dopiero wtedy cycaty kurdupel się ode mnie odczepił.

Tak kombinuję na wszelki wypadek, jakby kto myślał, że o tych rzeczach nic nie wiem. Wiem, tylko się do nich nie palę. I tak wiadomo, że z dziewuchą idzie wszystko zrobić.

Wystarczy rękę wyciągnąć. Albo i co inne... Ale to mi się tylko tak wspomniało, i to cholera wie, dlaczego właśnie wtedy, kiedy mi stukał do drzwi gajówki. Nigdy nie wiem kiedy mi co głupiego do łeba przychodzi, a tym bardziej wtedy, kiedy nie trza. Ale ja teraz nie o dupie Maryni, ale o gajówce.

Bo akurat gdy tylko zacząłem dobijać się do drzwi – zgasło światło w oknie od strony, gdzie stałem. Wcześniej zajrzeć nie mogłem, bo okno przeciwnie przysłonięte, tylko przez szpary widać światło. I właśnie to światło zgasło. Do okna stukać nie szło, nie chciałem straszyć szwagrów, choć już wiedzieli, że lada dzień powinienem do nich się pokazać. Zawiadomiliśmy ich jeszcze o tym z początkiem lutego. A dziś mamy już czternasty luty nowego roku wojennego, czterdziestego czwartego. Piąta zima tej wojny. I ja się smykam po gościńcach, w kopnym śniegu, w zadymce, bez żadnego papierka, bez kennkarty, bom niepełnoletni, tylko z zeszłorocznym zaświadczeniem prawa do pomocniczej pracy w lasach blechowskich. Uganiem z tym papierkiem jakbym rozumu nie miał. Coś tam wujek zalewał, że szwagier już jakąś robotę mi tu spatrzy, ale...

– Kto tam? – słyszę nagle przez drzwi głos Józka.

Nareszcie!

– Swój. Otwórz szwagier.

– Kto?

– Władek. Brat Hanki, przecież mówię – szwagier.

– Duniek? Sajłsa?

– Nie. Święty Jacek z pirogami – pyskuję, bo mi się nagle przypomniały te kilometry, które już dzisiaj odwałem. Dopiero teraz czuję każdy z tych kilometrów osobno, choć ich po drodze nie liczyłem. I własne nogi w starych, zimowych buciorach, jeszcze sprzed wojny, pewnie też tatowe, bo tato umarł dawno, w trzydziestym drugim – zaczynam się wściekać, że tak po próżnicy waruję pod oknem jak kołédnik w Sylwestra Otwieraj, bo jak nie, to wracam do Hińczy – tupię nogami z tej złości.

Duniek! – słyszę teraz głos – Hanki i już ją samą widzę na progu. To i zaraz cały zawziętek mi przechodzi, bo co mam robić jak mnie już siostra za ozydle trzyma i telepie mną i całuje i znów telepie. Dopiero za chwilę oddaje mnie Józkowi, który też mnie cmoka na powitanie i zaraz odbiera ode mnie resztę mojego bogactwa – węzełek z gatkami i parą onucek. Chyba też jeszcze ojcowe. Szwagier, choć gajowy, nie w lesie chowany. Chłopski rozum ma – waży

węzelek w garści i kiwa głową, ale zaraz rypie mnie w plecy i popycha do sieni a stamtąd do izby. Po półgodzinie kiwam się już nad miską żuru z prawdziwymi skwarkami, ale ledwie dojadłem te wspaniałości do końca i nawet łyżki nie zdążyłem oblizać, juzem zasnął. Bo pierwsze com w tej izbie poczuł to nie był zapach tych skwarków, tylko ciepło. Dopiero wtedy się pokazało jakżem przemarzył w tej drodze. Naprawdę odtajałem chyba we śnie. I już nawet nie wiem, czyje ręce mnie rozebrały z ojcowych i bratowych maneli, kto i kiedy zataszczył mnie na to przytulne wyro w kącie izby, w którym się zbudziłem na drugi dzień. Niby figle figlami, a ta piekielna droga dała mi rady na fest. Spałem, jakbym się blekotu objadł.

Dopiero na drugi dzień szwagier wziął mnie w obroty. A co, a jak tam u nas, a kto obcy się kręci po Blechowie, a czy kto do wujka zagląda. Nawet o nar szego Bukła z Hińczy zahaczył, a nie wiedziałem wcale że go zna.

Przyglądam ja się Józkowi podczas tego całego wypytywania. Wydaje mi się jakiś chudszy czy może wyższy. I wąsy, te swoje czarne, którymi mnie straszyl we śnie – te wąsy jakoś tak się opuściły, jakby mu się smutno zrobiło, żem przyszedł. I właśnie w tej chwili gdym to pomyślał, pyta mnie nagle, bo dotychczas tylko słuchał.

– A ty, Władzio, co mi się tak przyglądasz?

– Ja? Bo mam oczy – odpowiadam jakbym na to czekał, ale zły, że mnie na tym przyłapał – A ty co mnie tak wypytujesz?

– Bo mam uszy i chcę usłyszeć jak najwięcej. Takie czasy, że każda nowina jest w cenie – Teraz szwagier się uśmiecha i już jest taki sam jak dawniej, kiedy go poznałem. Zwyczajny Józek. – A poza tym – dodaje jeszcze – poza tym chciałem się jeszcze czegoś dowiedzieć o was...

– O Blechowie?

– Nie. O Hińczy – odpowiada Józek jakoś tak obojętnie, jakby nie był tak bardzo ciekawy tego, co powiem.

– O Hińczy? A co ci mogę powiedzieć o Hińczy? Byłeś u nas na jesieni, sam żeś widział. Od tego czasu nic.

Nikt się nie wyprowadził, nikt się nie powiesił...

– Władek! – szwagier nachyla się do mnie przez stół i kładzie mi rękę na ramieniu. Ciężką taką, i patrzy na mnie tak, jakby zabierał się do bicia. A ja bardzo nie lubię jak mnie kto bije. Odsuwam się od stołu i pytam prosto.

– Czego chcesz, Józek? A ręki na mnie nie kładź, boś mi nie ojciec. Com ci zrobił?

– Bo takie dumoty możesz sobie schować za pazuchę. Ja nie dla śmichu pytam, Władek!

– A co jest? – Kontruję cicho, bo już mam trochę pietra. Nie podoba mi się Józek. Nigdy go takim nie widziałem.

– A to jest – odzywa się Józek przez zęby – że masz mi teraz odpowiedzieć tylko na to o co pytam.

Ale bez głodnych kawałów. Jasne?

– Czego chcesz?

– Pierwsze: znasz dobrze Bukła?

– Co ty z tym Bukiem...

– Znasz go?

– Tak jak wszyscy. To nasz sąsiad, choć nie bliski – mówię prędko, bo szwagier przysiada przy mnie, nos w nos. – Ma obejście za lasem, od pola i wyrębu.

Bidak jak i my. Trzy morgi z hakiem.

– Rodzinę ma?

– Żonę i chłopaka. Maluch taki, może pięć lat. Ale od lata, no nie, gdzieś od września, siedzi sam w chałupie. Żonę z synem gdzieś wysłał, ale nikt nie wie, gdzie bo Bukiel do gadania nieskory. Siedzi teraz sam, jak borsuk w norze. To znaczy, nie, ma takiego pomagiera, który mu posługuje przy gospodarce. Taki... może rok starszy ode mnie. Woła go Julek. „,

– Julek, powiadasz, aha. I co, ktoś do nich przychodzi?

– Nie... Chociaż, zaraz, zaraz – wołam, ale szwagier kładzie mi rękę na gębie.

– Ciszej – syczy mi do ucha – Hanka nie musi o wszystkim wiedzieć – gadaj ciszej.

– Dobra. Teraz, niedawno... przyszli w nocy do nas, to znaczy... nie weszli do izby, tylko zastukali w okno.

– I co?

– Pytali właśnie o niego, o Bukła. Gdzie mieszka i jak się do niego idzie.

– Kto to był?

– Nie wiem. W oknie było tylko dwóch. Taki wysoki jak tyka, musiał się w pół złamać, żeby ze mną gadać, bo mama... mamy nie chciałem w to mieszać.

– Właśnie o mamę też chodzi... zaraz ci wyklaruję.

Gadaj dalej. A ten drugi?

– Ten drugi, widać dowódca, z brodą, taki jakiś kudłaty, ten drugi wywołał mnie przed

chałupę i kazał prowadzić do Bukła, bo jakoś nie bardzo mogłem mu wyklarować jak tam dojść najkrótszą drogą. Ale co ma do tego mama?

– Zaraz ci powiem. A ty co, podprowadziłeś ich?

– A jakże. Pewnie, że tak. Nawet w dupę od nich dostałem.

– Co?

– Bo ja... bo mnie przyszło wtedy do głowy, że mógłbym się z nimi... że mogliby mnie przyjąć do oddziału. Do partyzantów niby.

– No, nic lepszego nie mogłeś wymyślić. A mama to co, zostawiłbyś ją samą na łasce pańskiej?

– Kiedy... bardzo chciałem... do partyzantów. Już przed tym kombinowaliśmy obaj z Jaśkiem Marciniakiem. Ale wtedy też nie wyszło.

– A co? Ci, których wiodłeś do Bukła też cię nie chcieli?

– Chcieli. A jakże. Ten ichni kudłaty generał, kiedy ich tylko przeprowadziłem skrótem, przez las do Bukłowej chałupy, kazał mi wracać do domu. Ale to już!

– Tak powiedział?

– Tak powiedział. Widać to, jest taki partyzancki rozkaz. Bo kiedy nie chciałem wracać, odkomenderował do mnie tego wysokiego, co stukał do nas w okno.

Rozkazał mu odholować mnie do domu. To co miałem robić? Wstyd było jak cholera, ale prowadził mnie sukinkot za rękę, jak pannę do ołtarza, aż pod nasze opłotki i dopiero tu dał mi wycisk.

– Za co?

– Na pamiątkę, za to, że im pokazałem drogę w nocy. Dobrze choć, że to było w nocy i nikt nie widział.

A krzyżeć było wstyd. No i co ty powiesz teraz?

– Powiem, że prawidłowo zrobił – gada ten zdrajca, Józek – ale jeszcze chciałbym wiedzieć, ilu ich mogło być wtedy?

– A skąd mogę wiedzieć. Szliśmy w nocy i do tego przez las. Poza naszą trójką, bo szliśmy przodem, mogło być jeszcze paru, tak na oko niewielu, sześciu... ośmiu.

– I co było potem?

– Nic. Potem poszedłem spać i chociaż zaraz nie usnąłem, bo mnie... co tu dużo gadać... bolało...

- Tyłek? – kiwa głową szwagier i ani nie mrugnie.
- Wszystko. Kropił gdzie popadło, cholerny drańgal.
- A oni zaraz wracali, czy jak?
- Nie wiem. Za mojej pamięci nie wracali. A potem, jak zakimałem, to też nie.
- Skąd wiesz?
- Bo rano sprawdzałem ślady koło naszej chałupy.

A jakżeśmy szli w tamtą stronę, a potem jak ten dryblas mnie odprowadzał do domu i... i... no wiesz, co... to zaczął padać śnieg. Nie duży, ale przecież padał.

I z rana jak wstałem i poszedłem za potrzebą, to żadnych śladów na tym śniegu nie było.

– Sprytnego mam szwagra – klepie mnie Józek po karku – Ale z tego wynika, że tamci o ile nie zostali na noc u Bukła, musieli wracać inną drogą a nie przez Blechów.

– Na noc, nie ostali na pewno. Ludzie by ich uwidzieli. Chyba poszli dalej przez las. Bukiel musiał pokazać im tę drogę.

– To jest jeszcze druga droga?

– Jest, ale okrężna. Naprzód przez te dwie gminne poręby, a potem takim krótkim duktem podchodzi na dwudziesty kilometr gościńca. Już za zakrętem. Tyle, że droga paskudna.

– Bajora?

– Nie. Wyboje. Jak nie nakłaczysz siana do półkoszka, to ci oczy podbije, nie tylko nerki. Tak hopka.

Mało kto tamtędy jedzie.

– Ale ciężarówka przejedzie?

– Kto ci tam będzie ciężarówką zasuwiał. W nocy!

– Mogą się tacy trafić, psiakrew. Mogą, sukinsyny.

– Żandarmy? Józek!

– A jak myślisz, nie? Jeżeli kogoś bardzo gorąco szukają, to i swoich kości nie pożałują.

– Rany boskie! To prawda – wołam przestraszony i znów czuję rękę Józka na ustach. – Mogą nadjechać tamtędy. I wtedy ich od Blechowa nie widać, bo to poniżej zakrętu.

– Teraz już wiesz, chłopie, dlaczego pomyślałem o... mamie. Twojej przecie i Hancynej, nie?

– Szkoda, że od razu o tym nie pomyślałeś – wrywam się jak głupi i prędko tego żałuję, bo szwagier krzywi się jakby go fluksja w zębach napadła i zaraz mówi:

– Mogłeś sam na to wpaść, a nie na mnie czekać.

Skąd mogłem wiedzieć o tej drugiej drodze do Hińczy.

Jeszcze na weselu gadał mi wujek Marciniak, że do was można się dostać tylko przez Blechów i że jak by co nie daj Boże... to zawsze ma czas, by dać znać mamie.

– To oo? Mogę się wybrać jeszcze raz z powrotem po mamę. Tyle, że jej... że nie wiem, jak by sobie bidula poradziła na piechotę. Taki szmat drogi. Koło obejścia to jeszcze biega, ale...

– Pomyślmy o tym, nic się nie martw. Wytrzasnę jakąś furmankę dla mamy Sajkowej. Jakże! Chyba nie pozwolę, żeby moja teściowa zasuwała na piechotę z Hińczy do Stoszowa. Wózek jakiś z leśnictwa spatrzę, z konikiem oczywiście i pojedzie sobie do nas powozem, jak jakaś pani, nie? Świekra przecie! – Dopiero teraz szwagier jak gdyby poweselał trochę. Musi też lubić naszą marne. Pewnie, kto by jej nie lubił.

– Fajnie – podrywam się z zydła. – Trzeba to jak najwcześniej zreferować. Zaraz powiem Hance.

– Chwileczkę – przytrzymuje mnie Józek – powiedz mi jeszcze...

– Co zaś?

– Jak wygląda ten... ten Bukiel?

– Bukiel? No... jak by ci to... zwyczajnie. Taki, średniego wzrostu, prawie łysy, za to z – taką małą brodą. Co by więcej ci... aha, lubi chodzić z rękami w kieszeni. Myślę, że to dlatego, że brak mu trzech palców u lewej. Podobno stracił je na froncie. We wrześniu.

– U lewej, mówisz – gada Józek, chyba sam do siebie i krzywi się tak jakby chciał zaraz kichnąć – u lewej – powtarza cicho – A ten Julek, to co?

– Julek? A no taki chuderlawiec. Błady jakiś. Milczek. Jeszcze mniej gada niż Jakub.

– Co za Jakub?

– Bukiel. Przecież jemu jest Jakub.

– Zapomniałem. I co ten Julek? Dogadać się z nim nie idzie?

– Kto by chciał się z nim dogadywać. W lecie ani w jesieni na wygon nie wychodzi, a w zimie też kręci się po dziedzińcu i za obejście nosa nie wystawi. Parę razy spotkałem go także w lesie. Pewnie po chrust, jak i ja. Kiedy mnie dojrzał za pierwszym razem z daleka, to tylko dał szusa w bok i tyłem go widział. A teraz, w zimie, spotkałem go koło tego mrowiska pod jasionem, w lesie, no wiesz, gdzie. A prawda, ty nie wiesz, boś nie był w naszym lesie. No to jakżem go tam spotkał, to mówię jak do człowieka – cześć, Julek! Jak leci? – A ten ani słowa na

to. Jakby mu gębę zasznurowało. Zwinął się jakoś koło tego jasiona i przepadł.

Durny jakiś czy co...

– Pewnie mu ten wasz... Jakub zakazał rozmawiać z ludźmi. A może głuchoniemy, co?

– Gdzie tam. Raz przechodzili koło nas, nie całkiem blisko, za opłotkami, tą ścieżką na Blechów, to sam widziałem jak mu, to znaczy Julkowi, stary Bukiel coś klarował. I wtedy dostrzegłem, że ten Julek też gadał bez przerwy a Jakub go słuchał. I to nawet bardzo uważnie. To Wślę, że...

– Już ci raz powiedziałem, Władek, że mam sprytnego szwagra. Teraz to powtarzam. Umiesz patrzeć i z samego patrzenia kombinować o co może chodzić tym gadającym.

– Coś ty mnie zanadto chwalisz, Józek? Pewnie ehcesz jeszcze czegoś ode mnie, co?

– Jak byś zgadł! – śmieje się wtedy szwagier, ale tak jakoś krzywo i przygląda mi się, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu. – Mam coś do ciebie, Duniu.

– Oho – myślę aobie – Jak już „Duniu”, to pewnie coś będzie nie całkiem fajnego dla mnie. Nigdy na mnie tak nie woła – kombinuję, ale na głos mówię tylko:

– Jak co masz do mnie, to gadaj.

– Wiesz, to taka... no, trudno, taka głupia sprawa, ale musisz mi w niej pomóc...

– Co zaś takiego?

– Nie popędzaj, zdążysz się dowiedzieć – burczy Józek i zapala cygareta – chodzi o... polowanie...

– Co?

– O polowanie. Pojutrze Szwaby przyjeżdżają z Włodawy i z kilku ligenszaftów.

– A eo to ciebie... co to ma do ciebie?

– Coś ty zgłupiał, Władek. Przecież ci mówię. Pozajutro raniusieńko przyjeżdżają do nas do gajówki Szwaby, rozmaite forstleitery, wojskowi, taka hitlerowska... galanteria, kilku z ichniej cywilbandy; do tego, to jasne, całe nasze naczalstwo z nadleśnictwa, Trossel, Kempkę... zresztą co ci będę... i tak ich nie znasz.

– Ale co ja...

– Czekaj. Słuchaj, co ci gadam. Cała ta szkopska ferajna przyjeżdża tu...

– Już wiem – przerywam mu spokojnie – na polowanie. Na dziki, tak?

– A ty skąd wiesz, że na dziki? – Józek ma taką minę, jakby właśnie dzik na niego szarżował.

– Przed chwilą sam gadałeś, że sprytny, nie? Ale ci powiem: to ten stary, który wczoraj

brał od ciebie kubik drewna, powiedział mi o tych polowaniach na dziki. Tutaj, w twoim rewirze.

– Dzięki Bogu – oddycha z ulgą Józek – bo już sam nie wiedziałem co myśleć.

– A co? To takie ważne, te ich zasrane polowania, że nie mogłem o tym słyszeć?

– Żebyś wiedział, że ważne. Nikt nie ma prawa pisać słowa o tym, gdzie te sukinsyny polują. Pewnie, wolą tu strzelać, niż na froncie wschodnim. Bohaterzy, psia ich mać. I uwzięli się na nasz rewir. Jakby ich frasz napadł. Już cztery razy urządzali u nas taki trommelfajer. Wystarczyły im dotychczas jelonki, sarny i szaraki. Ale ostatnio dostali pod lufy młodego dziczka, takiego gówniarza, prawie warchlaka. Pewnie odbił się bidak od stada i wlaź pod muszkę samemu panu oberstowi Leistowi, przepraszam, von Leistowi. No i zaraz gwałt, że czemu dotychczas nie wiedzieli, że tu bywają dziki na odstrzał. Ale jaki tam odstrzał, kropią skurczysyny do wszystkiego, co żywe, co im się nawinie pod lufy. Takie sonntagsjegry.

– A ty musisz im pomagać?

– A ja muszę im... – co... co... chcesz przez to powiedzieć? – szwagier marszczy brwi i przez chwilę milczy. – Przecież siedzę tu, w tej... na tym zadupiu, swoje robię, nikt się mną nie interesuje, jeszcze ja sam mogę czasem komuś pomóc. A to się teraz bardzo liczy.

– I pomagasz?

– Za dużo byś chciał wiedzieć, Władek. Ale może i do tego przyjdzie, że ci... że się dogadamy. Mówiłeś, że cię ciągnie do partyzantów, co?

– Za dużo byś chciał wiedzieć – odpowiadam mu na przekór, ale tym razem Józek już się nie marszczy -Ale co z tym... tym szkopskim polowaniem?

– No właśnie – ożywia się szwagier. – Przyjadą o świcie. Już wczoraj dali mi znać z nadleśnictwa, żeby wszystko przygotować. Postarać się o te cholerne dziki.

– Ja kto „postarać się”? Złowisz je do klatki, przywieziesz i wypuścisz im pod dubeltówki?

– Niekoniecznie.

– A jak?

– Raz, że na dzika wychodzi się też z karabinkiem.

A tego szajsu to te sukinkoty mają jak wiesz do cholery.

– Wiem. Do nas też z nich kropią, to co nie mam wiedzieć.

Szwagier znów patrzy na mnie przez chwilę tym okiem co na psa, ale nic nie mówi. Dopiero za chwilę wzdycha bardzo głośno i znów sięga po papierosa. Widzę, że tym razem wyciąga jakieś świństwo, zdaje się haudegena. Pstryka w paczkę.

– Zajarzysz?

– Dziękuję.

– Wolisz skręta?

– Daj mi spokój. Gadaj, co ja mam z tym polowaniem, dobrze?

– Chcę cię prosić, żebyś wziął udział w nagonce, kapujesz?

– Ja?

– W nagonce?

– Co cię napadło, Duniu! Nie rozumiesz, co do ciebie gadam?

– Rozumiem, tylko że ja w żadnej nagonce szkopskiej...

– Czekaj. Nie drzyj się, bo Hanka usłyszy. Musisz zrozumieć, że ja tutaj... no... są takie powody, że muszę tu tkwić na tej gajówce. I dla oka zauda nie podskakiwać, żeby mnie nie przyuważyli. Wiesz chyba, kto?

– Wiem, czarni, tak?

– A tam... włóczy się ich tu pełno, jak psów. Czarni, zieloni, granatowi. Muszę kombinować, żeby nie podpaść. Jasne?

– Jasne. Ale ja nie muszę.

– Zgoda. Ale teraz jesteś tutaj. U mnie. Muszę cię zameldować, nie? Nie możesz się pętać przy gajówce tak samopas. Zaraz by się sołtys upomniał o ciebie.

I taki jeden... Wójcik... foks, kij mu w oko. Przy wszystkich spisach urzęduje. No, jechał go sęk. Tu chodzi o ciebie. A przede wszystkim o mamę.

– Prawda... – stękam, tym razem przegrany do imentu, bo już widzę do czego Józek dryfuje.

– No i sam widzisz. Zaraz po polowaniu, bo przyjeżdżają tylko na jeden dzień, może nawet i podczas, będę się starał pogadać z leśniczym w sprawie furmanki do Hińczy. To nasz człowiek, fajny chłop, ale w takiej sprawie musi bodaj coś szepnąć w nadleśnictwie.

Ale tak czy tak – załatwi. A co do ciebie, to wolę twoje meldowanie skombinować przez Zarewicza, to właśnie leśniczy, niż przez sołtysa. Papierek z leśnictwa i fertig. Nazywa się, że cię przyjęli przez leśnictwo do służby leśnej. Nikt nie musi wiedzieć, ktoś ty taki. Szwagier nie szwagier. I z mamą też się załatwi.

Nawet prędzej niż z tobą, wiesz jak to jest.

– I co ja w tej nagonce? – poddaję się Józkowi, bo co mam robić. To on ma rację, nie ja.

– Jak to co? Co się robi w nagonce? Pcha się przez las, holuka się, trza się drzeć jak

w operze, na cały pysk, robi się raban. No i wali się przy tym patykami o pnie i gałęzie i pędzi się zwierzynę na myśliwych, jeszcze coś tam w łapę wpadnie, grosze bo grosze albo jakiś deputat na opał, albo drewno, żeby sanie podreperować, podstemplować dach, czy ja wiem na co jeszcze. Ludzie bardzo chętnie zgłaszają się do tego.

– To po jaką cholere jeszcze ja się mam, zgłaszać? – wołam zrozpaczony, ale zaraz mnie zatyka, bo Hanka wsadza głowę do izby. Przygląda nam się podejrzliwie – wie, ale my już oba jak te trusie.

– Obiad na stole, chłopaki. Pierogi z jasnej mąki, Duniu, te które lubisz. A Józik...

– Już idziemy, Hanuś. Jeszcze momencik – szwagier uśmiecha się na siłę. – Już!

– No, ale zaraz przychodźcie, bo potem sam będziesz karmił Wicka. Wiesz jaki on kapryśny na jedzenie.

–: W tej chwili idziemy – woła Józek. – Ty mi nie jesteś potrzebny do nagonki – zwraca się do mnie gdy tylko za Hanką zamknęły się drzwi – chcę załatwić wasze meldowania kiedy się trafia właśnie okazja. Ale tobie trzeba wszystko klarować sto razy, jak choremu koniowi.

– Dobra! A kij?

– Jaki kij?

– Kij ci w oko! – Gadam niby serio, ale zaraz dodaję – Kij, żebyś miał czym pracować po tych pniach i konarach. Chociaż co one winne. Wolałbym tych twoich gości pomagać...

– Tacy oni moi goście jak ja ich gospodarz – widzę, że twarz Józka kurczy się w paskudnym uśmiechu.

Przyglądam mu się ukradkiem, bo aż mi dziwno jak może się człowiek zmienić w jednej sekundzie. Jakby mu te siwe ślepie lodem zaszyły. – Żeby nie te wąsy, to bym cię chłopie nie poznał – przelatuje mi przez myśl – Całkiem tak teraz wyglądasz, jak w tym moim hińczowskim śnie. Gdybym nie wiedział, żeś szwagier, to bym pomyślał żeś diabeł. Musisz cholernie kochać tych swoich ancymonów od frajerskiego polowania.

– A wiesz, śniłeś mi się – wrywam się ni stąd, ni zowąd.

– Ja? Tobie? – nie pieprz, bo mi nie do śmichu – podrywa się Józek, ale zaraz poprawia się. – No, nie marszcz się, gadam tak, bo mam jeszcze kupę roboty z tym szajsem pojutrze. A jak ci się śniłem? Pewnie jak święty Mikołaj? O, już się obrażasz – klepie mnie po ramieniu. – Po południu wezmę cię do lasu, trochę mi pomożesz, jeszcze muszę zajrzeć do Szyjków, to taki folwarczek na polanie, trzy kilometry stąd. Zawsze stamtąd zaczynam gon i tam kończę. Tam stała taka pusta

szopa, strasznie im się spodobała.

– Szkopom?

– A komu innemu? Rozbudowali ją, zwłaszcza sień, która przechodzi środkiem tej budy. A za nią poręba pod sam las. W środku sieni zmajstrowali takie duże koło otoczone kamieniami. W środku tego koła rozpalają ognisko, rozsiadają się dokoła niego na podścielonych kozuchach i tak świętują zakończenie polowania.

Smolą wodę i piwo, żerą, rzygają i śpiewają po pijaku.

Niby takie ichnie jegerlidy. Nad wejściem i w środku na ścianach poprzybijali jakieś trofejne jelenie rogi, które pewnie pościgali z okolicznych majątków, jakieś tam wypchane ptaszyska, jastrzębie, myszołowy, nawet puchacze. I ten cały swój cyrk z tymi przygwożdżonymi zwierzakami nazwali „Wotan – Bude”.

Po starogermańsku. I to wszystko w naszym lesie. Rozumiesz, Władek, w naszym, polskim lesie. A ja ci tylko powiem, że całe szczęście, że sobie tę szopę upatrzyli i wykombinowali na swoje zarzygane jagdfesty – bo gdyby nie to, to bym miał ich za każdym razem u siebie w gajówce. Ty sobie wyobrażasz? Co – by to było za szczęście dla nas, a zwłaszcza dla Hanki. Nie mówię już o Wicku i sobie samym.

– Ale masz...

– Co?

– Nic. Teraz dopiero widzę, jakie ty naprawdę masz szczęście, Józek, z tymi polowaniami. Bo że w twoim rewirze urządzają, to pech, ale że przy okazji możesz mnie zameldować, to szczęście, nie? Że ci w tym rewirze robią ze starej szopy – szwabską budę...

– Wotan-Bude – poprawia mnie ponuro Józek.

– No właśnie, staroszwabską...

– Starogermańską, ofiaro... strasznieś jeszcze ciemny.

– Niech ci będzie, ale swoje wiem, nie? No i co, wysztyftowali ci te budę na śmich ludziom, ze starej szopy, to znowu pech. Ale to, że tam ją sami obrzygują, a nie paskudzą w twojej chałupie to chyba fajnie?

– Znowu pieprzysz” już ci raz powiedziałem – zdenerwował się wreszcie szwagier – idziemy na obiad.

– A nie dałoby się tak – odzywam się jeszcze, gdy Józek chwyta mnie pod rękę – nie można by trochę skombinować, żeby było jeszcze weselej.

– Nie zwracaj głowy, chodź – ciągnie mnie Józek ku drzwiom.

– Idę, idę. Bo szopy, jak to szopy, drewniane, łatwo w nich ogień zaproszyć. A ty...

– Co... Co mówisz? – szwagier zatrzymuje się z ręką na klamce i gapi się na mnie.

– To ty powiedziałeś, że w sieni, w tej szopie czy co to tam stoi, barak czy chałupa, ale w tej sieni jest miejsce gdzie oni rozpalają ognisko, to przecież łatwo może się zdarzyć, że się zajmie jakaś belka lub deska.

Zawsze się jakaś iskra może zawieruszyć. I co? O nieszczęście nietrudno, a jeszcze do tego po pijaku i przy otwartych drzwiach.

– Coś ty zgłupiał. Gdyby ta stodoła się zapaliła, to mnie pierwszego by rąbnęli. I to nie zastrzelili, tylko zwyczajnie powiesili. Nawet mają gdzie, bo przed szopą wystawili trzy takie maszty, pewnie na flagi czy jakieś wieńce, cholera ich wie. I tam bym sobie zadyndał jak jasny gwint. Fajne rady mi dajesz, szwagier. Nie ma co... A tak cię chwaliłem, żeś sprytny... chociaż, czekaj... – teraz patrzy mi blisko w oczy – Może... dałoby się coś z tym ogniem zorganizować, tak, że niby, któryś z nich... tych francowatych myśliwych, sam by spowodował...

– Dałoby się, myślisz? – judzę szwagra, jakbym sam rozumu nie miał, ale mnie też cholernie kusi ta myśl – tylko jak?

– Zależy... zależy czy tym razem też przyjadą z babami.

– Co mają baby do tego? – tym razem zgłupiałem na fest, choć nibym taki sprytny.

– Mają, mają – kiwa głową Józek, jakby sam sobie przytakiwał. – Tam na stryszku są takie trzy ustronne izdebki. Jedna na prawo, a dwie na lewo.

Sam zobaczysz, jak tam pójdziemy po obiedzie. Już tamtego razu kiedy tu byli, jedna parka tam się zabłąkała ze świecą i sam Oberjeger gdy się dowiedział poleciał za nimi na górę, żeby uważali z cygaretami albo świecarrA..

– No, stary! – wołam. – To jak jest? Mam dobry pomysł, czy nie?

– Czekaj, langsam, jak mówią moje generały. Trza się będzie rozglądać na miejscu. Może gdzie trochę siana podrzucić, żeby niektórym było miękko... Ale nie wiem. I nie mówię hop! To bardzo cienka robota.

No nic. Idziemy na ten ebiad. Pewnie wystygł. Pierogi tak lubią figlować, jak gorące, to niebo w gębie, a zimne to bracie – kamienie w brzuchu. A poza tym jutro mam ciężki dzień, a przez ciebie może się zdarzyć ieszcze cięższy. Muszę przed tymi pierogami łyknąć jednego głębszego dla kurazu. Tyś już próbował mojego bimbru?

– Kiedy? – pyskuję już na grandę. – Bez przerwy mnie egzercyrowałeś. To kto miał mówić o bimbrze? Hanka? Ona by mi dała bimber, no!

– Co? To tobie też? Bo myślałem, że tylko mnie tak krótko trzyma – szepce mi Józek do ucha, bo już jesteśmy w drugiej izbie, gdzie wita nas Hanka. Ale jak wita. Stoi z załamanymi rękami nad parującą wazą. Na stole obrus, widać na moją cześć. A para pachnie cholernie na całą izbę. Zapomniałem już kiedy coś mi tak pięknie pachniało na stole w Hińczy i chociaż wciąż widzę Hankę w tych zapachach nachylam się do Józka i szepcę mu:

– Józek. Coś mi teraz przyszło do głowy. Myślę, że zaraz po tym, po tej mojej nagonce i twoim polowaniu, pojedziemy po mamę. Ta germańska buda może chyba poczekać, co?

Szwagier przez chwileczkę patrzy na mnie uważnie i mruga jakby się budził ze snu. Dopiero po sekundzie kiwa głową raz i drugi na znak, że rozumie, że tak, że zaraz po polowaniu... a z tamtym możemy poczekać...

Tylko Hanka niczego nie rozumie. W tej chwili broni tylko pierogów.

Krzak. To pewnie tarnina, trudno w zimie poznać.

Chyba nie głóg, ale kłuje mnie w tyłek tak samo. Siedzę ja w tym paskudztwie już sporą chwilę, i cieszę się, że siedzę, bo choć mogę z siebie wydychać trochę tej cholernej nagonki. – No i na co mi przyszło – dumam, krew mnie zalewa, że nic innego nie mogę.

Skręta bym zaćmił, albo co... Mam trochę tabaku w kieszeni szwagrowego kożuszka (to Hanka mnie tak opatuliła przed zimnem, daj jej Boże tłuste dzieci) – ale nic mi nie wolno, ruszyć się nie wolno, gadać nie wolno, i jasny gwint – kurzyć też nie wolno, bo zwierz poczuje. Dla mnie to znaczy, że to ten germański zwierz, który się zaczął za krzakami, o, tymi na lewo ode mnie, wzdłuż duktu, i czeka na nasz drugi kocioł, który za chwilę podprowadzi im pod lufy nowy miot zajęcy i sarniuków, bo dziki się jeszcze nie pokazały. Przed chwilą widziałem jak szkopy gospodarowały i dzieliły się urobkiem z pierwszego miotu.

Poukładali na śniegu wszystko co ustrzelili. Mizernie tego było: dwa koziołki i parę zajęcy. Aha i coś tam jeszcze małego leżało na śniegu. Rude takie, ale chyba nie lis, może jaka zbłąkana wiewiórka, bo jej by też nie darowali. Nie ma co, tym razem nie bardzo im poszło. Widać do ludzi łatwiej im kropić niż do zwierzaka.

Ale na to, jak dzielili się tymi paroma szarakami, warto było patrzeć. To i gapiłem się jak głupi, bo zaraz skombinowałem, że Szwaby mieli gdzieś wszystkie przepisy. Chodzili po lesie i polance jak po swoim, pyskowali na cały głos, kurzyli fajki i cygara, aż dym do mnie

dochodził..Widać było, że gównu ich obchodzi czy zwierz poczuje, czy nie. Pętali się po polu, przypijali do siebie z feldflaszy, pewnie trofejnym koniakiem francuskim, znowu się rozchodzili, porównywali czyj zajac większy. Jakies grube Szwabiszczce w rozpiętej kurtce i z czerwonymi lampasami na portkach, pewnie pułkownik albo i generał, pies go hepał, stał nad oboma bidnymi koziołkami i coś klarował jakiemuś cywilowi w rajtkach i butach z cholewami. Tylko dlaczego te buty i cholewy na wysoki połysk? Kto w takich lakierkach pcha się na polowanie? A za chwilę okazało się, że to baba.

Tak. Babsztyl taki chudy i wyższy od tego z lampasami. Stara jakaś i chyba skrzypi przy chodzeniu, choć tego nie mogłem usłyszeć, bo jestem trochę za daleko. I zaraz okazało się, dlaczego tak długo stała przy tym koziołku, pewnie ten ichni generał musiał jej odstąpić ubitego przez siebie zwierzaka, bo nagle zobaczyłem, że wyciągnęła do Szwaba rękę, a potem wyglądało tak, jakby chciała go objąć czy pocałować, a może i co gorsze. Ale jakoś wywinął się z tej miłości, bo tylko stanął na baczność i zasalutował. To sobie od razu wykombinowałem, że i gębę musiała mieć sparciałą jak buczynowa kora. I od razu raźniej mi się zrobiło, że jeżeli tego dnia tylko ona jedna z bab była na tym polowaniu, to i tak nic by dzisiaj nie wyszło z mojej kombinacji o spaleniu tej polskiej budy, która musiała zostać rajchsdojczerską. A nic by z tego nie wyszło, bo który z tamtych zgodziłby się na amory z taką odrapaną tuleją, i do tego na osobności. Szkop nie Szkop, oczy ma do patrzenia, nie?

Ale niech się o to martwi ten w lampasach. A właśnie w tej chwili podbiega do niego inny wojak, też jakaś szarża, tyle, że w zielonej, infanteryjskiej czapie z daszkiem i w czarnych okularach. Po cholere mu te okulary, pewnie dla fasonu, bo słońca nie ma. Ten okularnik obskakuje z wszystkich stron tamtego bajcadyka w lampasach i stuka kopytami na baczność aż tu słyszeć i zaczyna coś mu klarować. Wskazuje kilka razy w naszą stronę i znowu odbiega. Widać pilno mu do otwarcia drugiego kotła. Taki chyba naparzony na te polowania. Generał klepie go po ramieniu i przywołuje Oberferstera. Trzeba się przygotować.

Pewnie zaraz każą nam zaganiać drugi miot, żeby ich nagła zaraza zaganiała. Znów przychodzi mi smak na cygareta, nie wiem dlaczego, bo ze mnie palacz jak z pierdu dzwonek. Ale skręta nie wolno, ani, ani.

To co mam robić? Przysiadam z powrotem na jakimś uschniętym konarze i klnę na Szkopów jak Cyryl, taki stary kowal w Blechowie. Ten ma melodie do łaciny, jak zacznie bluzgać w poniedziałek, to kończy w sobotę. I ja bym chciał teraz tak samo, ale gdzie mi tam do Cyryla!

Zaczynam się na wszelki wypadek rozglądać za kumplami z nagonki, żeby wiedzieć, w którą stronę lecieć jak nas poderwą. Ale z mojego miejsca widzę tylko jednego z nich, a właściwie tylko dwie zelówki jego butów. Kumpel leży pewnie na brzuchu, na jakiejś kłodzie i to tak blisko, że mógłbym mu policzyć każdą przyszwę na podeszwach.

Ale nie mogę nawet zawołać na niego ani on na mnie, choć pewnie wie, gdzie przykucnąłem, bo każdy z nas miał upaść tam, gdzie był w tej chwili, kiedy dali sygnał żeby zatrzymać nagonkę, tak, że nie było czasu wybierać miejsca. Patrzę teraz w tył, za siebie, ale tego łamagi który biegł za mną nie mogę dojrzeć. No nic, doskoczy sam gdy nas poderwą.

I w tej samej chwili dwa strzały. Jak w pysk strzelił. Ba-bach, ba-bach. I cisza. I znowu bach! Ale tylko raz. Jakiś tupot poniżej mnie, w lesie. Gapię się aż mi oczy łzami zachodzą, ale nic nie widać. Tylko ten tupot tam na stoku. Wiem że tam aż do tego parowu stoi reszta naszych. Ale oni nic, jakby ich zatkało.

Tylko tupot i szum. Szum coraz gęstszy. Ktoś biegnie zboczem ponademną. Zadzieram głowę. To oberjeger, grube chłopisko z zamaszystym brzuchem pnie się po tym stoku bez broni, nie wiem, zgubił czy zostawił gdzie swój karabin. Tylko przedziera się przez krzaki i co chwila grzęźnie w śniegu po kolana aż przyjemnie patrzeć jak to cholerne brzuszysko ciągnie go w dół. Ale ten też nie krzyczy, tylko sapie, aż tu słyhać to sapanie i pcha się pod górę w stronę duktu.

A może to on strzelał, a może to...

... Jeszezem nie miał czasu pomyśleć, a już się sprawdza. Dopiero teraz słyszę za sobą jakąś szwabską komendę. Nie wiem jaką, bo na germańskie nie zanadto jestem piśmienny. Domyślam się tylko, że u Szwabów przy dukcie jakiś alarm. No i teraz wrzask na dole jak jasny gwint i krzyki i huki i łomot naszych drągów po naszych drzewach. Nagonka się zbudziła.

Bez sygnału. Sama. Patrzę przed siebie w dół. No tak.

Dziki!

Przodem kopie się wielka samura. Za nią pręgowane warchlaki. Jeden, dwa. Druga samura szoruje szorstkim brzuchem po śniegu, trochę w lewo i w dół od tamtej. Do tego z tyłu za nią jeszcze się coś czerni.

Nie wiem czy drugie stado, czy odyniec. Wolę nie sprawdzać, bo widzę, że cała ta dzicza ferajna szoruje prosto na mnie. Ni mniej, ni więcej. Zamykani oczy i zaraz je otwieram, żeby sprawdzić czy mi się to wszystko nie śni. Ale nie, pchają się direkt na mnie. Jakby ich fras napadł.

I zaraz myśl: zostać czy pryskać. Wpirzyć się w ten cholerny krzak. Aż mnie ciarki przechodzą gdy pomyślę co będzie z moimi ślepiami i całą twarzą. A ręce! Tym kijem się nie obronię, zresztą rzuciłem go nim upadłem, leży o parę metrów. Rzucam okiem przed siebie, dziki już o parędziesiąt kroków. Przeskoczyć im przed nosem na drugą stronę stoku. Za późno! Znowu z dołu trzy strzały. Teraz dziki podrywają się. Coś się rusza z lewej. To ten mój sąsiad z nagonki, który pozdrawiał mnie zelówkami. To on wychyla się zza świerka. Widzę jego otwartą gębę, ale krzyku nie słyhać, zresztą w takim rejwachu... Dopiero teraz zaczyna się kanonada, no! Z dołu kropią, jak we wrześniu, kiedy atakowali naszą kompanię na blechowskim gościńcu. Już wtedy mieli przewagę, chyba o cały pułk. I to podparty czołgami. Tutaj też. Na razie tylko dolna część linii wali do dzików, i to byle jak, na wiwat. Chyba się spietrali, albo co... Bo nie widać, żeby który trafił. Ale do dzików chyba nie będą wzywać czołgów. A stado wciąż bliżej. Widać pchają się z wiatrem, bo cuch taki od nich jedzie, aż mi włosy stają ze strachu. Kumpel z nagonki stracił się, tylko śnieg posypał się za nim z świerkowych gałęzi.

W tej chwili nowe wrzaski za plecami. Już nie zdążę się obrócić. Kurczę się jak ślimak i rzucam się na kolana. Może przejdą, może nie dostrzegą.

I znowu wrzask: – Achtung! Sie sind da! Feuer!

Feuer!

No i dopiero teraz zaczęło się. Szwabry dostały smyrła. Grzmocą z góry, od duktu, w dół i za naszymi plecami. Chyba prosto w nas. W nagonkę, psia ich mać.

Cała linia w ogniu. Rozjuszili się i lupią gdzie popadnie, drzewo nie drzewo, człowiek nie człowiek, żeby tylko dobrać się do tych paru zwierzaków, które wlażyły im pod lufę. I to chyba myśmy właśnie je wypłoszyli, niech to cholera weźmie, bo czuję, – że te wszystko mnie na pohybel.

Ale nie! Jedno się tym germańskim rakarzom udało. Wystraszyli. Wystraszyli tą kanonadą całe stado.

Gapię się na to i własnym oczom nie wierzę. Dziki szlusują do siebie i skręcają w bok, na przeciwne zbocze. W tę stronę, gdzie stała górna część nagonki. Ale z tych kumpli, którzy stali tam przed chwilą nie ma już śladu ni popiołu. Dali drapaką aż zafurczało.

Pewnie! Sam bym tak pryskał na ich miejscu. A za nimi dziki. Naszym po piętach.

I już żelazny grad spada na świerki, przede wszystkim na te najniższe, na samym skraju zbocza. Kule fiukają mi koło uszu jak kanarki, a ja stoję jak wuj weselu i rozglądam się jakbym

rozumu nie miał.

Przecież tamto zbrocze zaczyna się o kilkanaście metrów ode mnie. O siąg ręki. A te strzelające szkopskie pantaloney kropią nie w las, ponad moją głowę, ale przede mną, w to miejsce, gdzie poszły dziki. A to, co koło mnie śwista, to właśnie ichnie kule. Szkopskie.

– Ludzie! – krzyczę, jak bym tylko tym krzykiem chciał zakłócić to strzelanie do mnie. – Nie! S u k i n s y n y! – drę się, bo już mi wszystko jedno. – Stać! Tu jestem ja! Tu stoję! Tu jaaa!

W tym samym momencie dostaję w pysk i kończy się wszystko. Dziki, Szkopy i Józek. I ja sam.

I moja nagonka. I mój wrzask i moja rozdziawiona gęba. I już nic więcej...

Kiedy otwieram oczy, pierwsze co widzę, to to, że bardzo mało widzę. Coś mi zasłania lewe oko. Po chwili domyślam się, że to bandaż. Ale nie mogę do niego sięgnąć, bo nie wiem, czym taki słaby, czy mnie do czegoś przywiązali. Jedno, co czuję naprawdę, to łóżko pod sobą. Więc chyba leżę. Ale zaraz przyzymkam oczy, bom się bardzo zmęczył tym myśleniem.

I znowu nic...

Za drugim razem już jest lepiej. O tyle lepiej, że mnie cholernie boli– To już dobrze, bo zaraz sobie przypominam, że za pierwszym razem nic mnie nie bolało. A teraz tak jakoś... dziwnie... w głowie mam mętlik, ruszyć nią się nie da, zaraz tak rwie z lewej strony, jakby mnie, cholera, koń kopnął. Każdy ząb czuję. Ale gdy tylko próbuję językiem dotknąć tego bolenia czuję, że mi nie idzie. Nie wiem co się dzieje?

Czary jakieś czy co. Język zaraz mi się gubi – w jakiejś drętwej dziurze, w czymś miękkim. A może to bandaż? Ale jak, bandaż? W gębie? No i tak wciąż nie mogę sobie dać rady z samym sobą. Potem znowu I zasypiam i znów się budzę. I nic. Tyle, że po drodze raz jest dzień, a raz noc. Kiedy indziej przyglądam się po obudzeniu, oknu, które zobaczyłem z prawej strony łóżka. Widać zdjęli mi bandaż z nosa i z prawego policzka, bo za oknem widzę część jakiegoś drzewa. To chyba świerk. Jego dwie gałęzie podchodzą do samego okna, prawie leżą na szybach. Na tych gałęziach świeci coś czerwonego. To pewnie śnieg.

Tylko dlaczego czerwony? – baj durzę sobie w myślach – zaraz, zaraz. Dlaczego śnieg? Bo zima, capie – pyskuję w myśli sam do siebie. A czerwony, bo pewnie słońce na zachodzie. Ale coś mi się przy tym śniegu paskudnego zaczyna roić we łbie. – Nagonka!

– próbuję, z wszystkich sił próbuję powtórzyć na głos to słowo. I dopiero wtedy zakręciło mi się w łbie wszystko naraz: Szwabę z karabinami i ta ichnia francowata strzelanina do mnie. Tak

że nie zdążyłem nawet pomyśleć o matuli, ani o Hance, jak mi wszystko pociemniało w oczach, jakby mi kto kibelem głowę nakrył.

Budzi mnie tym razem na fest, cholerny ból. Powoli z jakiejś mgły wychodzi naprzeciw moim oczom para innych oczu. Te oczy zbliżają się. Jakieś takie siwe, czy trochę niebieskie. A potem cała twarz, ko goś, kto pochyla się nade mną. I głos. A za głosem ręka. Odgarnia mi włosy znad czoła. Tak lekuśko, że prawie nie czuję. Znowu odpywa ode mnie, ale teraz już ją widzę w całości. To dziewczyna. W białym szpitalnym fartuchu. Pewnie pielęgniarka. Podeszła na chwilę do drzwi ale zaraz wraca do mnie, Czekam, żeby się znów nade mną nachyliła. Nachyla się.

No, nareszcie! A już baliśmy się o ciebie. Ale dzięki Bogu kryzys przeszedł. Pan doktor Miłko, to jezaśługa. O, on ma złote ręce, wszyscy to wiedzą, nie tylko we Włodawie.

W jakiej Włodawie? – przelatuje mi przez myśl próbuję się unieść na łokciach, ale zaraz opadam na poduszki. Chcę zapytać o tę Włodawę, a tu jak mnie łupnie w zębach! Wrzeszczę z bólu, ale słyszę tylko jakiś rozmazany pisk, jakbym psu na ogon nadepnął.

I w tej chwili pojmuję, że to ja tak sklamrzę. Rany, co się dzieje?

– Nie! Nie mów nic! Nie wolno ci mówić! Rozumiesz, Władek, ani słowa. Dwie operacje. Prawie przez dwa tygodnie byłeś nieprzytomny. Ledwie ci klamry zdjęli i szwy, a ty już chcesz mówić. Dobrze, że pan doktor Miłko tego nie wie. W środę zdejmą ci bandaż. A potem jeszcze masaże, no i tam inne kuracyjne zabiegi. Ale teraz ani słowa. Buzia zamknięta, rozumiesz? Aha. Nie wiesz, jak odpowiadać? Wystarczy jak dasz znać oczami. Ale przecież ręce masz już wolne. Będziesz mógł pisać, co? No, mrugnij!

O, widzisz. Umiesz już mrugać do dziewczyn. Zaraz przyniosę ci jakiś papier i ołówek. Z początku leżałeś jak betka, owinięty w koc, bo bardzo rzucałeś się na łóżku, ale teraz... Leż spokojnie, zaraz przyniosę ołówek. A, i jeszcze jedno, nie ruszaj się dopóki nie wrócę. A ja... ja jestem Ola, siostra Ola. I jestem twoją... no, opiekuję się tobą w szpitalu. Chociaż najbardziej... najwięcej masz do zawdzięczenia doktorowi.

Panu doktorowi Miłko. On ci uratował życie i on cię postawi na nogi, zobaczysz. Ale tak troszeczkę, to i ja odpowiadam za ciebie, żebyś wiedział, bo... bo sama o to poprosiłam, jak tylko cię tu przywieźli. Ten szwabski podoficer i twój brat. Mówię ci, nie podskakuj, leż spokojnie. O co ci chodzi? Obiecay mi, że będziesz czekał na mnie i nie rzucał się na łóżku. Pokoik mały jak pudełko zapalek, ale i tak możesz mówić o szczęściu, żeśmy ci go wysztyftowali. Specjalnie dla

ciebie, bo ten Szwab tego zażądał, żebyś leżał sam i żeby o ciebie nadzwyczajnie dbać, że zajmuje się tobą major Steiner. I nawet doktor Miłko musiał ustąpić. Na szczęście mieliśmy tu taki składzik na bieliznę, to go opróżniliśmy i ty... i ciebie wpakowaliśmy tutaj. No i leżysz sobie sam jeden jak królewicz.

A ja muszę się opiekować tym królewiczem. No, nie marszcz się. Nie tylko muszę, ale trochę i chcę. Dlaczego? A może dlatego, że to taki interesujący przypadek kliniczny. Taki postrzał w szczękę. Pocisk na wylot, jeszcze zaczepił o bark. Takiś szczęściarz! Tylko jednego nie wiem, dlaczego... co ma do ciebie ten major, jak mu tam... Steiner? Dlaczego przywieźli cię jego samochodem? No, ale to już twoja sprawa.

A teraz siedź cicho, aż do mojego powrotu. Najlepiej spróbuj zasnąć.

Z tym wybiega z pokoju i od razu zostaje sam. Tak cholernie sam, że aż mi w uszach dzwoni. Ale nie, nie będę próbował zasnąć. Muszę... zaraz, zaraz, co ja muszę, bo już mam taki młyn w głowie, że... Kto by nie miał na moim miejscu? Co, ludzie kochane, co się ze mną dzieje? A ona, ta... siostra Ola niby. Co ona wygaduje. Jaki major? Chyba... chyba to ten myśliwy od siedmiu boleści, który... się tak napażał do tego polowania. To może... zaraz... niech sobie pomyślę, jak to było. To chyba on stał w lewo ode mnie, za tymi krzakami. I on razem z innymi kropił do tych dzików, kiedy stado skręciło w las. I może to właśnie on, bo stał blisko, wygarnął do mnie. No i co dalej? I potem posłał mnie swoim autem do szpitala? Bo chyba nie przytargał mnie tu sam. Taki już litościwy nie był, o wiele ja się znam na Szwabach. Jeżeli już, to posłał jakiegoś swojego fajfendekla, żeby mnie odwiózł tu...

Tak to już prędzej, tak mogło być. A co mówi ta...

Ola, moja opiekunka, co ma głos taki jak oczy, niby fajne niby głaskające tak jakby się bez przerwy uśmiechają albo jakby chciała człowieka przytulić, czy jak.

A może ja już całkiem ześwirkowałam od tego postrzału. Wszystko jest możliwe, bo i tak jeszcze nic z tego nie kapuję. A na przykład to, skąd ona wie jak mi na imię. No może z papierów jakie miałem w kurtce.

Przecież musieli mnie jakoś zapisać w książce szpitalnej. Niby tak: kogo przyjęli, skąd i dlaczego. Tyle, że to „dlaczego” – to póki co ja sam jeszcze nie wiem.

Ale to jeszcze nie powód, żeby do mnie mówić per ty i „Władek”. Jak do swojego. A cóż to ja, jej syn, czy jak. Ona sama, ile może być starsza ode mnie. Dwa lata, może trzy. To jakie ma prawo tak mówić do mnie.

A może w szpitalach taki zwyczaj, żeby mówić do chorych po imieniu. Cholera wie.

A najgorsze, że nie bardzo wiem jak długo już tu leżę. I kto się o mnie upomina w tym szpitalu. Żeby tylko nie ten cholerny major. No, tego by tylko brakowało, żeby się Szwaby mną zaopiekowały! Wiadomo już, że jak oni się kimś zaopiekują to na ostatni raz.

A może... zaraz – podnoszę się na łokciach, a potem próbuję usiąść. Trochę mną rzuciło raz i drugi, ale jakoś przeszło. A podniosłem się tak nagle, bom sobie przypomniał o szwagrze. JSFiby właściwie on tu najważniejszy. Józek. Przecież kto jak kto, ale on chyba będzie wiedział o wszystkim, co się ze mną stało. Kto mnie wtedy stuknął i jak się tu dostałem.

Na razie siedzę na tym nieszczęsnym łóżku i myślę równocześnie o Józku, o naszej chałupie w Hińczy i o kimś w tej chałupie, a także o tej sakramenckiej nagonce, która aż tu się skończyła. Ale przede wszystkim chce mi się sikać. No tak, muszę się odlać, żeby nie wiem co. Ale jak? Z łóżka sam nie zleżę, bo raz, że się boję, a dwa, że nie wiem co potem. Gdzie tu pójść.

Przecież nie będę sikał przez okno. Chyba, że... sięgam ręką pod łóżko. Jest! Jest to, co trzeba! Bardzo ostrożnie siadam na brzegu łóżka i dalej już sobie jakoś radzę. Tylko przez cały czas myślę, co by to było, gdyby teraz weszła Ola. – Nic by nie było, żłobie – gadam na głos sam do siebie – Ola nie anioł. Pielęgniarka, nie takie rzeczy widziała. A kiedy byłem nieprzytomny to chyba ona, może jeszcze z kim innym musiała o mnie dbać, żebym zrobił co trzeba i kiedy trzeba.

Nie? Tyle, że ja nic z tego nie pamiętam. Widać byłem fest zagazowany czy jak to się tam po szpitalnemu nazywa – tymi proszkami czy zastrzykami. No nic, grunt, że mnie ten doktor wyłabudał z tej rany i że świat boży mogę jeszcze oglądać. O rany! – Zasuвам nocnik głęboko pod łóżko i tarabanię się w swoje bety.

Dopiero gdy się znów zamelinowałem podskakuję z rozpacz, bo nagle widzę w jaki bajzel się wpakowałem.

Przecież to nawet nie frontowa rana, nie w wojnie, ani z frontu. Przecież mi nikt nie uwierzy, że to pamiątka z partyzantki. Postrzał na polowaniu? Kij mu w zęby!

Kto dzisiaj poluje poza Szkopami? A jeżeli tak, to co ja tam miałem do roboty. O jasny gwint? W co to wpakował mnie ten Steiner czy Schweiner – psia jego majorowska... – walę pięściami w poręcz łóżka i aż mnie skręca z rozpacz, że nawet krzyczeć nie mogę.

Alem wpadł, jak wtedy brzana w naszej Widawce, kiedyśmy ją z Jaśkiem Marciniakiem wypłoszyli spod brzegu i nadziali palcami pod skrzela. Tyle było jej szczęścia w wodzie. A kiedy

mnie jeszcze tu przytargali szkopskim autem i Szkop kazał o mnie dbać, no to już mam kennkartę na całe życie. Nie! Tak nie może być. Józek, do jasnej cholery, Józek by do tego nie dopuścił.

Przymykam oczy, bo mi się nagle chce płakać i w ogóle robi mi się tak bardzo nie fajnie, że przez chwilę leżę jak ktoś cudzy. Kiedy słyszę, że ktoś otwiera drzwi nawet nie odwracam głowy. Pewnie, co mi taka bidula, Ola, może pomóc na moją zgagę. Takżem się wrębał!

Ale to nie Ola. To nie jej kroki słyszę od progu.

Ktoś w białym kitlu staje przy łóżku. Spokojna, chłodna ręka unosi moją dłoń. Otwieram oczy. To chyba ten, który mi... to pewnie doktor Miłko. Tak się chyba nazywa.

Doktor nie patrzy na mnie tylko na zegarek na ręce.

Kiwa przy tym głową i dopiero wtedy uśmiecha się do mnie. Starszy gość, niewysoki. Gdy się pochyla nade mną widzę, że łysy z takim czarnym wianuszkiem dokoła łysiny.

– No i co? – odzywa się cicho, ale bardzo wyraźnie – dobrze nam pacjent i pcha się do życia, a to najważniejsze. Siostra Ola mi powiedziała i musiałem sam sprawdzić, bo trochę się chłopcze przy tobie naskakałem. Nie, nie dlatego, że mi tak rozkazali, ale z własnej woli, bo w tym szpitalu, nie chwalący się tylko ja jeszcze rozkazuję. Na razie, bo nie wiem jak długo.

A ci twoi, hm, opiekunowie jakoś się dotychczas nie pokazali po raz drugi. I to jest jedyna radosna wieść, czy nowina, jaką ci mogę już dzisiaj przekazać. Aha, i -. jeżeli chcesz wiedzieć, to jeszcze i to, że Ruski już doszli do Bugu. A na złe nowiny masz zawsze czas. Czekaj, leż spokojnie – przytrzymuje mocno moje ramię – więc ciesz się, bo może zapomnieli o tobie. A może nie chcą cię już widzieć. Ani pan major, ani ten unteroficer, który cię tu przywiózł. Tylko ten twój krewny, który z nim przyjechał zajrzał tu dwa razy. I nie martw się, powiedział mi o wszystkim, co ci się zdarzyło. Za drugim razem obiecał, że wpadnie jeszcze pod koniec tygodnia. Wtedy sobie pogadacie. A teraz tylko spać i odpoczywać. W środę zdejmujemy bandaż i będziesz próbował mieć rodzoną gębą. Ale do tego czasu pozostaje ci tylko korespondencja z siostrą Olą. Myślę, że do takiej jak ona warto pisać liebesbriefe, nie? Zaraz ci ją przyślę, choć pewnie już ona sama czeka za drzwiami Coś mi się zdaje, że wpadłeś jej w oko. A w takie oko też warto wpaść. No, ale dość żartów. Słyszałeś, co powiedziałem. Ola! – woła nagle w stronę drzwi i drzwi otwierają się natychmiast. Chyba rzeczywiście dziewczyna wartowała za nimi. Za chwilę, gdy tylko doktor wyszedł widzę jak szarooka (muszę obowiązkowo jak najszybciej sprawdzić jakie ona ma te oczy) – więc widzę jak podchodzi bliźniutko do mnie i wyciąga w moją stronę jakieś kartki z ołówkiem. Sięgam ja po te kartki, przytrzymuję przy okazji jej małą dłońkę,

ciepłą taką i...

I w tej samej chwili muszę, żeby tam nie wiem co, muszę przymknąć oczy. A wtedy nie potrafię już nic, ani rączką ani nóżką. Zasypiam. Uderzam w kimono, jak jakiś głupi. I nic mnie więcej nie obchodzi. Nawet ona, Ola.

Dopiero w środę, kiedy zdjęli mi bandaż zobaczyłem po raz pierwszy w lustrze Oli, co ze mnie zostało. Nie było tak źle, jak myślałem, może dlatego, że oglądałem siebie po kawałku, bo lustro było małe. Twarz jeszcze podpuchnięta, ale już jakby moja. Znaki po szwach czerwone i wyraźne jakby mi kto pisał batogiem po gębie. No nic, doktor Miłko przyrzekł mi, że i to zniknie z czasem. Ola też, a to było dla mnie w tej chwili najważniejsze. Najbardziej mnie martwią usta. Jeszcze nie mam prawa mówić, mogę tylko coś tam szuścić półgębkiem, prawym półgębkiem, ale wciąż jeszcze ręce i oczy muszą mi pomagać. A z tymi ustami to jest tak, że przy tych migach wyglądam jak Frico z cyrku, którego raz tylko w życiu widziałem w miasteczku. A choć nikt nie wie ile można powiedzieć drugiemu człowiekowi za pomocą migów – to jakoś się z dziewczyną dogadujemy. Poza tym pomalutku dochodzę do głosu.

Mam jeszcze drugie zmartwienie, że nawet gdy wyjdę ze szpitala, będę wyglądał jak nasz wielki król: Bolesław Krzywousty.

Wtedy myślałem, że to będzie moje najgorsze zmartwienie i że chyba już nic gorszego nie może mnie spotkać. Panie Boże – daruj! Właśnie dwa dni później zważyło się na mnie tamto – jakby nie dość było tego co mnie już spotkało.

Dzień się zaczął jak zwykle, a może nawet lepiej niż zwykle. Pan doktor pozwolił mi po raz pierwszy wyjść na powietrze o własnych nogach, czyli trochę podreptać po szpitalnym ogródku. Pogoda akurat pasowała, marzec taki łagodny, śnieg już prawie stopniał, a ja miałem po dziurki w nosie dość tej mojej szpitalnej szuflady, w której gnieździłem się już od paru tygodni z łaski szwabskiej. Nie chciałem i nie miałem się czym chwalić przed innymi chorymi, którzy leżeli w salach ogólnych. Nie było mi spieszno do ludzi, ale na pole, na świat niesło mnie każdego ranka coraz więcej. Ludzie kochani – parę tygodni nic, tylko w tym bambetlu!

A tam już wszędzie pachnie wiosną. I do tego to już piąta wiosna wojenna. Może już... nie. – Boję się nawet myśleć o tym. Ale może!

No nic. Wylazłem, ja na to marcowe słońeczko, blade jakieś i niewydarzone, właśnie tak jak ja. Do schodków, przez korytarz doprowadziła mnie Ola, która jeszcze przed samym wyjściem naczupirzyła mi na wszelki wypadek takie cholerne zawiązało ze starej chustki czy serwety, że

już chciałem się cofnąć od drzwi, bo mi było wstyd, że muszę w tym chomącie wyglądać jak zalany zając, który wraca od dentysty, tym bardziej że giczały trochę się jeszcze podłamywały pode mną w kolanach. Ale Ola się uparła i nie było rady. Na szczęście na kołku przy drzwiach znalazła czyjaś czapkę, taką granatową maciejówkę i zaraz wpirzyła mi ją na wierzch, na ten zawój. Dopiero potem cmoknęła mnie w policzek (prawy!) i wypchnęła za drzwi.

Stoję ja w tym szpitalnym ogródku, rozglądam się i trudno mi jakoś zebrać do kupy to wszystko co się ze mną dzieje. Bo nigdy dotychczas nie patrzyłem na świat tak jakoś... osobno. Że tu ścieżka, a tam w kącie, koło parkanu kilka mizernych drzewek. A koło nich taka bura łysinka, wstyd pomyśleć, że to może trawa.

A jeszcze dalej ściana. I co z tego, że ściana, że te drzewka... Nie chodzi o to, że jeszcze nie liściaste i nie zielone, tylko co ja z tym mam. Co ja tu robię?

I właśnie wtedy, pamiętam to do dziś – widzę, że ktoś przygląda mi się zza parkanu. I zaraz, natychmiast poznaję: przecież to Józek. Józek Rygiel we własnej osobie. Szwagier!

Od razu świat się do mnie zbliża i wszystko znowu trzyma się kupy. I te ólszki w kącie ogrodu, czarne bo dopiero przedwiośnie, i ścieżka, która pewnie wiedzie do furtki i głowa Józka za parkanem. Ód razu widzę, że szwagier dziś nie w kożusku, ani nawet w zielonej kurtce, którą znam, ale w jakiejś czarnej bekieszce.

I w maciejówce na głowie, takuteńkiej jak moja. Ale w środku tej bekieszki i pod tą czapką to jednak on, Józek, mąż naszej Hanki. To najważniejsze. Kiedyś mnie postraszył we śnie, ale to było dawno i nieprawda.

A dzisiaj jest. Nie nawalił. Chyba przyjechał po mnie.

Tak jak zapowiedział doktorowi.

– Józek! – próbuję krzyknąć, ale to jeszcze bardzo słabo wychodzi. Szwagier pewnie tego nie słyszy, bo widzę, że maszeruje w stronę furtki. No to ja podchodzę do tych drzewek, teraz mogę sobie już pozwolić na to, przez cały czas od kiedy wszedłem do ogrodu myślałem o tym, żeby to zrobić, ale dopiero teraz, gdy zobaczyłem Józka, ruszam ku tym olchom. Idę coraz pewniej, już czuję, że mam własne nogi, takie jak dawniej. Już jestem przy drzewkach i wcale się nie zmęczyłem, a zresztą Józek nadejdzie lada chwila, już jest przy furtce. Obejmuję ramieniem pień najbliższego drzewka i cichutko sapię, bo mi bardzo dobrze. Tylko przeszkadza mi ta cholerna maciejówka i to straszycło na głowie. Ale Ola! Co tam Ola – zdejmuję czapkę, ściągam ten pakunek z głowy i zaraz przytulam twarz do gładkiej skóry olchowej. Najpierw czoło, potem

policzki: ten od Oli i ten od Krzywoustego. Zamykam oczy i tak stoimy w czwórce: trzy ólszki i ja i przez tę chwilę jest fajnie. Prawie tak fajnie, jak w Hińczy.

Ale tę fajność trzeba zaraz kończyć, bo na skraju ogrodu pokazuje się szwagier i o ile go znam, pierwsze co zrobi, to pomyśli, że mnie po tym postrzale szmergiel się w głowie przesypał i migdałę się z olchą! Odsuwam się prędko i patrzę na Józka, ale od razu coś mi się w nim nie podoba. Blady – jakiś i zgarbiony, jakby co dźwigał na grzbiecie.

– Co jest, Józek – chcę wołać, ale zaraz chwytam się za twarz, jakby mnie kto szydłem kolnął.

Szwagier przystaje na moment i przygląda mi się z bliska i kiwa głową. Dopiero wtedy odzywa się cicho, że ledwie go słyszę.

– Bidaku! Ale cię urządził sukinkot. I to z mojej winy.

– Co ty wygadujesz – odzywam się gorąco – chciałeś nam pomóc, mamie i mnie. Jaka tu twoja wina.

Grunt, że już wszystko w porządku. Zgoiło się jak na psie. Doktor Miłko mówi, że za miesiąc, dwa nie będzie prawie znać. Ale ja nie o tym... Co z mamą? Jest już u was? Bo ja... sam widzisz... bo mnie.. nie mogłem jechać z tobą... sam wiesz...

– Mama nie żyje – odzywa się Józek jeszcze ciszej niż przedtem.

– Co?... Coś ty powiedział?

– Mama nie żyje. Muszę ci to powiedzieć, lepiej, żebyś od razu się dowiedział, Władek.

– Co...

– Zabili ją. W Hińczy była pacyfikacja. A może... nie, to nie mógł być przypadek. Zresztą co za różnica.

Przyszli rano, jak zwykle od lasu nie od Blechowa. Kiedy postrzelali wszystkich w Hińczy... rzucili zabitych do szopy Hryniewiczów i podpalili. Potem posłali wóz i przywieźli nim ludzi. Co prawda nie z Blechowa i kazali wszystkich spalonych i to co zostało po tej szopie – zakopać. I tyle. I odjechali. Na drugi dzień blechowianie przyszli, ale w Hińczy zobaczyli tylko miejsce.

Słyszysz: miejsce. No to na tym miejscu usypali wzgórek. Na nim położyli kamień i ustawili krzyż!

– Mówisz że wszystkich zabili. Mamę też?

– Wszystkich, których wtedy zastali w domu. Razem jednaście osób. Mamę też!

– I kogo jeszcze?

– I Hryniewiczów i Bukłów i Stymulów. Także i Skrobotów. Tych z lasu. Chociaż ktoś mówił, że jeden ze Stymulów i oba Bukle uciekli jeszcze w nocy. Na wyrąb. I mogli nie być w domu kiedy tamci przyszli.

Ale to nie wiadomo.

– A... a mama?

– Przecież ci mówię, Władek, no... Władek, gadam do ciebie. Przecie ja sam też... Przecie to Hanki matka, świekra, nie?

– Kiedy to się stało? Kiedy mama...

– Dwa dni po twoim, po tym... jak żem, jak cię Steiner postrzelił i jak cię kazał odwieźć tutaj. Nie wiem dlaczego do Włodawy, przecież to daleko od nas, ale pewnie ten unteroficer miał tu jakąś liebste, no... babę i chciał ją zabrać ze sobą z powrotem do Stoszowa. Zresztą... Władek... o czym my gadamy. Trzymaj się stary... przecie jest wojna... ja wiem, co czujesz, a ty wiesz, że ja sam się u ciotki wychowałem, bo rodzice pomarli mi przed wojną. Ale co...

– Jak mama...

– Co?

– Jak mama... zginęła?

– Nie wiem. Chyba tak jak wszyscy. Zastrzelona.

– Jak wszyscy, mówisz – gadam jak nakręcony – zastrzelona. Nie mogłeś... A ty nie mogłeś...

– Co zaś?

– Nie mogłeś jej... wcześniej ratować... Czy zabrać do siebie. Tak jak mówiliśmy.

– Chłopie, jak? Sam się dowiedziałem dopiero na czwarty dzień, jak było po wszystkim. Przyjechał do Stoszowa taki jeden, cieśla z Mokrowoli, Stopczyk, po deski na bezugschein. I przywiózł wiadomość. Myślałem, że Hanka smyrła dostanie. Co ja z nią miałem.

Ty w szpitalu, matka nie żyje, a Hanka nic, tylko wrywa się do Hińczy. Na pogrzeb! Do teraz muszę przy niej kogoś zostawiać jak z domu wychodzę, bo się boję, że zrobi jakieś głupstwo z sobą albo z Wickiem. Teraz ty musisz pamiętać, że tylko ty jej zostałeś, bo ja...

Bo ze mną – Józek nagle przestaje mówić. Spojrzałem na niego i coś mnie tknęło.

– A co ty, Józek?

– To, że ze mną też nie fajnie, stary. Zaczynają mnie szukać. No, co tak patrzysz, Szkopy. Ktoś mnie im musiał nadać, albo sami musieli coś pokapować.

Wiesz o czym myślę.

– Wiem. Co chcesz zrobić?

– Pyskać. I to już. Dostałem cynk, że żandarmi w Stoszowie pytali naszego sołtysa o mnie i o ciebie.

A ja z nim zawsze byłem na bakier, dlatego wolałem ciebie nie meldować sam, tylko przez leśnictwo.

– Mówiłeś mi o tym. Ale co oni mogli o mnie wiedzieć?

– To, co im o tobie powiedziałem. Że jesteś z Hińczy, że mieszkasz u mnie i chcesz sprowadzić matkę.

Ale to było zaraz po moim powrocie stąd, z Włodawy.

Jeszcze nikt nie wiedział u nas o pacyfikacji w Hińczy. Dopiero wtedy zaczęło śmierdzieć koło nas obu, ale ty choć nie byłeś pod ręką, a ja... ja... no, sam trochę wiesz, siedziałem w ważnym miejscu, miałem kontakty na las i na stację w Stoszowie. Na kolejarzy.

A zresztą co ci będę głowę zawracał. Myślałem, że wszystko się obróci na dobre, bo trzy dni po polowaniu przyszedł jakiś szczęśliwy wiatr i Szkopów zdmuchnęło ze Stoszowa. W ciągu jednej doby. Wszystkich.

Z oberstem von Leistem na czele. A z nim poszły w kibini nie tylko wojacy i ten twój dziki myśliwy, Steiner razem ze swoim szoferem, tym który nas tu przywiózł.

To ważne, bo tylko on wiedział gdzie jesteś. Myślę, że ich wszystkich wywiało na front, bo akurat przyszła wiadomość o tym, że Ruski dobijają do Bugu i transporty kolejowe zaczęły jak zwariowane gnać na ten front. A przy okazji i ja musiałem się tym wszystkim ucieszyć. I zainteresować. I takżem się, bracie zainteresował, że Szkopy zaczęły się mną interesować.

– I dlatego spływasz?

– Dlatego. Hankę z Wickiem już wysłałem do ciotki Bargielowej. Ledwie jej wyklarowałem, że teraz nie pora myśleć o pogrzebie mamy, że na to zawsze przyjdzie czas. I dlatego chcę cię prosić, żebyś się Hanką zaopiekował. Ty sam musisz stąd zniknąć, bo nie wiem czy nie dowiedzą się, że jesteś tutaj. I jeszcze jedno, ktoś się tu już o ciebie wypytywał, mówił mi o tym doktor Mie...

– Miłko?

– Tak. On. Nie mogę mu nawet podziękować za wszystko. Ciebie wyratował, mnie dopomógł. A o tobie też nikt jeszcze nie wie, tylko dzięki niemu.

– Poza Olą – odzywam się cicho, bo zabrakło mi jej samej i tego jej patrzenia na mnie. Gapię się na drzwi szpitalne, ale tam nikogo nie ma. Tylko Józek przygląda mi się trochę speszony, jak bym mu nie pasował do tego, co sobie o mnie myśli.

– Tak. Poza nimi. Mówi powoli – w tej chwili nie masz tutaj nikogo więcej. Tak jak ja w Stoszowie. Ale co robić, taki nasz los, szwagrze – uśmiecha się smutno. – A ja ci jeszcze podrzucam Hankę i Wickę, bo... bo kogo jeszcze mógłbym poprosić o opiekę. Sam powiedz?

– Co ja się tam ponaopiekuję – próbuję się po raz pierwszy uśmiechnąć, choć fatalnie mi to idzie. – Ale spróbuję... jak tylko... jak tylko... – powtarzam jak papuga – kiedy tylko dam sobie jakąś radę z tym co... oo się stało.

– Musisz. Nie wiem jak to zrobisz, ale musisz. I tak samo musisz stąd zniknąć, a ja też nie wiem jak to zrobisz. Sam nie mam tu nikogo, można by jeszcze uderzyć do doktora o pomoc, ale on już dość zrobił dla nas obu. Nie wiem – kręci głową, jak nigdy dotychczas nie czynił – nie wiem, co ci poradzić. Może byś spróbował zacząć się przy jakimś tartaku, byle nie w samej Włodawie, bo tu mogą węszyć za tobą. Gdzieś w okolicy. Aha, mówiłem ci już, że ktoś się tutaj wypytywał o ciebie?

– Tak. Ale kto to był? I o co pytał?

– W każdym razie podobno nie wyglądał na Szwaba.

– Az kim rozmawiał? Bo z Olą na pewno nie. Byłbym już wiedział.

– Z drugą pielęgniarką, zdaje się, Stasia. Tak chyba powiedział doktor.

– Nie znam tej Stasi. Ale dowiem się od Oli. Ona ją dokładnie przepytę, co i jak.

– No to... – zaczyna jakoś tak uroczyście Józek i cofa się, jakby chciał mi się dobrze przyjrzeć.

– Co się stało?

– Bardzo dużo się stało, nie? Ale ja już ci w tym nie pomogę. I muszę już wracać. Najwyższy czas na mnie. Mam w Stoszowie na stacji przygotowaną walizkę u takiego kumpla, kolejarza. Dzisiaj mam ją odebrać.

A co dalej – zobaczymy. Do gajówki wolę się już nie pokazywać.

– A do doktora Miłko?

– Byłem już. To właśnie on przysłał mnie tutaj, do ogrodu. Podziękuj mu za nas obu i jeszcze raz pokłoń się nisko ode mnie. Powiedz dlaczego musiałem jak najwcześniej odejść. On zrozumie. Wie o nas wszystko.

O tobie i o mnie. Na pewno przy wypisie ze szpitala da ci pierwszorzędne papiery. Można na niego liczyć. Sam wiesz o tym najlepiej. A co do Oli, tej twojej pielęgniarki, to już chyba ty sam...

Kiwam głową, że tak, że to już ja sam załatwię.

– No tak – odsapnął i widzę jak sięga do wąsów, ale jakoś mu ta ręka opada po drodze, i wygląda na to, że Józek... że mu nagle zabrakło ochoty do wszystkiego. A co ja? Mogę go tylko objąć za szyję i przyciągnąć do piersi. I nie mocno, bo ta cholema rana znów się odzywa.

– Dej ci Boże, szwagier – słyszę jak przez mgłę głos Józka – nie wiadomo, kiedy się uwidzimy. Niewesołego gościńca przywiozłem ci z drogi, ale chyba trzeba było, żebyś się dowiedział o najgorszym jak najprędzej. Bo myślę, że przyjechałem tu do chłopaka, a odjeżdżam od chłopca. I chyba dobrze myślę, co? – na moment odsuwa mnie od siebie i znów kręci głową.

– Ale cię naznaczył, niech go szlag trafi, szwabska jego mać.

– Co się martwisz – wołam i aż podskakuję, bo nagle, po raz pierwszy od kiedym się obudził w szpitalu, słyszę swój głos na cały regulator. – O siebie się martw, stara pokrako. I uważaj na siebie, bo trzeba żebyś do niej wrócił jak najwcześniej. Wiesz, do kogo.

– A nie mówiłem, żeś już chłop – mruży oczy Józek. – Daj pyska, bo i ja się tu rozkleję, co bardzo mi w tej chwili nie pasuje – teraz on z kolei przyciska mnie mocno i krótko do siebie, odwraca się na pięcie i rusza w stronę furtki. Na rogu przystaje na moment koło parkanu i odzywa się wyraźnie, na cały głos. Nie krzyczy, ale słyszę jego każde słowo, jakby jeszcze stał przy mnie.

– Chciałem ci powiedzieć – Duniu! Ale powiem tylko: trzymaj się Władek! Myślę, że będziesz wołał tak...

Jeszcze przez chwilę słyszę na wyżwirowanej ścieżce jego ciężki krok, ale gdy podchodzę do parkanu nie ma już za nim nikogo.

Wracam do szpitala krok za krokiem. Nie pamiętam już o majorze Steinerze, rozlazła mi się po głowie cała rozmowa z Józkiem, a przecież dopiero co zniknął mi z oczu. Zapominam co mam powiedzieć doktorowi, a nawet o Oli...

Bo dopiero u siebie, u jakiego tam siebie, dopiero w tym pokoiku i na tym bambetlu, na którym obudziłem się Krzywoustym – przyszło na mnie to, czego tak długo nie mogłem się doczekać. Tu mnie dopada rozpacz, tu mnie nawiedza płacz, ale to taki, że wtulam głowę w poduszki, żeby nikt nie słyszał. Ani doktor, ani Ola. Telepie mnie moje nieszczęście po tym

szpitalnym bambetlu aż litościwa noc przychodzi pierwsza i gasi łzy w moich oczach. Nigdy tak nie płakałem, pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie poczułem się tak po psiemu.

Nikt też do mnie tym razem nie zajrzał. Na szczęście.

Tylko sen przyszedł wcześniej niż zwykle.

A w nocy przyszła Ola.

Tej właśnie nocy, z siedemnastego na osiemnasty marca Ola weszła w moje życie. I pozostała w nim do dzisiejszych moich dni. Z nią już i tylko z nią zdołałem przeżyć wojnę, z nią wstąpiłem w podwójne życie, którego bieg mógł wreszcie w jakiś sposób zależeć od nas samych, a nie tylko od filmu kręconego przez innych, dla których nasze istnienie lub nieistnienie było niczym. Drekiem, szajsem, albo i to nie. Widziałem nawet taki film. Nazywał się:... „Noc i mgła”. Oczywiście znacznie później, bo od tamtych spraw minęło już tyle, tyle dni, miesięcy i lat. Tak, prawie czterdzieści. Szmata czasu.

Tak sobie nieraz myślę, właśnie po tylu latach, sposobną porą – zdarzają się czasem takie pory nawet najbardziej zapracowanym ludziom – co by to było ze mną, co by się ze mną stało wtedy, tamtej marcowej nocy w czterdziestym czwartym, gdybym po tym moim wielkim, już nie chłopczyńskim płaczu otworzył znów oczy na następny wojenny świt. Gdybym poczuł całym sobą, każdym zmysłem swoją samotność, ciężką krzywdę podrostka nagle przez wszystkich opuszczonego, przez tych, którzy mu dotąd torowali drogę. Oczywiście, że nie tak wtedy myślałem, że świadomość tej straszności przyszła o wiele później, ale tak wtedy czułem.

I tak by mi dojrzała ta noc marcowa. Tak. Gdyby nie ona, Ola. Jej ramiona, które mi nie pozwoliły przeżyć tamtego snu do końca. Jej usta nie brzydzące się świeżych blizn na mojej twarzy, usta odnajdujące czujnie nie ostygłe jeszcze ślady łez na tej twarzy, jej piersi rozkwitające pod moimi jakże nieporadnymi, jakże żalonymi jeszcze pocałunkami.

Ale jeszcze później miałem poznać drugą Olę, tę chyba najbardziej mi potrzebną w owych godzinach – dziewczynę, która nie odeszła ode mnie po tym, czym mnie obdarzyła tej najstraszliwszej dla mnie nocy. Nie.

Czekała na mój sen w jej ramionach. I dopiero gdy się jej wydałem uspiiony, gdy odszukała swoją małą ciepłą dłońką uspokoiony wreszcie rytm mojego serca – zdecydowała się odejść. Leciusienko, jakby wstrzymawszy oddech ześliznęła się z moich piersi. Przez moment, mały wzruszający moment, który zawsze będę pamiętał, stała nachylona nade mną, potem poczułem nagle na głowie krótki, jakby ociągający się dotyk jej palców. I wtedy zacisnąłem do bólu wargi,

żeby nie krzyknąć. Przecież nie spałem – jakże bym mógł – przez sekundę nie zmrużyłem oczu, błogosławiąc ciemności, że nie zdradzają mojego przyczajenia. Tak jak bym czekał na to właśnie ostatnie dotknięcie. Dopiero gdy je poczułem, runąłem w sen jak kamień w studnię.

I w tym śnie dopłynąłem chyba na moim żalu daleko, be aż do Hiriczy.

I oto stało się tak, że kiedy na drugi dzień otworzyłem, oczy, zrozumiałem od razu, że miałem już do kogo je otworzyć. I to była pierwsza dobra myśl, z jaką powitałem wstający dzień. I dopiero po niej” zameldowały się inne. Te najstraszniejsze, wczorajsze. Wtedy właśnie pojąłem, czym stała się dla mnie od wczoraj, ta spokojna, mocna dziewczyna, o ileż mocniejsza ode mnie w tym właśnie momencie, o ile bystrzej ode mnie patrząca w przyszłość swoimi szarymi oczyma. Bo właśnie do tego spojrzenia przylgnąłem od przebudzenia.

Ola siedziała przy łóżku niemal w tym samym miejscu, w którym ode mnie odeszła tej nocy. Tyle, że tym razem mogłem dostrzec jej oczy.

Gdy tylko zobaczyła, że na nią patrzę, nachyliła się i ucałowała mnie w usta. Po prostu. Bez wstydu, bez rumieńca. Ale tym razem, gdy tylko chciałem ją przyciągnąć do siebie, stanowczym ruchem wysunęła się z moich ramion. Szybko poprawiła mi poduszkę pod głową i szybko przysunęła sobie krzesło rzucając jednocześnie spojrzenie na drzwi, jakby kogoś oczekiwała.

– Co się stało, Ola... Oleńka? – poprawiam się natychmiast tylko po to, by dojrzeć na jej ustach cień uśmiechu sprzed chwili. Chciałem nauczyć się go na pamięć, aby mieć choć coś z niej koło siebie, gdy zostanę sam. Ale dziewczyna zaraz zapomina o uśmiechaniu.

Patrzy na mnie uważnie, ze ściągniętymi brwiami.

A ma te brwi, no!

– Nie patrz tak na mnie, Władek. Mamy bardzo mało czasu, a może ty byś wolał, żeby nas nikt nie zaskoczył?

– Pewnie, że bym wolał – szepczę gorąco. – A kto może tutaj przyjść?

– Nie wygłupiaj się. Doktor Miłko, a... – widzę, że się na sekundę zawahała – a poza tym jeszcze wielu ludzi.

– Kto?

– Czekał, pozwól, że ja będę pytała. Czy brat powiedział ci wczoraj wszystko, kiedyście z sobą pogadali w ogrodzie, bo widziałam was przez okno. Byliście tak zagadani, że można było strzelać do was.

– Oleńka – wzdrygam się – nie... wolałbym teraz nie słyszeć o strzelaniu. Na razie mam

dość. To mi wystarczy na długo – dotykam palcami policzka.

– O Boże, przecież ja nie dlatego, tak mi się jakoś głupio wyrwało – w tej samej chwili czuję znowu na twarzy jej gorące wargi i od razu serce ucieka mi do gardła.

– Słucham cię, Oleńka – mówią po prostu, bo co więcej mogę wymyślić.

– Wszystko ci brat powiedział? – powtarza dziewczyna tak natarczywie, że tym razem mimo wszystko budzi się we mnie jakiś niepokój.

– W każdym razie – mówię powoli, bo czuję znowu narastający ból w policzku – w każdym razie zdążył powiedzieć o tym co najgorsze. A poza tym, to nie brat.

– A kto?

– To szwagier. Józek, mąż mojej siostry, – Hanki.

– Bardzo mi cię żal, chyba sam wiesz, jak strasznie mi cię żal, kochany – mówi nagle takim mówieniem, jakiego u niej nigdy nie słyszałem – ale teraz nie czas na <to, żeby cię tylko żałowała.

– Nie czas? A co...

– Mówił ci – przerywa mi szybko Ola i znowu patrzy na drzwi – powiedział ci o tym, czego się ode mnie dowiedział, a właściwie...

– Od siostry Stasi? Tak się nazywa?

– Sprytny jesteś. – Ola mruży te swoje siwe ślepia – ale chyba niezbyt mądry.

– Już mi to ktoś mówił, że jestem sprytny.

– To właśnie z nią, Stasia Jałbrzykówną, rozmawiał ten chłopak. Pytał o ciebie.

– Chłopak? O mnie? A jak wyglądał?

– Taki blade, nawet wyrośnięty, jak mówi Stasia, ale taki jakiś... chuderlawy. Bidnie ubrany.

– Nie wiem, kto by to mógł być. Chyba nie z Hińczy, ani z Blechowa, może jakiś koleś jeszcze ze szkoły.

Chociaż czekaj, czekaj, chuderlawy mówisz, to może Julek.

– Jaki Julek?

– Taki jeden, z Hińczy. Chłopak od Bukła.

– Znasz go?

– Nie bardzo. Jak kogo spotka, to gęby nie otworzy.

Tyle go znam, co z lasu. A on nie mówił jak się nazywa, albo jak go wołają?

– Nie. Tylko pytał o ciebie samego. Kiedy cię przywieźli do szpitala i dlaczegoś ranny.

A jeszcze, dlaczego cię przywieźli szkopskim autem i bez konwoju. A do tego kazali się tobą tak opiekować. I dopiero wtedy ta gadka tego wymoczka o opiece trochę Stasię trąciła, że tamten jak gdyby niechcący wyciąga ją na słówka. Bo niby co może obchodzić chłopaka, co się dzieje u nas w szpitalu. I zaraz mu to w oczy powiedziała.

– A on co na to? – pytam prędko.

– Że jest twoim krewnym, bratem ciotecznym, czy szwagrem. Widać dużo masz tych szwagrów po świecie. Ktoś mu powiedział o tobie, nie wiadomo kto i nie wiadomo co, no i przyszedł się dowiedzieć, co i jak, bo się bał o ciebie, że wpadłeś.

– Tak powiedział?

– Tak powiedział. I zapytał jeszcze raz, jakby przypadkiem o to, czy to nie dziwne, że Niemcy przywieźli cię tutaj z takim honorem.

– I co?

– Ano nic. Jak zobaczył minę Stasi, to prędko się spalił. Nawet się nie pożegnał, ani nie powiedział: „Pocałuj mnie gdzieś” – kończy ostro Ola i dopiero wtedy czerwieni się po czubek włosów, bo prawdę powiedziawszy, zakończyła to trochę inaczej, bardziej po naszymu, po chłopsku. Z całego serca! A przecież jaka tam ona chłopka. Na nauczycielkę się wybiera, jak mówi doktor Miłko. Ale tym bardziej miałbym teraz ochotę... no, nieważne na co miałbym teraz ochotę, ważne, że mi tak z nią fajnie, nie, co mi chodzi po głowie. Strasznie dużo o niej myślę od paru godzin. Jak nigdy dotychczas o nikim. I byłbym pewnie znów zapomniał o wszystkim poza Olą, gdyby nie ta myśl nagła a niespodziewana, która przesywa mnie na wskroś. Tak to właśnie wtedy odczułem. Myśl o Buklu. Tak, o Jakubie Buklu, naszym sąsiedzie z Hińczy. Bo jeżeli ten, który tak pilnie o mnie wypytywał tą Stasię... Jakjejtam, jeżeli ten chudzielec, to naprawdę Julek, to sam od siebie on nie przyszedł. Musiał w tym maczać palce sam Bukiel. Że mnie to nie przyszło do głowy podczas spotkania z Józkiem, ale ze mnie frajer – zaciskam niebacznie zęby i już znowu czuję jak mi ból skręca szczękę. Przecież to właśnie Józek Rygiel tak się uparcie dopytywał i to kilka razy, właśnie o Bukla. Musiał mieć jakiś powód tej ciekawości. Już wtedy w szwagrowej gajówce mnie to zdziwiło, a teraz była ostatnia okazja, żeby się od szwagra czegoś więcej dowiedzieć, choćby o tym, dlaczego tak się interesuje naszym sąsiadem z Hińczy. Coś w tym musi być, ale ja nie zapytałem, Józek prysnął nie wiadomo na jak długo, a ja wciąż nic nie wiem o tym, po co Bukiel nasłał na mnie tego Julka. W tej chwili przypominam sobie, że skądś dowiedziałem się chyba jeszcze w Stoszowie, nie, to musiało być później, że żandarmi w Hińczy

zaczęli swoją rzeźniczką robotę od obejścia Bukłów. Jak gdyby właśnie ich szukali i po nich przyszedli. A kiedy nikogo w domu nie znaleźli – zaczęli swoje, chyba z zemsty, że tamci im zwiali. Ale w takim razie to ja powinienem jego szukać, a nie on mnie, bo to jego wina za to wszystko, co się stało w Hińczy!

W tym momencie czuję na głowie znajomy dotyk.

Tak, to ona. Ale tym razem patrzy na mnie z takim strachem w tych oczyskach, że to mnie robi się straszno, tak, że zaczynam się trząść, bo już sam nie wiem co się ze mną dzieje. Tak mnie rąbnęła ta myśl, że tor przez Bukla rozwalili wszystkich w Hińczy.

– Co ci jest? – szepce dziewczyna i rozgląda się dokoła jakby chciała wołać o pomoc. Nie dla siebie, dla mnie. – Masz gorączkę. Bierz ten termometr – już wyczarowuje z fartucha szklaną rurkę i wpycha mi ostrożnie w usta. – Nie ma teraz gadania. Uważaj na ranę! Mierzmy temperaturę – popędza mnie nagle z taką złością jakbym to ja był winien wszystkiemu: temu o czym myślę i temu co ją we mnie przestraszyło.

I co mam robić? Przecież to Ola! Więc siedzę z tym cholernym szklanym paluchem w gębie. Siedzę i trzęsę się. A ta siedzi nade mną jak kat nad grzeszną duszą, – Trzydzieści siedem, osiem – odczytuje wreszcie moja najdroższa, niech ją kaczka kopnie, a wygląda przy tym tak ślicznie kiedy odchyła głowę ku oknu, żeby odczytać moją gorączkę, że muszę jej darować. – Od razu tak myślałam. Co ci się nagle stało, przed chwilą byłeś prawie normalny?

– Nie wiem – zaczynam pokornie, bo czuję, że naprawdę zaczynam się rozklejać. – Może to dlatego, że przyszło mi na myśl coś bardzo paskudnego, co mnie tak rąbnęło że całkiem otumaniał.

– Dwa razy pytałam dlaczego mi nie odpowiadasz i dopiero teraz zorientowałam się, co się z tobą dzieje.

Pierwszy raz w życiu spotykam coś takiego. Fajna ze mnie pielęgniarka, co? Ale to nic. Kiedy tylko przyjdzie pan doktor...

– Nie, Oluś – przerywam jej – nic mu nie mów.

I tak muszę się go poradzić w ważnej sprawie i niczym innym nie mogę mu zawracać głowy.

– Muszę, Władek. Jestem w tej chwili na dyżurze.

To mój obowiązek.

– Ale nie mój – wołam, mimo że mnie to dużo zdrowia kosztuje.

– Cicho! Bo znowu ci się pogorszy i sam doktor pozna co z tobą, bez mojego raportu. Co cię

tak rozjuszyło, bo wyglądałeś przed chwilą jakbyś zobaczył upiora.

– Może i zobaczyłem – burkocę przez palce, którymi ściskam twarz – a może – nie wytrzymuję – może ten Bukiel nie ma z tym nic wspólnego, a ja się gryzę jak głupi.

– Co ty wygadujesz? Coś sobie znowu wykombinował. Jaki Bukiel? I siedź spokojnie, bo doktor mnie ochrzani, że cię rozpuściłam jak dziadowski bicz.

– A rozpuściłaś mnie naprawdę? – pytam cichutko, ale Ola i tak słyszy, bo znowu widzę po niej, że jest zła, ale widzę też, że się hamuje, żeby mnie uspokoić.

– Znowu nie odpowiadasz na pytanie. Czekać, masz tu newralgię. Połknij to, ale już. Teraz popij – podaje mi szklankę. – Powinno ci pomóc. To na uśmierzenie twoich... przywidzeń. No już, nie rzucaj się, tylko odpowiedz jak człowiek, co ty z tym Bukiem? Ale nie wrzeszcz, bo ci znowu gorączka podskoczy. Krótko, w dwóch słowach.

No to opowiedziałem upartej babie wszystko, co miałem w tej chwili na sercu. O Hińczy, o Buklu i obławie na niego i o tych partyzantach, jego nocnych gościach. Wszystko. Tylko o mamie ani słóweczka. Ale ja i tak poznałem z twarzy dziewczyny, a przede wszystkim z jej oczu, że musiała już wszystko wiedzieć nie tylko o mnie i o Hance czy Józku, ale i o tym, co się stało z mamą. A poznałem, dlatego że zdążyłem się już trochę nauczyć czytać z oczu mojej dziewczyny. Dziwne, ale właśnie chyba w tej chwili pierwszy raz tak o Oli pomyślałem.

Kiedy skończyłem i spojrzałem na nią, ujrzałem, że Ola nie stoi przy mnie, ale patrzy w okno jakby słuchała nie mnie, ale świerkowych gałęzi za szybą. Dopiero gdy dosłyszała ciszę w pokoiku, spojrzała na mnie.

– Tak – odzywa się wreszcie tak cicho, że ledwie ją słyszę – nie za łatwo ci się walczy na tej wojnie, zresztą i nam wszystkim, choć każdemu inaczej. A tobie, Władek, nawet bardzo inaczej.

– Czemu tak mówisz?

– Bo tak cię widzę, trochę z tego co sama przeżyłam, a resztę dobrzy ludzie dopowiedzieli. No, co tak patrzysz?

– Pewnie Józek, albo i doktor?

– Albo i doktor. Co za różnica. To i dość wiem o tobie – znowu patrzy w okno, tak że nie mam pojęcia do kogo to mówi, ale chyba najpewniej do samej siebie.

Trochę, wydaje mi się, pobladła i nie wiem dlaczego nie patrzy na mnie. Wciąż wraca do tego okna. – Myślę, że to trochę za wcześnie dla takich... młodzików jak ty – znów mówi cicho, jakby mnie nie było przy niej.

– Za wcześniej?

– Chyba tak. Bo widzisz, patrzę ja tak na ciebie (dopiero teraz popatrzyła) i myślę, co ty z tego masz, ty i wszyscy twoi, że się ta czarna wiedźma, wojna, tak na was odgryza.

– Na wszystkich się odgryza – myślę i uśmiecham się do siebie a trochę do tych babskich postękiwań o wojnie, bo przecież wiadomo jak to jest. Przyjdzie sama, wybierać nie można, a płakać nie daje. I co można zrobić. Tak właśnie myślę, ale się nie odzywam.

To i Ola znów zaczyna po swojemu. Niby cicho, ale tak, że słyszę jej każde słowo.

– Bo tak pomyśleć przez chwilę, to wszystko coś miał, co ci było bliskie – wyrwała ci od serca. I nic ci nie zostawiła, nawet dobrego wspomnienia.

– Wojna? Komu wojna co dała? – wzruszam ramionami.

– Pomyśleć tylko: nie maszerowałeś, nie gnałeś do ataku z bagnetem przed piersią, nie krzyczałeś: „Hurra!”. Przecież nawet nie zdążyłeś powojować, bo i kiedy? A ileż ty masz właściwie lat, Władeczkule? Ile?

– Przecież musisz to wiedzieć. Z moich papierów. Szesnaście.. Albo co? – czuję, że tym razem ja czerwienieję....

– O, znowu jesteś zły, – uśmiecha się Ola – taki młody a taki złośnik. A może ja nie z ciekawości pytam.

– Az czego?

– Ze wstydu. Nie patrz tak na mnie. Bo ja mam dziewiętnaście lat. Sam widzisz jaka jestem już stara.

Trzy lata starsza od ciebie. Trzy pełne wojenne lata, a podobno one liczą się podwójnie!

– Po co ta gadka – odzywam się ponuro – żeby mnie rozśmieszyć?

– Czy to takie śmieszne? Bo dla mnie wcale nie.

– Nie umiem... no, jakoś nigdy nie pasuje mi o tych sprawach mówić, ale chyba sama wiesz, co ja z tobą, co ja tobie, Olu... – czuję, że mi się język płacze i zaraz zacynam się jak zardzewiała zasuwa w naszej komórce w Hińczy. I milknę i tylko wzdycham.

A moja dziewczyna też przez chwilę nic nie mówi, tylko podnosi szklankę i zaraz odstawia z powrotem na stół. Potem rzuca okiem na drzwi, a mnie przychodzi nagle do głowy myśl, że na moje kulawe szczęście właśnie w tej chwili nadejdzie doktor Miłko. Ale jakoś nie nadchodzi. Tylko Ola patrzy na mnie przez chwilę z ukosa i odzywa się jak gdyby nigdy nic:

– Jeżeli chodzi o tego Bukla, to myślę, nie, jestem pewna, że o ile ten chłopak, który

wypytywał Stasię. Był nawet przez niego przysłany, to nie masz się czym przejmować. Myślę, że to raczej on ma coś na sumieniu.

A jeżeli nie, to powinien sam się z tobą zobaczyć, a nie wysłać jakiegoś wywiadowcę od siedmiu boleści.

– Ale Ola, ty chyba nie słyszałaś, co powiedziałem.

– Słyszałam – urywa ostro Ola.. Ona jak chce, to potrafi tak człowieka oblać zimną wodą, jak sam naczelnik Straży Pożarnej w Blechowie. Ochotniczej. Pan naczelnik od blechowskich pompierów. Jak on prowadził węża od sikawki to mucha nie siadła. Największy pożar ugasił. Taki kozak! Zupełnie jak moja dziewczyna, ale gdzie mnie tam teraz do Straży Pożarnej, kiedy Ola jest zła. A chyba jest. Co ona mówi? – A jeżeli – słyszę znów jej głos – A jeżeli tego wyrostka przysłał ktoś inny, to... może być rozmaicie. Ale nie można tego bagatelizować. Teraz ja chciałam cię zapytać, czy słyszałaś, co do ciebie mówię?

– Słyszałam – odzywam się posłusznie – nie bagatelizować. Ale co mam robić?

– Pan doktor już chciał mówić na ten temat.

– O Buklu? Przecież on nic nie wie o nim?

– Nie o Buklu. O tobie.

– To bardzo dobrze, że pan doktor Miłko... – urywam, bo w tej samej sekundzie doktor ukazuje się w drzwiach.

– Słyszę, a nawet dobrze słyszę mojego byłego pacjenta, który całkiem poprawnie wymawia moje nazwisko. A przed paru tygodniami to jeszcze ani be ani me. Prawda, że tak było? Pani Strycharska chyba najlepiej z nas to pamięta. Bo to przecież pani tę przestrzeloną roślinkę wyhodowała na nowo w naszym szpitalu?

– Proszę mnie nie pognębiać przed tym młodym człowiekiem, panie doktorze. Wiemy. Wszyscy kto Władka... kto kolegę Sajkę uratował. A teraz kto sprawił, że nasz pacjent czuje się już zupełnie dobrze, powiedzmy, prawie zupełnie dobrze. Sama przed chwilą sprawdzałam według poleceń pana doktora ogólny stan naszego Władka i mogę zameldować, że – oczywiście Ola buja jak z nut, ale w tym miejscu nawet ona się zająknęła – że wszystko w porządku. Może zechce pan sam sprawdzić, panie doktorze.

– Nie, dziękuję. Wierzę pani, że jak zwykle wypełnia pani wszystkie moje zalecenia. Zwłaszcza, że chodzi o „naszego Władka” – mruczy doktor pod nosem i zaraz zwraca się do mnie – Widzę, chłopcze, że szybko przychodzisz do siebie u siostry Oli. Właśnie dzisiaj dużo

o tobie myślałem, choć miałem ciężki dzień.

Przepraszam, że nie przychodziłem tak długo, ale dopiero przed chwilą skończyłem ostatni zabieg. Cztery wozy z Miedzianki! Pełne pacjentów. Pewnie słyszeliście jak się furmanki tarabaniły na podwórzu? Albo może wcale nie słyszeliście? – patrzy na nas dziwnym wzrokiem.

– Co to, nowa wojna? – Ola uśmiecha się do doktora, ale widzę, że jest bardzo przejęta tym lekarskim patrzeniem.

– Nie. Wesele – dopiero teraz doktor Miłko odpowiada dziewczynie na pytanie. – Normalne wesele w Miedziance. Bardzo wojenne, jak wypada podczas wojny. Dużo ofiar. Zresztą wyprawione jak się patrzy na świetnym bimbrze miejscowej produkcji. Ale dość żartów – zwraca się znów do mnie i widzę teraz jak szybko zmienia mu się twarz. Jakby postarzał w jednej sekundzie. – Więc na pewno dobrze się czujesz? To dobrze, że dobrze, bo trzeba będzie pryskać, panie Władziu i to, kto wie czy nie dzisiaj.

– Dobrze – podrywam się, bo czuję, że wreszcie przychodzi moja pora. – Dobrze, ale przede wszystkim – odzywam się uroczyście – chciałem pięknie podziękować panu doktorowi w imieniu moim własnym za uratowanie mnie od... cholera wie jakiej zołzy – wybucham ze złością, bo nie mogę znaleźć żadnego pasującego słowa – bo gdyby nie pańska szczęśliwa ręka, nie wiadomo kto by miał stąd pryskać.

– Człowieku, to chyba nie rozumiesz co do ciebie mówię – dochodzi wreszcie do głosu pan doktor, bo przez chwilę stał jak słup soli – grozi ci cholerne niebezpieczeństwo. Ktoś przyjechał dziś ze Stoszowa i przywiózł niedobłą wiadomość dla ciebie.

– O Józku?

– Tak. Aresztowany. Na stacji w Stoszowie. Zresztą nie sam. Z całą kupą ludzi, samych mężczyzn, którzy czekali na peronach. Żandarmi obstawili stację i brali jak leciało. Nawet nie sprawdzali dokumentów. Kobiet nie tykali.

– Żandarmi?

– Tak. Wiadomość przekazał jakiś kolejarz, znajomy twojego szwagra. Widać pewny człowiek, jeżeli ten twój Józek, podał mu gdzie jesteś. A co do ciebie samego, to myślę, że jesteś spalony i musisz stąd pryskać jak najprędzej i to nie dlatego, że Józka wzięli w Stoszowie, bo to był z pewnością przypadek i wygarnęli całą kupę ludzi za jednym zamachem. Myślę, że to na roboty i budowy umocnień na bliskim zapleczu. Tak, to tyle co do niego, ale ty musisz wiać, bo po tym... po tej pacyfikacji będą cię wciąż kojarzyć z Hińczą. Teraz sam rozumiesz czym to

pachnie. Musisz stąd spływać.

Przynajmniej ze szpitala.

– Ale dokąd mam wiać?

– O tym też próbowaliśmy już myśleć... z siostrą Ołą. Nie mówiła ci? Pewnie nie zdążyła!

O czym właściwie gadaliście przez cały czas? No, mniejsza z tym.

Otóż siostra Strycharska mieszka w Kalince, z rodziną.

– To tutaj, takie osiedle... przedmieście Włodawy – wyrywa się Ola ze swojego kąta.

– Cicho! – macha ręką doktor i moja najmilsza rzeczywiście cichnie jak spłoszona makolągwa. Widać tylko do mnie ma śmiałość! – na jakiś czas, dopóki zupełnie nie wydobrzejesz, możesz tam przycupnąć. Potem, da się widzieć co zrobimy. Rozumiesz?

– Nie... nie bardzo – kręcę głową, jak przedtem Miłko – A pan, panie doktorze?

– Co ja?

– Co będzie z panem, kiedy Szkopy skombinują, że jestem z Hińczy?

– A co ma być? – dziwi się doktor Miłko – Wypiszę cię normalnie ze szpitala do domu, bo nie dostałem innych instrukcji od majora, jak on się tam wabi – Steinerja, jak tylko to, żeby o ciebie dbać, dać ci osobne pomieszczenie, i oczywiście, żeby cię wyleczyć.

Wszystko to spełniłem, prawda?

– Ale to jeszcze...

– Czekać, nie skończyłem – stroszy się doktor, jakbym mu konia ukradł – powtarzam: wszystko to spełniliśmy tak, jak sobie ten frajerski major, twój litościwy morderca – życzył. Tak czy nie? – kończy gromko i patrzy na mnie jak kura na glistę, zanim ją dziobnie w tyłek. Taki raptus!

– Tak – potakuję, bo naprawdę czuję przed nim takiego pietra jak przed chwilą Ołą.

– No! Więc nawet według nich jesteśmy w porządku. In Ordnung! Bo oni podobno cholernie kochają porządek. Dopiero teraz, kiedy biorą w kuper na wszystkich frontach – przepraszam, Olu – dopiero teraz zaczyna im coś nie grać w tym ordnungu. Bo mieli przyjechać i sprawdzić, czy wszystko z tobą jest tak, jak sobie wieszowali. I co? I nie przyjechali. A dlaczego? Bo według tego, co mówił ostatnio ten twój szwagier... Jak on się zowie?

– Rygiel – szepczę cicho, żeby się znów nie rozindyczył.

– Jak? Aha, rzeczywiście, Rygiel, w każdym razie:

Józek. I ten właśnie Józek szepnął mi, że według niego major Steiner jak i jego kierowca,

który cię tu przywiózł – zniknęli nagle i niespodziewanie z naszych okolic. Prawdopodobnie uciekli stąd na front wschodni, by zwycięsko odpierać nową ofensywę Rusków. I co ja robię wobec tego, jak myślisz?

Nie odpowiadam na wszelki wypadek, więc doktor patrzy na mnie ze złością i prędko dodaje.

– Takim prawem ja ciebie jako ozdowieńca muszę wypisać ze szpitala do domu, żebyś innym nie zabierał miejsca. I natychmiast wypisuję cię ze szpitala.

– Co?

– A jakżeś myślał, bohaterze od siedmiu boleści, że jeszcze z tydzień, albo miesiąc tu poleżakujesz. Może w ogrodzie, co? Na widoku wszystkich! I do końca wojny. Tak?

– Panie doktorze! – mamlam zrozpaczony – przecież...

– Nie ma żadnych „przecieżów” – macha ręką Milko. – Tu nie możesz być. Musisz wiać. I to tylko w nocy, żeby nikt nic nie wiedział. Tu nawet w tym szpitalu ściany mają uszy. A ja znowu nie jestem taki bohater, żeby czekał aż cię tu capną, może nawet ze mną na dodatek. A do Kalinki odwiezie cię Ola. Własnoręcznie.

Myślę, że nie będziesz się zanadto opierał, co? I ona cię już tam zarekomenduje komu trzeba. Teraz chodzi tylko o dwie sprawy. Pierwsza, to ta, żebyście wyjechali już dzisiaj na noc. To blisko, ale nigdy nie wiadomo kogo możecie w drodze spotkać. Sztraify plątają się po drogach, pojedziecie naszą szpitalną furką, w nocy taka cholera skrzypi jak jasny gwint, to zwraca uwagę. Musicie z daleka ominąć nasz reprezentacyjny włodawski Gendarmerie-Stützpunkt, bo tam tylko czekają na taką okazję. A to przy samej rogatece i tam się zmieniają patrole. Ale panna Strycharska już wszystko to zna na pamięć. A zresztą wie kogo wiezie, prawda?

– Nie rozumiem – buntuje się dziewczyna.

– Tym lepiej. Jaką teraz mamy pogodę, Olu? – przemawia nagle Miłko słodko, jakby grał na flecie.

– Pogoda? Aha – połapuje się Ola, podbiega do okna i uchyla storę zaciemnienia – chmurno, i trochę mokro. Nie pada, ale musiał być deszcz.

– To nieźle. Druga sprawa to do pana samego, panie Sajko. Jak pan się czuje?

– Niby jak? – odpowiadam jak tuman, bo tak mnie speszył tym nagłym „panem”.

– Może pan jechać teraz, no, powiedzmy za godzinę. Furka będzie czekała przy tylnym wejściu. Więc jak będzie? Porwiemy pana za pana zgodą. Niech choć raz dziewczyna porwie

chłopaka. I do tego rannego. Jakie to romantyczne. Płakać się chce. No więc – odzywa się nagle poważnie – jak, chłopcze, wytrzymasz?

– Co bym nie miał wytrzymać, panie doktorze – odpowiadam szybko – pod taką opieką?

– A więc krótko. – Ola, proszę o ubranie Władka.

Jest w mojej szafce. A potem proszę wrócić do kancelarii i wypełnić papiery Sajki. Aha, i w uwagach podać długość procesu leczenia i obowiązkowo: okres rehabilitacji. Diagnoza – rana postrzałowa.

– Na jego nazwisko?

– Przecież nie na moje, dziewczyno! Jeszcze chyba jestem dyrektorem tego szpitala. I, o ile wiem, nie rannym.

– Tak jest – odpowiada Ola, trochę przez zęby, widać też już zeźlona – zaraz przyniosę rzeczy... kolegi Sajki i zabiorę się do tych papierów.

– Świetnie! – rozjaśnia się nagle doktor – zobaczysz – odwraca się w moją stronę – jakie wysztyftujemy ci świadectwo wypisania do domu. Jak róży kwiat!

– Jak?

– Tak się mówi – niecierpliwi się Miłko – A teraz kładź się!

– Proszę?

– Muszę cię jeszcze trochę wymaglować przed tą całą podróżą. Bo może tylko się chwalisz tym swoim znakomitym samopoczuciem. No, jazda!

Jak doktor mówi „jazda”, to nie ma co rekursować, choć to ja mam jechać, a nie on. No więc kładę się znów do swego ukochanego bambetla, chyba tym razem po raz ostatni, a palce doktora zaczynają na moim brzuchu, piersiach i twarzy wytańcowywać takie hopsztosy, że nie mogę się pozbierać ze śmiechu. Ola pryska i długo nie wraca, jak na złość. A ten Miłko dudli mnie i dręczy na wszystkie boki, z tyłu i na wznak, że wstyd pomyśleć. Potem nagle każe mi siadać, jeszcze raz opukuje jak handełes starą szafę i już komenderuje, żeby wstać. Wolałbym, żeby teraz Ola nie wróciła, ale nie mam nic do gadania, bo na samym końcu Miłko dobiera mi się do rany, miętosi mi policzki, naciska szwy i płakać nie pozwala. A ja mam ochotę wyć z bólu jak pies do księżycy. Ale on tylko główką kręci w prawo i w lewo i ja już wiem, że nie wolno nawet pisać.

I tak bawimy się z sobą jeszcze przez kwadrans, a może przez godzinę, tyle że to widać jemu ta zabawa się podoba, bo mnie nie. Ale na moje szczęście zmęczył się wreszcie, bo przysiada na zydlu i ociera sobie pot z łysinki. Patrzy na mnie jeszcze spod oka i nagle szepce:

– Możesz się już ubierać, Władzio. Tak, tak, ubieraj się.

– Całkiem już? – pytam – to znaczy, do wyjazdu?

– A jak? Przecież słyszysz co mówię. Żebyś się ubrał. Nie wypada na golasa czekać na dziewczynę.

Nie wy-pa-da – powtarza zmęczonym głosem, jakby przemawiał do chorego konia. – Nie jest z tobą tak źle, żebyś mi tu zemdlął na łóżku, ale i nie tak dobrze, żeby uganiać po naszych debrach i to do tego jak kocur – marcową nocą. Niestety, nie ma innego sposobu na wojnę. Trzeba starać się ją przeżyć, jak się da.

Powiem ci, Władek, tak między nami, że ja tylko na pozór jestem taki niby spokojny i trzymam fason. Tak naprawdę to bardzo kocham życie i nie wiem co bym zrobił, gdybym umarł. No cóż – zrywa się z zydła i wyciąga do mnie rękę – życzę szczęścia, jak to się mówi „na nowej drodze życia” – przyciska mnie do siebie i poklepuje po plecach, ale zaraz cofa się ku drzwiom – Gdzież ta Ola? A ty ubierz się porządnie, nie byle jak, wciągaj sweter, w nocy jeszcze zimno – pogania mnie, jak ktoś dawno, chyba sto lat temu – w Hińczy – myślę i zaraz ręce zaczynają mi się plątać w tym swetrze. – Gdzież ta Ola!

Jest Ola. Wraca zdyszana z kancelarii i już w progu podaje doktorowi zwitek papierków, z moim zwolnieniem ze szpitala we Włodawie, a także z moim, pożółkłym już i postrzępionym tymczasowym skierowaniem do pracy w lesie, wydanym jeszcze przez blechowskiego sołtysa. Tym papierkiem wolałbym się dziś nie chwalić, ale to było jedyne „białko”, papierek z tamtych czasów, kiedy ktoś o mnie, Władysławie Sajce pamiętał w tamtych stronach, ktoś, kto mi wydał ten świstek z gapą i niewyraźnym podpisem. Chowam go razem z resztą papierków głęboko w cholewie buta i próbuję jeszcze policzyć się sam z sobą, przed drogą, niby żeby przymierzyć się jakoś do tego, co ze mną będzie. Chcę nawet tupnąć tym butem w podłogę, jak wtedy gdy ruszałem z naszej chałupy do Stoszowa.

Chcę, ale na szczęście powstrzymuję się, żeby nie powtórzyło mi się nic z tych cholernych spraw, które mam już za sobą. Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało.

I właśnie w tej chwili przypomniał mi się znowu mój wciąż nie zapłacony rachunek z Bukiem. Jeżeli to był on! – poprawiam sam siebie i zły jestem jak cholera, że właśnie w chwili odjazdu takie głupoty mnie nachodzą. Ale co mam robić, naszły mnie wtedy, nachodziły później, przez te wszystkie lata i nachodzą do dziś, kiedy tak sobie rozmyślam znowu sposobną porą o tym piekielnym sąsiedzie bez trzech palców u lewej ręki i o tym, kto kogo powinien szukać. On

mnie czy ja jego. Mam!! To on, niepokój wierzyć rodzonej żonie, czy tamtemu rodzonemu wrogowi. Ola jest do dzisiejszego dnia najświęciej przekonana, że to na niego właśnie polowali w Hińczy czarni i żandarmi, a on... On – według tego, co mi Ola opowiedziała o tym ich spotkaniu w lecie czterdziestego czwartego, kiedym się z nim rozminął – on przyszedł mnie wtedy szukać, żeby powiedzieć mi w oczy, że to przeze mnie, że to ja mogłem nadać go żandarmom, a sam zwiąć z Hińczy. Sam! A mamę to pewnie zostawiłem na łup zbójom? Rodzoną matkę! Takie to podejrzenie ośmielił się ścierwo na mnie rzucić, a sam dopiero wtedy się opamiętał, kiedy mu Ola wygarnęła, co ona sama myśli o nim i o tym, że to przez niego tylu ludzi poszło do ziemi. Wtedy dopiero nie tylko się opamiętał, ale i odczepił. Po prostu szczeł jakby go ziemia pochłonęła.

A ja sam żałowałem przez cały czas, żeśmy się wtedy nie spotkali, bo byłbym mu skoczył do gardła – jakie ma prawo tak mnie szkalować. Ale tak się stało, żeśmy się od czasów pacyfikacji w Hińczy nigdy więcej w życiu nie spotkali. Do dzisiejszego dnia! A z tego co mówi Ola wynika, że wtedy kiedy przyszedł do nas, do Kalinki – sama – na własne oczy увидziała tę jego dwupalcową rękę. I to wtedy kiedy sięgał po papierosa.

Tyle, że był bez brody. Widać musiał ją zgolić. Ale o mnie pilnie i po drańsku wypytywał. A gdy już Ola mu wszystko o mnie wygarnęła – przepadł raz na zawsze.

Ale wtedy, kiedy wyruszyliśmy oboje z Olą w marcową noc na wędrówkę do Kalinki – wtedy jeszcze nie wiedziałem, że przyjdzie mnie szukać i nie znajdzie, że te wszystkie swoje plugastwa będzie rzucał w oczy, nie mnie ale mojej żonie, mojemu najwierniejszemu towarzyszowi – o tym moja dziewczyna wtedy też nie mogła jeszcze wiedzieć. Bo skąd? A ja pomyślałem tylko nie wiadomo dlaczego, że z tym Bukiem to się jeszcze musi okazać, jak jest naprawdę.

Zdawałoby się, że na tym sprawa między nami się skończyła. Nieprawda. Tylko dla Oli i – jak się później okazało – dla Józka, gdy wrócił z niewoli. Dla mnie nie. Dla mnie właśnie wtedy zaczęła się. I trwa do dzisiaj. Tyle, że przez cały ten czas ani on mnie nie odnalazł, a może odnaleźć nie chciał, ani ja się na niego nie natknąłem. Na szczęście. Nie wiem tylko do dzisiaj – na czyje szczęście. A wtedy...

A wtedy – cóż. Pożegnałem się jeszcze szybciotko z doktorem Miłko i ruszyłem z Olą w marcową noc.

Do Kalinki dotarliśmy już dobrze po północy. Przez pierwsze dwa tygodnie „dobrzałem” jak

by powiedział doktor Miłko, w stodółce, a raczej w takim sąsięku na stryszku, obłożony na dzień sianem i Ołowymi książkami – bo na tym punkcie od pierwszej chwili nie dała mi spokoju. Na noc pozwalano mi na godzinę-dwie pętać się po chałupce pań Smożewskich, z których najmłodsza, Rozalia, liczyła niewiele ponad siedemdziesiątkę. Właśnie ona była matką chrzestną Oli.

Obie starsze, Jadwiga i Teresa tworzyły z tamtą siostrą zespół tak piękny i pełny dobroci, że od pierwszej chwili przystałem ochoczo na rolę chłopca do posług w tym „domku trzech dziewcząt”, jak go ku oburzeniu ciotek nazwała moja dziewczyna. Wtedy nie miałem jeszcze wyobrażenia o Schubercie, ale teraz doskonale przypominam sobie nastrój panujący zawsze w tej chałupce, nastrój, w którym wojny i Szkopów po prostu się nie dostrzegało. Rodzice Oli mieszkali w dalekim Sędziszowie, ale mnie najzupełniej wystarczyły do towarzystwa te trzy siwe gołąbeczki strzegące czujnie mojego snu na górcie. Bo o moją wojenną przydatność w najbliższym czasie zatroszczyła się i to bardzo szybko moja ukochana. A z kolei o to ukochanie zatroszczyłem się już sam, jak przystało na parobeczka w moim wieku. Bo wciąż jeszcze czułem się wtedy parobeczkiem. Na awans w oczach własnej dziewczyny trzeba było jeszcze poczekać. Oczywiście awans – do roli jej „chłopaka”.

Awansowałem jakiejś tam nocy, już naszej własnej, choć wciąż nieślubnej nocy, ale już nie takiej zdyszanej jak ta, jaka nas połączyła w szpitalu. Chociaż taka za bardzo własna to i ta noc nie była, bo po pierwsze spełniła się na sianku trzech gołąbeczek, a po drugie, Ola wyrwała się przed północą wprost z moich ramion do operacji dwóch ciężko rannych Szwabów, jako że miała tej samej nocy ostry dyżur w szpitalu. Postępek tego rodzaju pachniał już niemal zdradą narodową, gdyby nie to, że po prostu obaj ranni mieli specjalnego pecha nacinając się wraz z całym patrolu na połączony oddział jednej z pierwszych w naszej okolicy radzieckiej grupy wywiadowczej i słabego oddziału BCh złożonego przeważnie z naszych podwłodawskich sąsiadów z Łękowa i Kurzyny tak, że wiadomości o wynikach nocnego boju mieliśmy już w domu, w Kalince, niemal o świcie.

Takie to było moje pierwsze wtajemniczenie w sprawy prawdziwej wojny, frontowe, a nie na zapleczu, bo pierwszy meldunek do władz BCh w naszym powiecie sklecony bardzo jeszcze niewprawnie ale za to własnymi, chłopskimi rękami składałem ja. Na szczęście bardziej chodziło wtedy o pośpiech niż o ortografię, a ten, który przyniósł wiadomość o potyczce, był ranny w rękę i wracał na drugi opatrunek do włodawskiego szpitala. Dziś podejrzewam, że to właśnie doktor

Miłko był tym, który skierował rannego do mnie, bo Ola na ten temat milczała jak zaklęta. Dziś, po latach wiem już wszystko, po prostu chodziło o to, żebym już wcześniej zarobił na zaufanie ludzi, z którymi, jak uplanowała sobie moja dziewczyna, miałem współpracować w najbliższej przyszłości. Tak się też stało, jako że na kobiecy upór nie ma rady, a że w tym wypadku był on zgodny z moimi najbardziej poufnymi marzeniami – dałem nura w tę nadarzącą się okazję, jak wiatr w dojrzałą koniczynę. Meldunek poszedł, chyba spodobał się, bo parę tygodni później zaprzysiężono mnie w domu kurzyńskiego nauczyciela, w nocy, żeby było ładniej. Pseudonim „Chińczyk” wymyśliła dla mnie oczywiście Ola, bo mnie nie przyszedłby do głowy taki chytry pomysł z ortograficznym błędem. I tak już zostało, choć do Batalionów Chłopskich dostałem się ostatecznie przez okno, jako że na to ślubowanie musiałem się przedzierać nocą, z początku okolicznymi ścieżkami i miedzami wraz z zaufanym, choć łysym przewodnikiem, a później od opłotków Kurzyny – już sam cna własną rękę. Zaraz za starą szkołą czekali na mnie jacyś ludzie, ale wzięli mnie tylko bez słowa między siebie i powiedli w ciemność. Gdyśmy przystanęli na cichy gwizd – popchnął mnie któryś z tamtych w kierunku, jak się po chwili zorientowałem – zastodola.

Prawie po omacku obszedłem według nosa – gnojówkę, potem już według oczu – stodołę, w końcu dobrnąłem do czyjejs ręki wyciągającej się ku mnie z ciemnego okna.

– Wchodź! – usłyszałem szept, gdy tylko uściśnąłem tamtą dłoń.

– Jak? Oknem?

– Włóż. Nie gadaj!

Wobec tego potężnym susem wylądowałem na parapecie, a w sekundę później w środku małej izby, w której znajdowało się trzech mężczyzn. Jeden z nich zamknął wpierw starannie okno za mną a dopiero potem podkręcił lekutko knot lampy stojącej na skrzyni w kącie.

– Siadej, pogadamy – odezwał się trochę dudniącym głosem najwyższy z nich, Przez sekundę wydało mi się nawet, że znam tę głos, ale zaraz przypomniałem sobie, że nie przyszedłem tu po to, żeby ich sprawdzać, tylko żeby oni sprawdzili mnie. I dałem spokój innym sprawom. A szkoda, bo gdy tylko zaczęli mnie przepytować o to i owo, zorientowałem się, że wiedzą o mnie tylko to, co mogli się dowiedzieć o mnie po moim wyzdrowieniu i to chyba od Oli, bo od kogóż więcej. I do dzisiejszego dnia nie mogę pojąć dlaczego sam, dobrowolnie nie powiedziałem im reszty, o Hińcy, o tym co mnie najbardziej gryzło, że zostawiłem matkę samiuteńką jak palec, na łup tego wszystkiego co miało spaść na nią – że nie wygadałem się, nie

wyżaliłem jak zwykły człowiek, a nie jak dziwak, który ciuła swoje nieszczęście jak największy skarb, do którego tylko jemu samemu wolno zaglądać. Dlaczego nawet nie wspomniałem o udziale w szkopskiej nagonce, i o tym, co z niej wynikło. Dlaczego, jakbym nie miał rozumu, nie otworzyłem gęby na temat Jakuba Bukła, który zaszczerpił we mnie pierwszy jad niepokoju. Dlaczego właśnie wtedy, kiedy przyszła jedyna okazja wygadania się przed tymi, z którymi chciałem... do których dobrowolnie przyszedłem szukać pomocy – dlaczego z tej okazji nie skorzystałem i zaciąłem się w sobie i zamilkłem jak zatrzaśnięta skrzynia.

I tak: ja milczałem, oni o to nie pytali i okazja przepadła. A kto wie, może byłbym dziś wolny od tego przeklętego brzemienia, które wlokę za sobą od tamtych dni i w którego dźwiganiu nikt mnie zastąpić nie może. Ani Józek z Hanką, ani doktor Miłko i Ola, bo tylko oni wiedzieli o tym, z czym się borykam do dzisiaj.

Aha! I jeszcze Jakub Bukiel. On chyba najbardziej.

Ale właśnie z nim nie udało mi się dotychczas spotkać w cztery oczy. Wiem tylko tyle o jego paskudnych podejrzeniach, ile mi przekazała Ola. Jej udało się go przegnać wtedy, w maju, gdy do nas zaszedł na Kalinkę.

Ale ja – ja go nie spotkałem, nie spojrzałem mu w oczy, bo wtedy nie mógłby mi zarzucić, że zdradziłem nie tylko Hińczę, ale i jego samego, Jakuba Bukła, a przede wszystkim matkę. Własną. Rodzoną! Takiego posądzenia nie przebacza się nikomu. Byłbym mu te straszliwe kłamstwa wbił z powrotem do gardła i albo mnie byłby koniec, albo jemu. Ale cóż, w jakiś okropny sposób los znów stanął na mojej drodze – dzień przed przyjściem Bukła do „domku trzech dziewcząt” wybrałem się wreszcie do Mokrowoli, żeby zobaczyć się z Hanką i znowu, jak tyle już razy miałem żałować tego co zrobiłem tej, która już raz uratowała mi życie.

Znowu opuściłem dom i kobietę, której pilnowanie było moim psim obowiązkiem.

Wiem, że Ola dała sobie beze mnie radę z Jakubem.

Wiem, że go przegnała na cztery wiatry tym, że to właśnie on, Jakub, sprowadził na Hińczę nieszczęście sam unosząc zdrową głowę z Hińczy jak Noe z potopu.

Dopiero wtedy wyniósł się z naszego domu. Wyniósł się – jak powiedziała Ola – blady, zaciskając zęby.

I tylko ze mną pozostał. Ciekaw jestem, czy to wspomnienie sprzed lat maści w nim ducha i każe przeklinać pamięć. Może to ten sam niepokój, może tylko taki sam, jak mój. Nie wiem!

Bo wtedy, tamtej nocy w Kurzynie, gdy trzeba było na spotkanie przyjść przez okno od tyłu

chaty, bo przodem zwrócona było do drogi – wtedy po krótkiej rozmowie przystąpiliśmy do zaprzysiężenia. Po to przecież tu przyszedłem. Wszystko inne było i pozostało moją sprawą osobistą. Prywatnym niepokojem obywatela Władysława Sajki.

Tak oto od maja czterdziestego czwartego zacząłem, już nie chciałem liczyć: po raz który, nowy odcinek życia. Dziś nazwałbym go „wojenno-spółdzielezy”.

W tych obu specjalnościach próbowałem się sprawdzać jak wtedy umiałem, oczywiście pod nadzorem mojej Siwookiej. Dzisiaj mogę myśleć o tym spokojnie.

Nie byłem mięczakiem, parę razy cholernie ryzykowałem, ale przecież nie będę się chwalił przed samym sobą. Oczywiście inni ryzykowali znacznie więcej i znacznie częściej, ale nikt nie ma prawa zarzucić mi tchórzostwa. Nie. Niepokój, który w sobie wyhodowałem wywodzi się z innego źródła. I nie Jakub je zatruł. To ja sam. Bo ściąganie przez całe życie bonifikat za nie zawsze zasłużone wojenne zasługi – to tylko jedna struga tego źródła. Ta druga jest okrutniejsza. Sni mi się po nocach i każe zrywać się z krzykiem z tego snu, bo u jej początku majaczy wciąż to najdroższe, najbliższe mi wspomnienie postaci stojącej na progu chaty, w której przyszedłem na świat – postaci z ręką uniesioną nad czołem.

Ileż to lat minęło od tej nocy mego ślubowania w domu pana Zarudzińskiego, nauczyciela w Kurzynie?

Sporo. Chyba... tak, chyba ponad trzydzieści sześć, to dużo, nawet wtedy, gdy wojennych lat nie będę liczył podwójnie. Nalatałem się ja, „Zniczowiee” prawie szeregowy czasu wojny, po kilku „Nadleśnictwach” czyli województwach, od Krakowa przez Kielce ku Sandomierzowi. „Gryfny” byłem jak mnie ocenił w przystępie dobrego humoru nasz bechowski wódz powiatowy „Potok”. – „Gryfny jesteś, jak jasny szlag!” To było dużo powiedziane, bo „Potok” nikogo za byle co nie chwalił. A mnie, zwykłego instruktora nasiennictwa w kurzyńskiej spółdzielni spożywców „Postęp” – pochwalił po tym, gdym się wywinął żandarmom wracając z instrukcjami jako łącznik z Krakowa. Nie wystarczyło wtedy wyskoczyć z pociągu, trzeba było jeszcze wiedzieć, gdzie wyskoczyć. Udało się ocalić instrukcje i siebie samego. Jakoś wychodziło mi to wtedy i to kilka razy. Stąd ta skąpa pochwała. Ale przecież już przedtem rodzony szwagier, Józek, chwalił mnie za spryt. Widać przyzwyczailem się do pochwał. Chyba pod okiem Oli tak wydorosłałem. To właśnie ona nadała mi tę pracę w spółdzielczych młynach w Kurzynie, skąd mogłem mieć oko na ruch wojsk w obie strony wojny – na wschód i zachód, bo magazyny młynów były przy stacji kolejowej. Oczywiście całe moje „Nasiennictwo” było tak samo lipne,

jak „białko” instruktora z gapą i podpisem kreisleilera.

A czym była Ola w tym czasie? Z początkiem nie miałem o niczym pojęcia. Poznałem ją a raczej jako pierwsze spostrzegłem – jej siwoblękitne ślepia wylaniające się ku mnie z samego dna ciemności, gdy tylko dźwignąłem okrutnie umęczone powieki. Tyle się od tamtego dnia zmieniło, a tak właśnie pamiętam ją najpełniej. Potem – cóż, rozmaicie bywało, ale jeszcze teraz, jeszcze w tej domowej wakacyjnej chwili, gdy jej nie ma koło mnie, bo pojechała do Helenki na belferski urlop – a nie mogłem się powstrzymać od drobnego uśmiechu na myśl o tym, że właśnie wtedy, kiedy miała mnie na garnuszku, kiedy każdy jej krok utrudniały obowiązki szpitalne i służbowe powinności w „Zniczu” – wtedy, gdy musiała jeszcze nadliczbowo i mnie pomagać w moich lotnych inspekcjach „nasiennicznych” – umiała się zdobyć na uzupełnianie swoich studiów pedagogicznych, a nawet mnie od czasu do czasu przyśrubować w domu do podręcznika Lewickiego „Historii Polski” i starej fizyki Żłobickiego w czerwonej, tysiąckrotnie zmiętszonej okładce. Nie wiem jak ona to robiła i kiedy. Jedno jest pewne – sama dojrzała do swojej dzisiejszej docentury. Na szczęście mnie pozwoliła zatrzymać się na magistrze i kierownictwie szkoły zbiorczej. Co prawda – mogło być lepiej, bo jestem pewny, że to moje magisterium jej by nie wystarczyło. Niepohamowana niewiasta. Aba – nawet taki pseudonim obrała sobie podczas wojny – „Niewiasta”, mnie obdarzając owym, jak się okazało szczęśliwym, „Chińczykiem”. Ale do dzisiaj zawsze najbardziej mnie zdumiewa, że jako pełniąca anonimowo funkcje ówczesnej „Niewiasty” – zdołała dotrzeć do wojennego już stanowiska powiatowej komendantki „Zielonego Krzyża”. A uśmiecham się, może nawet podświadomie dlatego, że przy pełnieniu tej funkcji zagarnęła pod swoją komendę samego doktora Miłko, dotychczasowego jej zwierzchnika. Niestety – mój wspaniały wybawca i uzdrowiciel przepadł gdzieś w pomroce dziejów i do dzisiejszego dnia nie udało mi się go odnaleźć. Podobno wyjechał za granicę.

– Może i z Bukiem tak się stało – dumam, przekręcając się całym ciałem ku oknu mego pokoju, za którym na pięknie przystrzyżonym gazonie wkręcają się w lipcowe niebo ciemnozielone śruby topól. Przez chwilę wlepiani w nie zamyślane oczy, aż wreszcie zachodzą mi łzami i zmuszają do odwrotu za biurko.

... Z Bukiem. Z Jakubem Bukiem – mrużę sam do siebie. – „Przepadł we świecie” – jak mawia mój szwagier w Hińczy i wzrusza ramionami kiedy o tym wspominam – owczarz cholerny – wykrzykuję na cały głos, ale że bardzo lubię Rygla, wstydzę się tych pomrukiwań i milknę, żeby już nie słyszeć siebie samego.

Ale czy to się da? Niby to ten piekielny Jakub się stracił, ale przecież choć raz znalazł się ktoś, tuż przed Wyzwoleniem, kto spotkał w Sandomierskiem człowieka podobnego do mojego wroga, zresztą diabli wiedzą czy wroga. Jak mi ten Sandomierzanin mówił – tamten był też krępy, barczysty i najważniejsze, bez trzech palców u lewej dłoni. Szukał kontaktu na „Las”. Pseudonim podał „Zawiślak”. Tyle, że był bez brody. Ale przecież Ola już w Kalince widziała go bez zarostu.

– Co mi się dzisiaj tak zebrało na wspomnienie – przelatuje mi przez myśl. – To pewnie dlatego, że tak bardzo brak mi w tej chwili Oleńki. Brak mi jej przede wszystkim fizycznie, jej mądrego spokoju, ruchu jej głowy, sposobu w jaki patrzy na mnie, zwłaszcza wtedy, kiedy wiem, że mnie lubi. Tak, tak, po tylu latach wiem o tym dokładnie, choć oczywiście bywa inaczej.

Pewnie dlatego tak ją chwalebę przed samym sobą. Dlaczego?

Zaraz, zaraz – znowu przymykam na chwilę powieki, bo wolę o tym pomyśleć spokojnie, bez akompaniamentu słońca za oknami. – Kiedy to byliśmy z Oleńką w Hińczy, u Józków? Pewnie na Wielkanoc, a przedtem? Przedtem, tak, na Wszystkich Świętych. Ale to chyba podczas Wielkanocy przemówiliśmy się z Olą ostro. Największy żal miałem do niej o to, że zaatakowała mnie za, jak to nazwała: „hołubienie w sobie kompleksu winy i kary, czyli kompleksu Bukła”. Ale przede wszystkim zraniła mnie tym, że nigdy nie przyjęła do wiadomości moich najbardziej utajonych, najbardziej wstydliwych skrupułów na temat prawa do honorowania po wojnie mojego nieszczęsnego postrzału w nagonce – jako wojennej, niemal frontowej rany.

„Walczyłeś że szkopami? Walczyłeś” – powtarzała setki razy, rozjątrzona i niemal wroga. – „Narażałeś głowę w łącznikowych rozjazdach w BCh? Narażałeś.

A kto cię postrzelił ciężko w tej piekielnej nagonce?

Szwabski major. Tak czy nie? Byłeś o włos od śmierci.

Ja chyba najlepiej o tym wiem. Mało ci jeszcze? Sam siebie nazwałeś Krzywoustym, prawda? Na szczęście ten grymas po bliźnie zniknął prawie zupełnie. Ale blizna została. A przecież to blizna od niemieckiej kuli!”

– Ale to nie powód, Oleńka, żeby tę bliznę zaliczać do moich wojennych przewag.

– To jest powód, Władek. Nie udawaj, że nie rozumiesz. Przecież nie zgłosiłeś się wtedy do tej nagonki na ochotnika” ani dla pieniędzy, ani dlatego, że cię Józek zmusił. Ale dlatego, że chciałeś i musiałeś zameldować się razem z mamą w Stoszowskiej gajówce.

Zwłaszcza wtedy, kiedy Hińcza stała się trefna. A że się wszystko tak nieszczęśliwie

skończyło – to już chyba nie twoja wina. I wiesz, co myślę jeszcze?

– Że nie powinniśmy już nigdy do tego wracać.

:- Nie – mówi Ola cicho i patrzy mi prosto w oczy – myślę, że nawet ten twój Bukiel to w końcu pojął, bo odczepił się od ciebie. Dzisiaj już chyba możemy powiedzieć, że raz na zawsze.

Wtedy zamilkłem.

Żeby mnie jednak pognębić do końca, moja uparta żona przyzywa jeszcze na pomoc w tej sprawie Hankę i Józka, którzy już dawno zapomnieli, albo jak podejrzewam – udają, że zapomnieli o Jakubie, hińczowskim sąsiedzie. Co prawda, Bukiel nie pokazał się już więcej w Hińczy. Nie pokazała się też jego żona, ani chłopak. Józek z Hanką osiedli na dawnym gruncie matczynym, przykupili nawet niedawno dwa hektary łąki od Łukasza Stymuli, jednego z ocalonych, który poza nimi powrócił w te strony wraz z żoną znaną na wojnie – i zabrali się do hodowli owiec. Ano, Bóg z nimi. Aha – nasze Rygle dzieci więcej nie mają. Ich Wicek już od dawna w Krakowie. Inżynier. Budowlaniec. Rewaloryzuje gród Kraka. Do domu przyjeżdża rzadko. O Hińczy nic nie wie, albo raczej nie chce wiedzieć, a na owcach się nie zna. Poza tym wciąż kawaler.

Zaczyna już łysieć. I jeszcze jedno, pracuje w tym samym zjednoczeniu, co nasz Jasiek, tyle, że jak dotąd nie zdołali się pokochać.

Oczywiście nasz spór z Olą wygasł natychmiast, gdyśmy tylko wrócili z Hińczy do domu. Nie mogło być inaczej. Mam zresztą na nią, na jej gniewy, znakomite sposoby, które nigdy nie zawodzą. Skutkowały przed laty, skutkują i teraz, jak bywa wtedy, gdy miłość nie trwa tylko przez jedną noc. Już dawno zauważyłem, że Oleńka odznacza się niebywałym poczuciem humoru.

Dlatego jakże często w sporach z nią naciskam ten klawisz, zawsze z dobrym skutkiem. Z kolei ja nie jestem i chyba nigdy nie byłem wzorcowym mężem. Aż dziw, że tak nam jakoś zbiegły te wspólne dziesiątki lat. Wykładnikiem mojej nie bardzo godnej taktyki małżeńskiej może być stały unik, jaki stosuję do dzisiaj w ważniejszych nieporozumieniach. Wystarczy w szczytowym momencie sporu oświadczyć spokojnie: „Kochana, jestem pewny, że ja mam słuszość, ale wiem, że starszym należy ustępować”. – I ustępuję, ku oburzeniu mojej najmilszej. Ale zawsze ona pierwsza wybucha śmiechem, gdy się tylko połapie w jaki sposób udało mi się znowu, jak to się dzisiaj mówi: „wyprowadzić ją w maliny”.

A poza tym moja żona bardzo lubi przebaczać. To przecież także stały atrybut dobrych żon.

Czy od takich żon chciałoby się odpocząć? Chyba nie – dumam, jakbym stracił pomysłu, bo przecież Oleńki nie ma w domu dopiero od wczoraj, a mnie już jej brak i kompleksy zaczynają mnie nękać jak zastarzały reumatyzm. A wszystko dlatego, że od paru godzin nie ma przy mnie mojej włodawskiej pielęgniarki, „siostry miłodzierdzia”. Trudno – ktoś musi za mnie od czasu do czasu ponosić odpowiedzialność. W końcu przecież nie ja byłem „komendantką powiatową Zielonego Krzyża czasu wojny”.

– Oleńka! – przymykam oczy, żeby na chwilę wymknąć się zielonej pogodzie za oknem – Taka jedna... moja żona przecież. Każdemu mógłbym życzyć takiej – powtarzam na głos. Teraz mogę sobie na to pozwolić, bo wiem, że gdyby mnie w tej chwili usłyszała, na pewno wybuchnęłaby śmiechem. I to nie dlatego, że taki komplement od rodzzonego męża nie przypadłby jej do gustu. Skądże. Po prostu, jak każda kobieta, nie chciałaby zapeszyć szczęścia, albo tego, co jej się właśnie szczęściem wydało. Bo Ola jest przesądna, jak każdy doktor filozofii z prawdziwego zdarzenia.

Ola! Moja postrzelona ukochana. Aleśmy się dobrali, bo przecież ja też jestem postrzelony. Choć oficjalnie pobraliśmy się dopiero w czterdziestym ósmym. Ktoś przecież w tym stadle musiał dać dobry przykład. Dałem go ja, bo wtedy już od dwóch lat byłem pełnoletnim, tak jak ona – od pięciu. – Więc tak – pomagam sobie na palcach – ślub wzięliśmy na pewno w czterdziestym ósmym. Osiemnastego kwietnia. Czarną marynarkę pożyczyłem od Jaśka Grześniaka, kolegi z zaocznych kursów pedagogicznych. Ciekawe, to pamiętam, kwiecień pamiętam, a samego wesela – nie. Jakby ktoś gąbką przejechał po pamięci. Roztrzepanie? Skleroza? Przecież jacyś goście byli poza Grześniakiem. On sam był u nas nawet jako kum na chrzcinach Jaśka.

Na pewno był też wuj Marciniak, więc co? Osiemnasty!

To na pewno ważna data w moim życiu. Ale przecież człowiek nie składa się z dat. Najbardziej chyba kształtuje go codzienność, która upływa właśnie między jedną ważną datą a drugą.

Do czasu urodzenia się Helenki a potem Jaśka – wychowywała i kształtowała mnie Ola (oczywiście z wyjątkiem tych moich fanaberii, których nie zdołała przewidzieć). Zatem – Oleńka. I wcale się tego nie wstydzę. Dopiero gdy dzieci zajęły się wychowywaniem Oli – przeszedłem na własny garnuszek intelektualny.

Nie chodzi o magisterium, które wydłubałem późno i dosyć zmusznie, ani o stanowisko, jaMe tam ono jest – ale o to, że od jakiegoś czasu spostrzegłem, że zaczynam absolutnie powiedzieć „jednostkowo-osobiście” odpowiadać sam za siebie. Taka jak gdyby spóźniona zazdrość o to wszystko, co na mnie oddziaływało w tamtych trudnych latach, co mnie kształtowało na ówczesnego spryciarza-małowata no, może trochę pechowatego spryciarza, któremu wojna nie szczydziła kopniaków. Może właśnie dzięki tym bezustannym kopniakom i szturchańcom stałem się taki podatny na wszelkie wpływy. I stąd to dzisiejsze, trochę zdumiewające doznanie zazdrości skierowane przede wszystkim do mojej najlepszej nauczycielki. Tak właśnie to dzisiaj odczuwam i wiem, że tego też nie potrafię się wstydić. Jak widać przez tych kilkadziesiąt lat dorobiłem się chyba jednego, ale za to na pewno: świadomości, żeostałem się w końcu z wszystkimi swoimi wadami i zaletami wyhodowanymi przez Ołę – jak dziwny gruboskórny wrażliwiec, piorunochron zawsze otwarty na wszelakie gromy dokoła. A burze wciąż biją, nieraz w środku nas samych, tyle, że mam już teraz tę krzepiącą pewność, że odpowiadam całym sobą za wszystko, co postanowię i uczynię.

To z pewnością nie jest żaden kompleks w stosunku do Oleńki. Po prostu wydorostałem. A ona, moja zawsze najdroższa i pierwsza w świecie, ona nie zawsze musi uczestniczyć w moich osobistych rozliczeniach z tymi wszystkimi niepokojami, jakich się dorobiłem jako Władysław Krzywousty (na szczęście ten przydomek nie przylgnął do mnie na zawsze) i jakie przydzwigałem aż tu, na próg naszego spokojnego domu.

Ola odpływa codziennie do portów wzniesionych już przez nasze dzieci, do swoich studiów i zainteresowań.

Ja tkwię w rodzinie tam, gdzie trzeba, raz w środku, raz z boku, a czasem u stropu, skąd widok najlepszy.

Ale dla tego cholemeo niepokoju wywalczyłem sobie prawo wyłączności. Po wielu niedogadaniach Ola to zrozumiała. Ustąpili nawet Hanka z Józkiem, rolnikiem przecież zasłużonym, choć borykającym się wciąż ze swoimi owcami. Dla nich to już tylko sprawa wzruszenia ramionami.

Dzieci już też na swoim. Więc co? Samemu nie można się pomartwić czy jak?

Tak więc na te sprawy mam raz na zawsze przepustkę w rodzinie, jak w woju za wzorowe wywiązywanie się z obowiązków na poligonie. W ten sposób zostałem ostatecznie sam na sam z tym Jakubem Bukiem. Chyba dokładnie tak samo jak on, Jakub, został na resztę życia sam,

tylko ze mną.

I tak już pewnie będzie z nami zawsze. Ja będę dla niego tym, kim on dla mnie. Bo chyba obaj już się nigdy nie dowiemy, kto z nas bardziej winien temu, co się wtedy stało w Hińczy w lutym czterdziestego czwartego. A mnie się przed chwilą wydawało, że człowiek nie składa się z dat! Więc kto z nas bardziej winien, ja czy on? W tej chwili wiem tylko jedno: jeżeli on żyje, to myśli czy czuje tak samo jak ja. Musi tak samo myśleć i czuć, nie może inaczej. W nienawiści obowiązują też pewne reguły, bo, jak to powiedział kiedyś Elia Kazan w swoim filmie: „Goście” – „Nie zmienia się reguł podczas gry”. A nas obu z Jakubem ta gra związała za zawsze. I te dwa nasze niepokoje: mój i jego. Choć zdawać by się mogło, że to tylko jeden, nasz wspólny niepokój. Nie wiem. Nie wiem!

Martwa naturą z indykiem

– Kogo moje oczy widzą, Kryś? – piegowaty chłopak szczyrzy zęby do Waleta, ale ten nie objawia zbytnej radości. Patrzy na piegowatego spod zmrużonych powiek i dopiero po chwili wyciąga rękę.

– Ceś, Rypa. Jak leci? Pełnyś?

– Z czego? – krzywi się Rypa. Jeszcze nie strawił urazy. – Ani roboty, ani ochoty. A najmniej szmalu.

– Ja też nie na farcie – rzuca przez ramię Walet i wyciąga szyję jakby kogoś wypatrywał – Mela widziałeś?

– Mela zobaczymy dopiero na Wielkanoc.

– Stargował co? – Walet uparcie wodzi wzrokiem po zatłoczonym zaułku. Na moment przechyla się przez; ladę Grubego, który handluje lemoniadą. Oczywiście procentową.

– Pół miecha zafasował – informuje Gruby zza lady – Szukasz kogoś?

– Cc? Ja? Nie, tak sobie – płoszy się Walet – Dawno tu nie byłem, sam wiesz.

– Wiem. A paniusia co? – Gruby niby zaczepia klientkę smyrgającą oczami po flaszkach z sokami na straganie, ale Walet już się nastroszył i milczy i milczy.

– No i co z tobą, Walet?

– Jak wiesz, to po co pytasz?

– Wypirzyli cię z magazynu? No, *jio* tak patrzysz?

Nie pachnie państwowy szmal ze spółdzielni?

– Moja sprawa.

– Zostaw go, Gruby – wtrąca się Rypa – słyszysz, że ma swoje sprawy.

– A co? Nie wolno? – Walet odwraca się powoli i patrzy spokojnie w oczy tamtego. A Rypa bardzo nie lubi jak ktoś na niego tak patrzy. Macha ręką na odchodnym i znika za jakąś budą. Krystian spluwa przez zęby i zaczyna szperać po kieszeniach wiatrówki. Wreszcie wyciąga wymiętego sporta i przygląda mu się w zadumie. Za jego plecami Gruby międli przez chwilę wargami i raz po raz zerka na chłopaka. A kiedy nic z tego zerkania nie wychodzi, otrząsa się nagle, jak gdyby mu grudka lodu wpadła za kołnierz. Już wyczarował nie wiadomo jak spod lady dwie musztardowy do połowy pełne. Jedną z nich podsuwa w stronę Krysa.

– Rzuć te fajki, Walet. Chluśniem chyba pod ten hajc.

– Co? – Walet odwraca się na pięcie.

– Nie słyszysz? – mruczy Gruby i podnosi szklankę w stronę chłopaka – Wypili! – Dorzuca z przycmokiem i wrzuca wódkę do gardła, jakby chciał ją jak najprędzej poczuć w żołądźcie. Ale Krys jeszcze nie gotów do wódki. Upał nie upał, fason obowiązuje.

Z przyzwyczajenia rzuca okiem w prawo i w lewo, czy go kto nie widzi i dopiero wtedy ujmuje szklankę.

– Za co? – pyta niewyraźnie z zębami przy szklance, ale oczy już mu się mrużą do tego chlustu.

– Za moje. Firma stawia – krzywi się Gruby. Widać, że nie lubi pić sam.

– Ale za co mam pić? Nie pytam czyje konto, tylko na jaką okazję?

– Gibam okazję. Za twój pieprzony magazyn. No?

– Za mój pieprzony... – powtarza rozpozgodzony Walet, jakby wreszcie zrozumiał o co chodzi. Łyka wódkę gładko i strzepuje pozostałe krople na bruk. – Coście dziś taki hojny, Gruby? – znów zaczyna przeszukiwać kieszenie wiatrówki.

– Może chciałem chlapanąć z kimś gołdy. Może właśnie z tobą.

– Dlatego czekałeś aż Rypa spłynie?

– Dlatego – mówi twardo Gruby. – A ty do niego nie pasuj. Nie życzy ci.

– Gnojek. – Walet znowu spluwa przez zęby.

– Gnojek – kiwa głową Gruby i podsuwa Waletowi paczkę sportów. Chłopak pstrykiem wypędza papierosa z paczki i odpala od fundatora – Ale gnojek, który ci nie życzy.

– A ja wała na takiego – wzrusza ramionami Kryś.

– Co za nagła krew. Nigdy z nim nic nie miałem. Może ty wiesz... – urywa nagle, bo w tej samej sekundzie płaska jak naleśnik gęba Rypy zakwita wszystkimi piegami nad ladą Grubego.

– Co jest? – dziwi się obleśne przybysz – przestraszyłem kogoś? – mruga białymi rzęsami i przygląda się bezczelnie Grubemu.

– Ale mam boja! – szczyrzy zęby Gruby, ale zaraz kasuje uśmiech, bo Rypa wodzi palcem po wilgotnych krążkach, jakie pozostawiły na ladzie skrzętnie ukryte musztardówki. Teraz on się uśmiecha. Bardzo paskudnie to robi. Tym razem jawnie dotyka znów paluchem wilgotnych śladów i podnosi go do nosa. I zaraz zaczyna kiwać głową, ze zrozumieniem, jakby z góry wiedział, że tak będzie. Nad jego ramieniem Walet strzela okiem do Grubego, a tamten tylko

rusza leciuteńko głową w górę i w dół, że tak, że wiadomo. Obaj z Waletem myślą to samo: „Francowaty szpicel. Wszystko musi wyniuchać!”.

Ale piegaty nie zauważa niczego. A jak by zauważył to i tak nie byłby inny. Tacy już się y?idać rodzą. Natomiast w tej chwili nachyla się głęboko nad ladą i wzdycha. Ma minę jakby wachał fiołki.

– Gołda! – szepce przymykając oczy. – Gołda, gołda, mać radnaja – intonuje załamany tenorkiem – sie chlapnęło, co? No nic, spóźniłem się, ale musiałem wrócić, bom sobie coś przypomniał. Kto ma fajki? Nic nie chce lecieć bez fajek, towarzysze.

– Każdy swoje – mruczy Gruby i wściekłym ruchem ściera ślady po szklankach. Rypa widzi, że Kryś już sięga do kieszeni wiatrówki, ale dostrzega też, że Waletowi zaraz ręka opada, gdy Gruby znowu zaczyna kręcić głową. Toteż widać zaraz, że te choleme piegi podbiegają mu krwią, a oczy ciemnieją z wściekłości.

Przygryza wargi i odwraca się od straganu Grubego.

Wygląda na to, że uważnie obserwuje wydłużające się cienie na placu. Ale kto by go nie znał...

No i właśnie. Zaraz prostuje się i robi do Krysa taką minę jakby przed chwilą pożyczył sobie od kogoś usta.

Z cudzym uśmiechem. Taki właśnie jest, ten piegas.

– Mam do ciebie romans, Kryś, ale tylko do ciebie, poniał? – rzuca na Grubego spojrzenie pełne nienawiści.

– Do mnie? – dziwi się Walet i rozdeptuje z uwagą niedopałek sporta. – No to zasuważ.

– Mówię, tylko do ciebie – powtarza Rypa przez zęby – Dlatego wróciłem. Ale tu może byle kto usłyszeć – znowu ten błysk oczu ku Grubemu, jakby nożem rzucił – skoczysz tu, pod kasztana, pasuje? – kładzie rękę na ramieniu Waleta, ale zaraz ją cofa widząc minę chłopaka. – No, jak chcesz, bo się rozmyślę. Idziesz?

Kryś patrzy na niego przez chwilę i dostrzega w piegowatym wzroku jakąś nieznaną sobie iskierkę. – Co za cholera? Za plecami. Rypy pusto. Gruby już spłynął do sąsiedniego straganu i coś tam rozrabia, bo widać tylko jego potężny zad wypięty w stronę placu. -

Nie ma na co czekać. – Walet odwraca się z niechęcią i rusza za Rypą podbijając w zamyśleniu od nogi do nogi jakieś nadgniłe jabłko. Za nim wlecze się po kocich łbach bruku jego coraz dłuższy cień. Widać słońce odstawiło już na dziś kontyngent upału i przymierza się do

wieczoru – myśli się leniwie Waletowi. – Co w tej chwili robi Jola? – przypomina mu się jeszcze, ale już wchodzi w cień kasztana. W cieniu, oparty o drzewo czeka Rypa. – Czego ten chce ode mnie? – Walet dla odzyskania dystansu odwraca na moment głowę w stronę skąd przybył, ale tam jest tak, jak właśnie ma być o tej porze. – Koniec handlu – chłopak przerzuca wzrok nad dachy kamienic i kiwa głową.

Zaraz zaczną zbierać manele, pora do chaty. Już i mentownia zaczyna się kręcić. Zwijać majdany? Kiedy zaczną fastrygować mandaty spóźnionym – nazywa się: przepadło – przelatuje mu przez myśl.

I rzeczywiście. Gruby jakby tylko czekał na to Waletowe pomyślenie, powraca do swego straganu i przekłada z niego na stojącą obok dwukólkę cały swój majdan: kolorowe flaszki, jakieś syfony i bańki. – Może by mu pomóc? Ale jak tu... nie da rady. Po coś przyszedłem pod ten kasztan, czegoś chyba chce ode mnie Rypa, chociaż gnojek, i chociaż mi nie życzy, jak nawija Gruby. Jakiej cholery może chcieć ode mnie?

– Szuka cię ktoś – słyszy przed sobą głos piegatego – unosi głowę, ale Rypa nie patrzy na niego. Tym razem właśnie on rozgląda się po placu. Jakby kogoś wypatrywał w rzędniejącym tłumie.

– Kto?

– Cyga.

– Ten zgred? – chmurzy się Kryś. – Co on ma do mnie?

– Nie wiem czy do ciebie – cedzi przez zęby Rypa i z uwagą obklepuje pień kasztana, jakby od tego poklepywania miało zależeć co dalej powie. – Pytał - urywa i znów sięga ręką do pnia.

– No? – niecierpliwi się Walet. – Zostaw ten pieprzony kasztan.

– Słuchaj, co to za cizia, z którą... którą rwiesz?

– Kto? Jola? – baranieje na moment chłopak i zaraz żałuje tego, co powiedział – co ma do tego Cyga?

– Nie wiem czy co ma, ale pytał, czym ciebie widział. I czy ona, ta... Jola była z tobą.

– Pytał o Jolę?

– Nie. O ciebie. Wczoraj my się trafili tutaj. Właśnie pod kasztanem. No i on zaraz do mnie. Czym ciebie widział. I czy byłeś z tą blond cizią. Widać nie wie czy ona Jola. Grubego też pytał. Możesz sprawdzić.

A co, Gruby nic ci nie mówił? – dodaje nagle cicho, jakimś wrednym szeptem, jakby

informował kasztan, że wie, jakie psy go obsikują. Mruga tymi wypłowiałymi rzęsami i wygląda jakby zaraz miał ochotę spłynąć. Jak przedtem na placu. Ale Kryś przytrzymuje go mocnym chwytem.

– Nawijał co jeszcze?

– Nie: Puść. Coś się mnie czepił. Czepiaj się Cygi, jakżeś taki kozak. Ale do niego nie będziesz podskakiwał, prawda? Za krótkiś do niego. Jemu powiedz do oczu, że zgred, tak jakżeś mnie powiedział. No? Co tak patrzysz? Powiesz? A widzisz – Rypa wrywa ramię z ręki Waleta i już jest za pniem – a wiesz dlaczego?

– dodaje mściwie – Bo Cyga ma chatę i takie cizie jak twoja zalicza na pęczki. Bo Cyga choć zgred, ładowany i szmalu ma całą szafę. I ikry ma trochę więcej od ciebie, łachudro. No co, będziesz bił? Co? No, czemu nie bijesz? – rozdeptana gęba Rypy rozjaśnia się nagle, jakby słońce z całego placu na nią padło. Już się uśmiecha, nie, śmieje się na cały pysk, aż Walet mimo woli zatrzymuje się w pół kroku. Piegas gapi się na niego aż mu ślepia łzami zachodzą, ale czy na niego? Nie, to na kogoś za jego plecami. Kryś okręca się na pięcie: jest właśnie tak, jak myślał. To Cyga.

– Siemasz! – nadchodzący facet podchodzi kołyszącym się krokiem aż rozpięte kremowe wdzianko furga mu koło bioder. Pasowane džinsy, regulaminowo wypłowiałe na kolanach, opinają mu tłusty zad i brzuch wylewający się z czerwonego paska. Z tyłu, za łysiną mierzwią mu się jakieś dziwne w kolorze, chyba trochę podfarbowane włosy i opadają strąkami na kołnierz kremowego wdzianka. Nie wygląda to najfajniej, ale to nie Waleta interes, bo twarz Cygi aż pęka od uśmiechu i widać, że to właśnie na konto spotkania z Krysem. Po prostu: samo szczęście. Od ucha do ucha.

Kryś nie odwzajemnia uśmiechu. Mruczy coś w odpowiedzi i wychodzi spod kasztana jakby miał zamiar odejść. Ale przybysz już jest przy nim, już chwytą go pod rękę.

– Mówiłeś mu? – rzuca przez ramię do piegusa.

– Jasne, panie Cyga – podkłada się Rypa, aż mu te piegi trzęsą się z uwielbienia. – Dwa razy mu klarowałem. I tego... i właśnie mieli my z Krysem gadkę o panu.

– O mnie? – dziwi się tamten – To prawda, Kryś?

– odwraca się do chłopaka.

– Ee, jaka tam gadka – Walet odsuwa się od tłusciucha, ale Cyga natychmiast przytrzymuje jego ramię – mówił, że chcieliście coś ode mnie... że chciał pan coś ode mnie – poprawia się

szybko – „jakby nie było, ten grubas mógłby być moim starym. A to ci heca, tego by tylko brakowało” – przelatuje mu przez myśl – „ale chyba tak. Ze trzydzieści lat starszy ode mnie.

O trzy dychy, kurcze!” – Walet aż się potyka na równej drodze, tak mu ten nagły szacunek bokiem wychodzi. Cyga patrzy na niego zdziwiony, na szczęście Rypa podbiega w sam czas.

– Dałby pan szluga, czy jak – obskakuje grubasa.

– Z jakiej okazji? – odzywa się tłuszczoch takim tonem, jakby drapał się w głowę – szluga! – ho, ho – powtarza, przyglądając się Rypie swoimi podpuchniętymi ślepiami, toteż piegaty kuli się jakby się nagle poczuł o głowę za wysoki. A kiedy chowa ręce w kieszeniach i zaczyna wiercić chudym kuprem – trudno na niego patrzeć. Pewnie zaraz zacznie merdać ogonem.

Dopiero widząc miny tamtych prostuje się z trudem i chrypi.

– Fartu ni mam cały dzień. To raz, panie Cyga. Po drugie pan ma carmeny albo malboro...

– Skąd wiesz? – uśmiecha się wreszcie Cyga i sięga do kieszeni, a to najważniejsze.

– Wiem, bo pan niżej nie grywa – szczyrzy zęby Rypa – A po trzecie, chciał pan mieć Waleta? Chciał pan. Jest Walet? Jest.

– I co z tego. Sam go znalazłem, a nie ty mi go nadałeś – ucina twardo Cyga i wyciąga z kieszeni czerwoną paczuszkę – Trzymaj! – podrzuca papierosa, jednego tylko, tak, że Rypa nie może go złapać – malboro! Warto się schylić. Kości w brzuchu nie złamiesz. – No widzisz – kiwa głową z zadowoleniem, przyglądając się jakim szczupakiem piegulec ląduje przy krawężniku. – I spływaj! A my – zwraca się do Waleta – idziemy, co?

– A co takiego?

– Nic takiego – wzrusza ramionami grubas. – Słyszałem, że ci w tym magazynie nie wyszło. No i chciałem pogadać, bo może bym coś... może by się dało coś dla ciebie skombinować.

– Pan? Dla mnie? – Walet otwiera szeroko oczy.

– Tak. Ja. Dla ciebie – Cyga przygląda się uważniej chłopcu przez zmrużone powieki. – Co cię tak dziwi?

– Tak za nic, czy za moje śliczne oczy? Za bezdumo?

– Już ty się o mnie nie martw. Nie zbiednieję.

– A... a co to ma być?

– Jeszcze nie wiem – marszczy się tłuszczoch – Zobaczymy. Może robota.

– Robota? – wzrusza ramionami chłopak. – Jeżeli jeszcze raz mam trafić taki fajrant, jaki miałem, to przepraszam – ale to beze mnie, panie Cyga. Od tygodnia bardzo nie kocham

magazynierów...

– Kto mówi o magazynie? – oburza się przybysz – ale co mamy tak rozmawiać o suchym pysku. Przeplukamy gardła na „Po Schodkach” – co? Nie pasuje?

To tu zaraz, za rogiem.

– Przecież wiem.

– No to nie ma sprawy. I tak upał jak jasny gwint.

– Jeszcze tylko... – chłopak zatrzymuje się na moment.

– Co jest?

– Czy to ten romans, jaki pan miał do mnie?

– Jaki romans? Co ty pieprzysz? Chciałem z tobą... mam coś dla ciebie. Chcesz, dobrze. Nie chcesz, nie będę się gryzł. Najwyżej piwa nie postawię. No, jak ma być? Leciem?

Kryś patrzy przez sekundę w zmrużone oczy Cygi.

Potem odwraca się i rusza trochę ciężkim krokiem w stronę najbliższej przecznicy. Za nim, z ręką na jego ramieniu sunie Cyga. Na opustoszałym placu pozostaje kasztan i Rypa. Piegowaty zapatrzył się na odchodzących jak jego rodzicielka na sitko. Zapomniał nawet o trofejnym szługu. A kasztanowi i tak jest wszystko jedno...

... No tak – Cyga trąca w łokieć Waleta kiwającego się nad stołem – to by było na tyle. A ty nie uderzaj w kimono w lokalu, bo ludzie patrzą, hej, stary, do ciebie mowa – trąca chłopaka ponownie – nie śpij!

– Kto śpi? Ja?

– Nie. Książę. Kantu – krzywi się Cyga, ale zaraz Matuje – nie Kocham kiedy cała knajpa gapi się na człowieka.

– Ważna knajpa – mruczy Walet pod nosem, ale się prostuje – trzy pijaczki na krzyż i do tego „Po Schodkach”.

– Co?

– Nic. Nie spałem – łże Walet jak najęty, bo istotnie przyspał krzyne po szybkich wódkach fundatora – wszystko słyszałem, tylko ten cholerny upał...

– To fajnie – godzi się grubas nadspodziewanie szybko – Znaczy, jak mówią sojusznicy: „dogawarilis!”. W przyszłym tygodniu ruszamy, Dam ci znać co i jak. Wtorek, góra środa.

– Jest! Góra środa – potwierdza poważnie Walet i odwraca się wraz z krzesłem do tamtego przyglądając mu się pilnie trochę już maślanymi oczami. Widać obciążeni już nie tylko jedno

piwo, ale i z pół basa czegoś twardszego, a może i więcej, bo i stawiającemu kiwiają się trochę słowa. – A gdzie się spotkamy? Tutaj?

– Spotkamy? – dziwi się tłusciuch i wyciera piękną chustką pot z łysiny – Ja... Ja... jak to... tutaj? „Po Schodkach”. Nie. Mowy nie... tego... mowy nie ma.

Przyjdiesz do mnie, do chawiry. Wiesz gdzie. Aha, nie byłeś jeszcze u mnie. Kościuszki trzydzieści sześć.

Mieszkanie cztery. W oficynach. Za... zapamiętasz, co?

Cholera, patrz już wieczór, a taki hajc. No nic. Czego tak patrzysz? Dziwisz się, że cie ustawiam na git robocie. A ja ci tylko po... powiem: nie... nie tego... *fie* znasz jeszcze pana Cygi, Walet. Jak coś dokładam to już... i:, idę na zaparte. Mur, żelazobeton. Wspomnisz moje słowo, Walet. No, co jeszcze.

– To znaczy, kiedy mam przyjść na Kościuszki? – odzywa się chłopak zupełnie trzeźwym głosem.

– Przecież mówię. W środę. A co? Nie pasuje? Robota na medal. Pół nocki raptem. I koniec. I szmal leci.

– A ile tej cegły?

– Do cholery i trochę. Dla nas starczy. A ty się nie Jam. Cegielnia nie... No... Nie zbiednieje, a ludzie się... tego... budują. I robota nie trefna. No... Może ciut.

Z parkanu na chodnik, z chodnika na ciężarówkę.

I cześć pieśni. Pociśniecie trochę, parę godzin... i sam nie będziesz wiedział kiedy nocka minie.

–: A ile razy ciężarówka obróci, panie Cyga?

– Wiesz, wiesz... co ci powiem, Walet? Za dużo byś chciał wiedzieć jak na taką robotę. Jeszcze się mnie schylił, a już grabuła po moniaki. Tak? Co ci ciężarówka... tego... Obróci ile trzeba. Twój interes żeby obróciła jak najwięcej, bo od tego szmal ci leci, a nie od główkowania. Czym prędzej za każ... za każdym razem załadujecie, tym prędzej leci forsa. Kojarzysz?

– Niby tak – mruczy chłopak niewyraźnie – Tylko że... że cegły to trochę posrani interes, bo...

– Jak dla kogo, stary. Jak dla kogo – przerywa mu Cyga i znów sięga po swoją wspaniałą chusteczkę, bo mu już pyzata twarz krwią podbiega – Wystarczy – syczy – żebyś gwi-gwizdnął, a dziesięciu takich cwaniaczków jak ty przyleci mi do ręki.

– Niech się pan nie gniewa, ale ja... no, trochę się już pokręciłem przy budowlance, to wiem jak jest.

Zna pan te gadkę: „Jedna cegła waży kilo i pół cegły”.

Wystarczy to sobie przeliczyć najpierw w główce a potem w rękach a jeszcze potem przez parę tysięcy, to człowiek ze śmichu się nie pozbiera.

– Liczyłeś to kiedy sam? – pyta prędko Cyga i patrzy pilnie na chłopaka. Widać, że już go tak bardzo nie lubi jak przed chwilą.

– A liczyłem – odpowiada Walet spokojnie – to wiem jak jest. A tu z ziemi przez parkan na ziemię i znowu na ciężarówkę. Ciężko będzie...

– Trudno. Transporter dla ciebie nie ustawimy.

– Przecież ja nie o to... – zaczyna miękko chłopak – wiem, że trudno, ale akurat tak... tak mi się składa, że o forszę jeszcze trudniej. Dlatego nie stulam, tylko mówię prawdę. Ale nie o to...

– A o co do cholery. O co? – podskakuje na krześle grubas – Masz zdrowe graby? Masz. No to teraz ci się przydadzą. W sam raz. Chyba, że nie chcesz?

– Przecież gadam jak jest – teraz Walet chce się poderwać, ale ciężka dłoń Cygi przytrzymuje go w miejscu.

– Siedź na dupie i nie odstawiaj cyrku pijaczkom, bo mnie tu znają – chrypi grubas zduszonym głosem, choć ich kłótnia nie zainteresowała nikogo, ani paru szczawików spiskujących przy bufecie z nosami przylepionymi do salaterki z jadowicie żółtym majonezem – ani dwóch ciężko zaprawionych facetów próbujących po raz nie wiadomo który trafić do drzwi ubikacji. Za każdym razem wracają jednakowo strapieni do swego stolika i znów podrywają się od niego zgodnym ruchem, po to by i tym razem nie trafić tam gdzie trzeba. Cyga przygląda im się bez zainteresowania i zaraz, powraca do Waleta – Więc jak z nami?

– Z nami? A... z nami – Kryś znów zaczyna kręcić się na krześle – to... jak powiedziałem. Muszę mieć te forszę. Tylko...

– Co jeszcze?

– Kto... kto panu mnie nadał? Bo faktycznie już dawno tu nie byłem. Rypa?

– Ten gnojek? – śmieje się tłścioch aż mu ten czerwony pasek podskakuje na brzuchu. – Po fajki do kiosku posyłam lepszych od niego. Mam swoje chody, stary, nic się nie bój. Wszystko wiem o tobie.

– Dobra – upiera się chłopak – ale dlaczego właśnie mnie pan trafił?

– Bo właśnie taki jak ty mi pasuje do tego... do tego cegłowego majdanu.

– Taki jak ja? – Kryś przechyla się przez stół do towarzysza z wyraźną uciechą.

– Taki jak ty – potwierdza trochę niewyraźnie grubas i przełyka z wysiłkiem kawałek sera, którym przegryzali żytko – graby... – ucina i sięga do kielicha, ale chłopak chwyta go za rękę.

– Co?

– Graby to ty masz, cwaniaczku. Odpowiedzialne.

Widziałem.

– Mnie pan widział? Przy robocie?

– W zimie – kiwa głową grubas – na Towarowym.

Zładowywałeś platformę. Z takim drugim. Chudy, długie włosy. Taki więcej artysta.

– To Witek Nawrocki. Całą zimę targaliśmy z nim ten koks. Potem Witek zmył się na wiosnę, cholera wie, gdzie. Kamień w wodę. Żałowałem, bo z nikim mi tak nie szło jak z nim.

– A właśnie. Widziałem. Targaliście jakby wam dupy do pleców przymarzły. No, tożem sobie was zakodował. Ale wpierw ciebie a potem jego. I patrz, dzisiaj jak znalazł.

– Trafiłem się do tych cegieł, co? – szczerzy zęby Kryś – ja już jak się do czego dopasuję to jak garbaty do ściany. Aha, jeszcze jedno – poważnieje. – A do kogo szluszuję w tej ferajnie?

– Co?

– Bo chyba nie będę sam przy tej... przy tej cegielni, co?...

– Mowa! – krzywi się Cyga – Na gorszych od siebie nie trafisz w każdym razie. Spokojna czaszka, Kryś.

U mnie krzywdy mieć nie będziesz. To znaczy... u nas, bo tam... bo to nie tylko ja sam pilnuje tego majdanu. Wiesz, jak to jest, co? – obrzuca towarzysza szybkim spojrzeniem.

– Nie bardzo, ale myślę, że to nie moja sprawa, prawda?

– Dobrze myślisz, Kryś – godzi się skwapliwie grubas – robisz swoje i cześć. A reszta, to już nie twoja głowa. A ja... – milczy chwilę i dodaje niedbałym tonem – żeby tak prawdę powiedzieć, to już obracam tym szajsem parę miesięcy. Błatuję chłopaków na ten przeladunek, ale bywa różnie. Starasz się, żeby wszystko grało, no i gra, ale jak już trafisz blatną czwórkę, to jednemu cizia pryska do Wrocławia. A on za nią.

I właśnie mnie się to przytrafiło.

– Znaczy – Kryś unosi głowę znad stołu – że robota zawsze w czwórkę?

– Może w czwórkę, a może samemu trza będzie targać – Cyga patrzy spode łba na Waleta –

poniał?

– Jak trza będzie – mamroce Rrys i sięga po papierosa tłusciocha.

– No widzisz. O to chodzi, stary. Po pierwsze nie pytać. Z pytania szmalu nie ma.

– A po drugie?

– A po drugie morda w kubeł. Dowiedziałem się, że to też umiesz. I właśnie dlatego o tobie pomyślałem, jak mi się ten Andrzej zmył do Wrocławia.

– Wszystko pan o mnie wie?

– Prawie – wzrusza ramionami Cyga. – Wiem gdzie mieszkasz, wiem że ze staruszką, dlatego wolałem nie zachodzić do chaty. Nie muszą mnie u ciebie widzieć.

– Zgadza się – uśmiecha się półgębkiem Kryś – nie muszą.

– Staruszka pewnie truje?

– Taa – macha ręką Walet – tak po prawdzie, to pociechy ze mnie dużej nie ma. To jak nie ma truć.

– Nie wiem. Nigdy nie byłem staruszką – wybucha śmiechem Cyga, ale zaraz milknie, bo Walet przygląda mu się jakoś dziwnie.

– To się pan pewnie dowiedział, że i stary mi się gdzieś odmeldował. Poszedł w Polskę trzy lata temu nazad. I nie wrócił. A szkoda! Elektrotechnik. Złota rączka do głośników i telewizorów. Złota... – powtarza ciszej i odwraca głowę ku drzwiom jakby czekał, że właśnie w tej samej chwili wejdzie przez nie znakomity elektrotechnik.

– A twoim rękom co brakuje?

– Moim? – Kryś przygląda się zaskoczony swoim dłoniom – Nic. Co ma brakować?

– Mniejsza z tym. O kurcze, już pół do dziewiątej.

Panie Józiu! – Grubas macha ręką w stronę bufetu.

– Płacę, ale już, bo muszę jeszcze lecieć na Wilczą. – A ty – przypomina sobie o chłopaku – tak jak mówiłem, morda w kubeł, ani słowa nikomu o tym, co my tu... Ani do mamy, ani do brata, ani do swata. Ani do cizi. Do cizi przede wszystkim ani słówka – wtyka brązowy papierek w rękę kelnerowi. – Do równej setki, panie Józiu!

– Do jakiej... o jakiej cizi gadka? – rzuca Walet, gdy tylko pan Józiu odmeldował się do bufetu.

– O twojej. To też wiem – uśmiecha się Cyga trochę nieprzyjemnie.

– To o nią pan pytał Rypę?

– Tak. O nią, A co? Muszę się tłumaczyć? Do takich spraw mam właśnie Rypę. Pewnie już ci się pochwalił?

– Nieważne. Idziemy?

– Czekał. To ja się spieszę, nie ty. Jeszcze parę słów. Dawno z nią chodzisz?

– Z Jolą? A co ona ma do tego?

– Bardzo dużo. Nie szarp się. Bardzo dużo ma do tego, ja ci to mówię, Kryś. Słyszysz, Cyga ci to mówi – przysuwa się z krzesłem do chłopaka i syczy mu wprost do ucha – Kiedy ją poderwałś? Muszę to wiedzieć.

– O Joli?

– Ładne imionko. Ale mnie nie o to... Tej twojej...

Joli nie miałem w planie. A u mnie musi wszystko grać.

No więc, jak?

– Co... co pan chce?

– Muszę ją poznać. Jeszcze przed środą. Nie mogę czekać. Jutro? pasuje?

– Ale po co, panie Cyga? – Walet ściska pięści i kręci się w krześle, jakby zaraz chciał porwać się z miejsca. Ale tamten patrzy na niego spokojnie, choć z wielką uwagą. – To babka z dobrej rodziny.

– Jeszcze tego brakowało. Z dobrej rodziny. Pewnie z fortepianem, co? Grafini, tak? – odzywa się przez zęby Cyga.

– Jaka grafini – mruczy Kryś i oblizuje spierzchnięte wargi. – Poderwałem ją dwa miesiące temu. Na kiermaszu książek. Pod Pałacem. Sam nie wiem jak ją trafiłem. I jak ona trafiła mnie..

– Pewnie studiuje? – uśmiecha się znowu tłścioch. Bardzo paskudnie się uśmiecha.

– Nie przyjęli jej. Może w przyszłym roku. Teraz pracuje. W supersamie.

– Gdzie? – unosi brwi Cyga.

W supersamie. Jej stary na rencie. Widzi pan, że takie... więcej bidne te grafy od mojej Joli.

– A ty mnie nie gnaj w maliny, stary. Zaliczyłeś cizie czy nie? To ważne. Wiem, wiem – dodaje spiesznie, widząc zbielełą nagle twarz Waleta – panna z dobrej rodziny. Ale jak wiadomo, nawet w najlepszej rodzinie wszystko może się zdarzyć. No więc jak? Zdarzyło ci się już z nią, czy jeszcze nie? Nie pytam z ciekawości, ale to muszę wiedzieć. Zaliczyłeś? No, nawijaj Kryś, tylko nie picuj mnie. No jak, zatkało cię?

Ale chłopak nie odpowiada. Chowa głowę w dłoniach i nic nie mówi. Dopiero po chwili

zaczyna kręcić głową i po swojemu mrużyć pod nosem, ale tak, że grubas nic z tego nie może wyrozumieć, choć ma spiczasty słuch. Nagle Walet prostuje się nad stołem i odzywa się cicho ale wyraźnie:

– Nie, panie Cyga, nie zaliczyłem, słyszy pan, nie zaliczyłem. Teraz już pan wie?

– Ale dlaczego? Chodzi z tobą, to... to znaczy...

– To nic nie znaczy.

– Trujesz – macha ręką Cyga – jak babka się zgadza na podryw, to znaczy, że jej podchodzisz. A wtedy to już chyba wiesz, co masz robić i czym. No, co tak mrygasz? A wtedy nie ma co kompinować i czekać na okazję. „Do toho!” jak wołają czechosłowackie kibice na meczu hokejowym.

– I pan nawija, że to ja truję? – uśmiecha się po raz pierwszy Walet. Ale wygląda to nie za wesoło.

– Albo co? – tym razem nawet Cyga baranieje.

– A to, że pan nie zna Joli.

– Z dobrej rodziny, co? – opamiętuje się grubas.

– Tu nie o rodzinę chodzi.

– A o co, do nagłej krwi? – wybucha tamten. – Pewnie o kochanie?

– Nie. Nie o kochanie. Może o to, że nie mamy gdzie się kochać.

– Co? – Cyga przez chwilę ma taką minę, jakby mu jedna z jego cegieł spadła na głowę. Nawet podnosi rękę do łysiny. – Nie macie gdzie...

– A co pan myśli – szepce chłopak gorączkowo, napierając stolikiem na krzesło tamtego. – Targam dziewczynę do jej chaty, na Szopena, na trzecie piętro, pucuję skoki na wycieracze, dzwonię, otwiera tatuś na rencie...

– Ale – próbuje rekursować Cyga.

– Zaraz – ostrzega chłopak – otwiera starszy pan od Joli, ten na rencie, albo może będzie to starsza pani, jejże mamusia... i co? I co? „Ach to ty, Jolunia. Już wróciłaś? A z kim to? – I wtedy ja, że taki a taki, Walet jestem, chwilowo bez pracy – nawijam. – „Przyszliśmy tu właśnie w celu takim, żeby się trochę pokochać. Tak? A tu, proszę, dla was, przepraszam, dla państwa, bilety do „Iluzjonu”. Albo do „Relaxu”.

Na trzeci seans. Leci western z Marlonem Brando”. Pasuje?

– Co ty... co ty pieprzysz, Walet – Cyga odsuwa się z krzesłem od stolika – jaki Brando?

– Wszystko jedno, jaki. Bo jak nie pasuje, to mogę inną płytę jej puścić. Ale po co? W kinie nie wyjdzie, choć teraz w lecie nie ma takiego tłoku. Najśłodsze pieszczoty może przejdą jeżeli lalka dopuści. Ale i tak za mało ciemno, bo obraz leci. Ale Jola nie zechce, nie ma się co śmiać, panie Cyga. Pan jej nie zna. No to gdzie ta okazja. W dyskotecę? Chromole... Byliśmy parę razy. I co? Gips. Chyba, że do siebie ją przytargam, co panie Cyga? Ale by się moja starszka obśmiała. No! Dwa wyra w kącie i widok przez okno na klozet w podwórku. Aha, jeszcze zostaje przyroda. Lato przecież. Ale po krzakach Joli nie będę targał. Ani poniewierał na trawie, ani w parku na ławce. Kiziorzy nad Wisłą tylko na takich czekają! Bo można by jeszcze...

– Czekaj, Kryś! – Cyga przytrzymuje pięść chłopaka wystukującą coraz mocniejszy rytm na blacie stolika. – Czemuś... czemu od razu nie gadał?

– O czym? – oddycha ciężko Walet, jak po bardzo długim biegu.

– O tym, że... no, że tak jest... z wami.

– Z nami? – chłopak otwiera szeroko oczy, jakby nie rozumiał o czym mowa. – Ano, jest. Ale to moja sprawa. Nie ma czym się chwalić.

– Ale człowieku – Cyga wstaje z krzesła i natychmiast znów przysiada. – Co ty mi tu nawijasz... Dwa miesiące motasz lalkę i nic. Guano peruwiano. Można wodę spuścić. Tak? No na co motasz? Na kino, na dyskotekę! Przez dwa miesiące na frajer. Tak? Szajs! Tak!

Bo chaty nie masz, bo nie będziesz... jakżeś to... bo nie chcesz poniewierać, co? Na trawie. Nie chcesz. No i co?

Jak już taki gips, żeś nie trafił kumpla z chatą, to... to...

– A nie trafiłem. Może się zdarzyć, nie? Jak kto ma takie zasrane szczęście jak ja – czerwienieje chłopak i rozluźnia zapięcie wiatrówki jakby mu tchu zabrakło.

– Czekaj, czekaj – blatuje skwapliwie grubas. – Pomaluśku. Myślałem, że trujesz. Bo niby jak? Dwa miesiące podrywki. Zaraz! – patrzy ze zdziwieniem na chłopaka jakby go pierwszy raz w życiu widział. – Co dziś mamy? Czwartek czy piątek?

– Czwartek, albo co? – Kryś niechętnie rozstaje się ze swym zmartwieniem.

– Dobra. To zrobimy tak. Jutro pan Cyga montuje towarzyskie spotkanie. Stoi?

– Jak? – otwiera usta Walet. Wygląda jakby chciał ziewać. Co... towarzyskie?

– Jutro, słyszysz, w piątek – powtarza niecierpliwie grubas – trafimy się na rogu Kościuszki. Tam gdzie Polmozbyt. Powiedzmy o piątej. Pasuje?

– Ale... ale jak? Jutro popołudniu jestem umówiony...

– No właśnie – śmieje się Cyga. – Przecież mówiłem że pasuje. Ty z nią na rogu. A co pan Cyga? A pan Cyga właśnie nadchodzi. I kogo widzi? Ciebie z Jolą.

I co robi? I wita się po starej znajomości z tobą i przy okazji z nią. A ponieważ nie widzieli my się kupę czasu, a pan Cyga trafił taki... no, niech będzie... interes, więc prosi kumpla, niby ciebie, razem z babką, niby z nią, z Jolą – do siebie, na krótkie oblewanie... na krótki... Jak to sie... jak to na wyższą gadkę będzie: aha, na małego drinka. Nie do knajpy, broń Boże, do siebie. Wszystko podchodzi: chata blisko, parę kroków.

Okazja jest. Co? Kryś? Gadaj. Pasuje?

– Nic nie pasuje – odpowiada Walet znękanym głosem – Nic...

– Nie truj, stary. A wiesz, że do ciebie to trzeba się bobu najeść. Dlaczego nie pasuje?

– Pan nie zna Joli. Ona od razu kapnie się, co jest grane.

– I co? Nie pójdzie?

– Myślę, że nie.

– Myślisz?

– Panie Cyga – ożywia się chłopak – ja nic o niej nie wiem. Wciąż jeszcze nic nie wiem.

– To się dowiesz, Walet. Już moja głowa w tym, że się dowiesz. Właśnie jutro się dowiesz, a przy okazji i ja, bo jak ci mówiłem, u mnie przed każdą robotą – rozumiesz, Kryś, już przed, a nie podczas roboty musi wszystko grać. Nie kocham ryzyka, trudno, taki już jestem, dlatego jakoś mi leci. U mnie, rozumiesz, nie ma tak, żeby przez jedną cizię coś nie zagrało.

– Ale co ona, Jola, może mieć do tego. To tylko nasza sprawa, moja i pana, nie?

– Co?

– No... chyba tamto... ta gadka o ceglach.

– Nie. Gadka jest o mnie, Walet. Nie o ceglach. Cegły to tylko drobna szczegółą. Po prostu – kocham wiedzieć z kim startuję. I twojej Joli nie miałem w planie. Tylko ciebie.

– I dlatego pytał pan Rypę o nią?

– I dlatego pytałem Rypę czy z nią chodzisz. Ale to już – detal, stary. Co ci będę... Jutro na rogu Kościuszki. O piątej. Zasuwamy do mnie. A potem się zobaczy.

– Co się zobaczy?

– Nie wiem. Myślę że najpierw zobaczymy kielicha.

Może dwa, nie targujmy się. Potem ja się chyba zmyję... no... na jakiś czas. A ty z Jolą... no...
– grubas jakoś mlaszcze to ostatnie „no” z takim przycmokiem, że Walet odwraca od niego oczy.

– A co będzie jak Jola... – odzywa się po chwili schrypniętym głosem.

– Jutro się będziesz martwił, co będzie. Strasznie kochasz gryźć się na zapas, Kryś. Aha, co to znaczy:

„Kryś”?

– Jak to, co?

– No, co to za imię?

– Krystian. Po ojcu chrzestnym. To kumpel starego.

Był organistą koło Łomży i może dalej jest, jeżeli mu nie przeszło.

– Krystian? Czekaj, czekaj, znam kogoś, kto jest też Krystian, ale... cholera, muszę już przyskać na tę Wilczą – Cyga podrywa się od stolika, obciąga na sobie wdzianko i obdarowuje Waleta promiennym uśmiechem.

Krystian – przypomina sobie – jasny gwint, kumpel czy co? Już wiem, Kryś, to przecież... no... ten od fortepianu! Nie znasz go? Z telewizji!

– To pana kumpel? – kręci głową chłopak i wstaje od stolika wciąż trochę niepewny, czy mu się parę ostatnich godzin nie przyśniło. Ale Cyga już jest w drzwiach i tylko zza szyby wyciąga ku Waletowi dłoń z rozczapierzonymi palcami.

– Piąta! – wykrzykuje nagle chłopak, aż pan Józio ze zdziwieniem podnosi głowę nad kontuaru, ale zaraz wraca do swoich zajęć, bo za zdziwienie mu nie płacą. Zresztą nic się nie stało, tyle że Walet kiwa wciąż głową w stronę drzwi, że tak, że rozumiał. Ale tam już nikogo nie ma.

I oto na drugi dzień okazuje się, jak bardzo obaj nie znają Joli. Kryś – bo udało mu się bez żadnych kaprysów i oporów przyprowadzić ją w kierunku Kościuszki – a Cyga, bo spotkał kogoś, kogo nie przewidywał. Jedno było pewne – początek zapowiadał się dobrze. Okrążyli oboje w bezpiecznej odległości plac ze straganami, z Grubym, a przede wszystkim z tym piegowatym szakalem, Rypą. Kłopoty zaczęły się dopiero w tym momencie, gdy podchodzili do rogu Kościuszki.

Waletowi udało się zerknąć na zegarek dziewczyny, gdy ujmował ją pod rękę – dochodziła piąta. Swojego zegarka nie miał. Zresztą nigdy nie przejmował się zanadto czasem. Tego wymiaru najmniej mu w życiu brakowało. Tym razem może liczyć na dodatkową premię: piersi dziwczyny, których dotyk odczuwa ramieniem.

Wiedział, że było co odczuwać. Kochał te prężne przytulajki i korzystał z nich, gdy tylko się

dało. Jola chyba też je lubiła, ale nigdy nie wiedział czy lubiła dlatego, że z nim właśnie, z Waletem, czy też dlatego, że stykały ich z sobą niespodzianie, ukradkiem, bo na oczach przechodniów, co było dodatkową atrakcją.

Gdy przystają na rogu ulicy, Jola szybko wysuwa dłoń spod jego ramienia i patrzy na Krysa z nikłym uśmiechem. Takiego uśmiechu też nie rozumiał, a więc nie lubił. Nigdy nie wiedział czego się po nim spodziewać. Teraz też, zwłaszcza że lada chwila nadejdzie Cyga. Walet rzuca okiem na dziewczynę i znów widzi jej śliczną, zawsze spokojną twarz i ogromne niebieskie oczy zawsze jakby leciutko czymś przysłonięte. I jasne, rozpięściowane włosy z jednym kosmykiem odgarnianym z czoła niecierpliwym gestem. Wszystkie te piękności chłopak nosi w sobie zawsze, gdy Joli nie ma.

Są w nim w każdej chwili nie spędzonej z nią, od rozstania do rozstania. Czym byłby bez tej dziewczęcej krasoty towarzyszącej mu we wszystkich samotnościach świata. Czym byłby bez urody tego nie kończącego się nigdy wspomnienia. – Co pan może o tym wiedzieć, panie Cyga. Jest pan tylko tłustym, i co z tego, że ładowanym wapniakiem. Aha – i do tego z chatą na dwadzieścia cztery fajerki, do której można zapraszać takie, które, jak nawija Rypa, można mieć na pęczki.

No i takich jak ja. Zapraszać! Wystarczy panu kiwnąć palcem, tym tłustym. I każdy z nich przyleci jak na sznurku. O, na przykład tak jak ja. Tylko Jola nie. Ale tego właśnie pan nie wie. Tego jednego nie. Tłusty, ładowany zgred – uśmiecha się mściwie Walet i powraca rozjarzonymi oczami do dziewczyny stojącej przy nim. A właśnie dziś Jola wygląda jak... – nie, tego nie wymyślę jak wygląda – przelatuje mu przez myśl i szybko przymyka oczy, żeby taką właśnie dziewczynę zapamiętać pod powiekami choćby na jutro czy na jeszcze później, gdy znów jej przy nim nie będzie. Bo w tej chwili jest... no, co tu nawijać – jest najfajniejsza jaka może być. W tej kolorowej sukience w jakieś kombinowane kwiaty, w tym błękitnym sweterku ledwie narzuconym na ramiona, jako że dzień jest nie taki jak wczoraj – szary i wietrzny.

Tak ją widzi Walet w tej chwili i cieszy się, że właśnie tak. Niby szary dzień, ale w tę właśnie szarość wpięta jest ta kolorowa uroda jego dziewczyny, taka jakaś trudna do wypowiedzenia, jakby ktoś człowiekowi bukiet zbliżył do oczu.

– Co mi to w głowie – opamiętuje się wreszcie i na siłę odwraca wzrok od dziewczyny – co się ze mną dzieje? I to właśnie teraz, gdy w każdej sekundzie może ukazać się... – i nagle ten błysk myśli – a może uciec, wyrwać się z tej chwili, z tego czekania, z tego... spotkania.

Chromolić tłustego zgreda z jego wdziankiem, chatą i całą szafą szmalu, jak nawija Rypa. Co przy takiej dziewczynie, najładniejszej jaka mi się zdarza w życiu mogą znaczyć wszystkie Cygi na świecie.

No, Kryś, jeszcze czas! – mruczy do siebie i sam nie wie kiedy schodzi na krawężnik. Rozgląda się na „wszystkie strony. – Jeszcze czas!

– Czekasz na kogoś? – Walet aż podskakuje, gdy Jola dotyka jego dłoni.

– Kto? Ja? Na kogo?

– Co ci jest, Kryś? – dziwi się dziewczyna, ale czyni to jakoś spokojnie. Jakby wszystko wiedziała.

I nagle w tym samym momencie Waletowi przychodzi do głowy pomysł, prawdopodobnie jeden z najgłupszych, jaki mógł się mu przytrafić. Nagłym ruchem przytrzymuje rękę dziewczyny.

– Chciałbym cię o coś spytać, tylko się nie gniewaj.

– Często się na ciebie gniewam?

– Nie o to – Walet odwraca głowę, żeby nie zobaczyła jego oczu – ale chciałem cię zapytać, czy... czy zawsze musisz być w chacie przed nocą? – wyrzuca jednym tchem.

– Nie. Nie zawsze. A czemu cię to gnębi? – Jola ani przez moment nie wygląda na zaskoczoną.

– Bo... widzisz... Nie rozumiesz?

– Nie rozumiem. A co? Masz jakiś plan?

– Jaki plan?... O czym ty mówisz... – płacze się chłopak. – Po prostu chciałem wiedzieć...

– Bo tak jakoś... uroczyście zaczynasz. Czasem zostajemy na noc po pracy. Takie remanentowe historie.

I wtedy nie wracam. Ale zwykle mówię o tym w domu.

– A zdarzyło się – rozpędza się chłopak, ale urywa.

– Co? Że nie uprzedziłam nikogo w domu? Zdarzyło się. Owszem. Raz. Ale jakoś starszankowie przeżyli ten wstrząs. O to ci chodzi? – pyta Jola jak jasnowidząca, ale blond kosmyk z czoła odrzuca trochę za gwałtownie. I teraz Walet już nie wie co odpowiedzieć. „Wyglądałem się z tym pytaniem jak ułan na widocie” – przelatuje mu przez myśl – „ona już wszystko wie.

Ale choina ze mnie!

Na szczęście w tej samej chwili, jak na zamówienie, zza rogu wykwita Cyga. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie udało mu się zjawić tak bardzo w porę. Dziś nie ma wdzianka, garniturek marengo, pod pogodę, wypina mu się na tłustym kuprze. Do tego śledź czyli krawat różowy (ró-žo-wy! – sylabizuje Kryś oczami rozszerzonymi ze zdziwienia) – różowy w ciężkie popielate pasy, ale za to bardzo luźno spięty na rozchełstanej koszuli. Fason! Na nogach skoki. Ale jakie! Goodyeary.

Takie więcej szorstkie – zamsz nie zamsz, cholera wie.

I zaraz myśl: to dla niej, dla Joli tak się wypindrzył, bo przecież nie dla mnie. No, nawinąłem mu trochę o niej wczoraj. Nie szkodzi, niech się stara.

I rzeczywiście pan Cyga się stara. W tej chwili czyni to całym sobą, gdy tak właśnie nadciąga w ich pole widzenia, defiladowym krokiem, z wypiętym zadem. Nadciąga, przechodzi, już byłby oboje minął, ale w ostatnim ułamku sekundy, niby przypadkiem, odwraca głowę i poznaje – jakże by! – Waleta. Już jest przy nich.

– Kolega Kryś! Co za spotkanie! – wyciąga ku Waletowi rękę z jednym, ale za to ogromnym sygnetem. – O, przepraszam, widzę żeście nie sam, nie chciałbym przeszkadzać – gulgoce najbardziej fletowym ze swych gulgotów – ale widzicie – zwraca się frontem do dziewczyny zapominając swą tłustą rękę w dłoni chłopaka – widzicie, kolego Kryś, taki już mam dziś fartowny dzień. Wpierw obskakuję ten interes, o którym wam mówiłem, na medal obskakuję. A potem trafiam tak równego kumpla i do tego w jakim towarzystwie! – Przedstawcieżę mnie, Kryś, swojej pani, bo nie wiadomo, co sobie o mnie pomyśli.

– Co? A tak – podrywa się Walet zagubiony w tym cyrku tłuszciocha, dyrektor Cyga – dodaje ni stąd ni zowąd, ale grubas macha ręką z lekceważeniem.

– Ee, co tam, Kryś – dla was po prostu Cyga. A dla pani – zwraca się do dziewczyny i podaje jej tłustą dłoń takim gestem jakby jej różę podawał – dla pani może być i Stasio, bo mnie jest Stanisław...

– A mnie Jolanta – odzywa się po raz pierwszy dziewczyna, tak spokojnie jakby brała na serio pana Stasiowe fidrygały. – Niestety, musimy już iść – zwraca się do Waleta, który patrzy na nią zdumiony.

– Prawda? Tylko dokąd to właściwie mamy iść, Kryś, popatrz, zupełnie zapomniałam... Kino, czy co?...

– Ależ – wybucha znów Cyga, jakby tylko czekał na słowa Joli – widzę, że nie mieliście nic

ważnego w planie, tak? Chyba dobrze zrozumiałem panno Jolu?

– Chyba dobrze pan zrozumiał – uśmiecha się po swojemu dziewczyna – zdaje się, że mówiliśmy o kinie, Kryś, co? Czy to ty mówiłeś, a ja tylko słuchałam?

– Ja mówiłem? – marszczy brwi Walet, zupełnie jakby wierzył w to, co słyszy.

– W takim razie – wkracza nagle surowo Cyga – idziemy do mnie.

– Czy nie za prędko, panie...

– Stasio, mnie na imię Stanisław.

– Czy nie za prędko panie, panie... Cyga? – dziewczyna patrzy spokojnie na grubasa, który nagle przestaje się miotać po chodniku i sięga szybkim gestem do szyi.

Ale chyba tylko dla poprawienia krawata. Tego różowego, w popielate pasy. I tylko na moment, „żeby się nie dać sprowokować tej dziwce” – myśli mściwie i aż przymyka podpuchłe pijackie powieki, żeby Jola nie dojrzała tej nagłej furii. – „Już ja cię przygadam, skarbie pyskaty, i to dziś jeszcze, nie będę czekał dwa miesiące, jak ten twój... przydupnik... jak go wabisz:

Kryś. Kombinujesz pewnie, żeś git skorupa, to ci już wszystko wolno. Nie z panem Cygą takie numery”. – Tak właśnie pan Cyga myśli, ale na głos mówi tylko trzy słowa. I to do Waleta. Do tego takim spokojnym tonem, jak przed chwilą Jola.

– To jak zrobimy?

– Myślę, że – chrząka chłopak, jakby mu nagle zaschło w gardle – jak myślisz, Joluś? Może rzeczywiście...

– Przecież mówię – przerywa mu Cyga, jakby Joli nie było – że jest okazja. Mój trafiony interes. To raz.

Do każdej knajpy stąd dalej niż do mojej chawi... to znaczy... do chaty, no, niech będzie, do domu – przypomina sobie dziewczynę. – To dwa. A trzy, to że dzień jakiś taki podchodziaszczy na towarzyskie spotkanie. Co, panno Jolu?

– Kryś zdecydował, jeżeli „rzeczywiście” jak mówi, to znaczy, że ma na to ochotę, a ja, a mnie jest obojętne, co będę dziś... co się trafi zamiast kina, które jest już ostatnią deską ratunku, jaka pozostaje nudzącym się ludziom.

– Z tego wynikałoby Jola – zgłasza się ponuro Kryś – że my z sobą nic, tylko się nudzimy i po to idziemy do kina? Tak?

– Noo... czemu – zagaja pośpiesznie Cyga zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć – ja sam lubię od cztsu do czasu zaliczyć fajny film, kryminał, albo taki więcej... z kowbojami, a pani

mówi, że to dla nudzących się ludzi.

– Myślałam o młodych ludziach panie... dyrektorze – Jola rzuca szybkie spojrzenie nie na adresata obelgi, ale na Waleta i dobrze robi, bo Cyga wygląda tak, jakby chciał wrzasnąć na całe gardło. Ale zamiast tego odwraca się tylko od dziewczyny i patrzy na Waleta takim wzrokiem, jakby to on właśnie był wszystkiemu winien.

– No... no to co... kolego... idziemy?

– To... tego... to co... Jola – powtarza chłopak jak nakręcony – idziemy?

– Oczywiście – uśmiecha się dziewczyna jakby zdziwiona tym pytaniem. – Zwłaszcza jeżeli to tak blisko – dodaje niedbale. Zanedo niedbale, jak się wydaje Waletowi.

Kiedy ruszają w górę Kościuszki, zapominają jakoś o konwersacji. Co prawda nie tyle idą, ile kroczą bez słowa, dziewczyna w środku, tamci obaj po bokach.

W sumie wyglądają trochę dziwnie – jak w smutku pogrążona rodzina. Ojciec z dorosłym potomstwem. Do bramy kamienicy, w której mieszka Cyga nikt nic nie mówi. Na próżno w tej samej chwili, jak na zamówienie pierwsze ciężkie krople zaczynają pluskać o chodnik. Deszcz. Ale nikt z tej trójki nawet go nie zauważa.

W milczeniu przechodzą przez długą sklepioną sień, w której kilkoro dzieci bawi się w klasy. W przejściu Jola przygarnia ku sobie malutką czarnulę pętającą się bod nogami przechodzących. Dziewczyna zatrzymuje się między dziećmi i kilkoma ruchami przytwierdza malutkiej dużą różową kokardę, która podczas podskoków zsunęła się z jej głowy. Obaj mężczyźni zatrzymują się w podwórzu i czekają cierpliwie na zakończenie samarytańskich poczynań Joli. Tym bardziej cierpliwie, że mokną już nie na żarty w strugach deszczu. Co będzie z pięknym krawatem gospodarza – дума Walet i nie bez odróbmy radości śledzi nie tyle krawat, ile ponurą i w tej sekundzie absolutnie wrogą dla wszystkich twarz Cygi.

Ale Jola nie przeciąga struny. Właśnie teraz wybiega z bramy na podwórze, taka śliczna i tak pewna swojej śliczności, że nawet tłuszcioch musi się poddać.

– Pozwolicie, że poprowadzę. To tu zaraz, pierwsze piętro – uśmiecha się z trudem i rusza pod górę. Jedyłą pociechą dla Waleta, który wciąż nie może zdecydować się na zazdrość – jest tłusty tyłek gospodarza kołyszący się o parę schodów wyżej przez obojgiem młodych. Co prawda pozostaje jeszcze druga przyjemność – bardzo ciasna bliskość Joli tulącej się coraz wyraźniej do podtrzymującego ją chłopaka. W każdym razie nie najwcześniej dochodzą na to pierwsze piętro. Gospodarz już uporał się z drzwiami i zaprasza gości do środka.

– A gdzie... pani domu? – niepoohamowanie Joli jest widać silniejsze od niej samej.

– Proszę? – Cyga stoi w środku pokoju i wygląda jak kolumna. Co prawda trochę za gruba kolumna. Ale tym razem się uśmiecha. Widać bardzo mu na rękę pytanie. – Jest tylko, proszę ślicznej Joli, pan domu.

Żadnej innej pani poza panią tu nie ma.

– I nigdy nie było?

– I nigdy nie było – odpowiada gospodarz jak echo. – A dlaczego pani pyta?

– Bo widzę tu taki porządek... no, po prostu... kobieca ręka... – Jola obiega wszystkie kąty obszernego pokoju i przystaje przy pięknie zagospodarowanym stole w kącie pod oknem. Stół zasłany białą serwetą. Na nim – jakieś kolorowe trunki w karafkach, jakieś kielichy, szklaneczki, przy nich bochen wiejskiego chleba – widać na pierwszy rzut oka wszystko: zarówno zapobiegliwość gospodarza, jak i jego dalekosiężne chody i możliwości. Ale to jeszcze nie wszystko. Na stole jest jeszcze miejsce na kilka otwartych puszek z konserwami, jakieś masła czy bryndze, rybki i grzybki. Jednym słowem zagrycha na dwadzieścia pięć fajerek. Do tego rozstawione talerzyki i... wreszcie czegoś brak – nie ma widelców czy noży. Nie. Jest jeden nóż. Wbity po rękojęść w pierś dorodnego indyka, panującego w środku stołu. – Panie Stanisławie! – (przy takiej zastawie Jola musi się zdecydować na tego „Stanisława”) – nawet Walet przyjmuje to spokojnie, jako że stoi zdruzgotany u drugiego końca stołu, tego z kolekcją wódek – Panie Stanisławie – powtarza Jola ciszej, ale już ze swoim drażniącym uśmiechem – ależ wysztyftował pan tę... spiżarnię, no. Toż to „bufet” we własnym zarządzie”; czyżby spodziewał się pan gości? A może właśnie nas? – Przystaje jeszcze raz przed Cygową martwą naturą. Czegoś jej tu jeszcze brakuje. Już wie.

– Tylko nie widać jakoś w tym bogactwie owoców.

Pewnie pan zapomniał?

– U mnie niczego się nie zapomina. Mam jeszcze pomarańcze i ananas w puszcze. Ale to w kuchni. Zaraz przytar... przyniosę z lodówki. Może chce pani... chcecie obejrzeć – poprawia się – lodówka jak smok. Konia można w niej zamrozić. Z kopytami.

– Nie, dziękujemy – dziewczyna przysiada przy stole i przyzywa do siebie Waleta – bo konia to pan nie ma z pewnością?

– Nie, konia... skąd konia? Tak sobie powiedziałem – zaczyna kręcić głową gospodarz, ale zaraz milknie i podchodzi do stołu.

– Za to indyk jak byk – oświadcza na pociechę Walet.

– A ten nóż, którym pan go przybił do tacy, to jakiś dziwny, prawda? Kryś – dziewczyna z trudem wyciąga nóż z indyczej piersi i przybliża go do oczu.

– To finka – oświadcza Walet obojętnym tonem – zwykła finka. Do wszystkiego.

– Nie, to sprężynówka – poprawia go Cyga i zwinnym ruchem wyluskuje nóż z ręki Joli. – To nie damski manikir – choć rzeczywiście narząd do wszystkiego – Chyba przyrząd?

– Chyba przyrząd – godzi się gospodarz najspokojniej w świecie. – Tak się ten... przyrząd składa, a tak – naciska sprężynę noża – odmyka. O, tu jest sprężyna. Finkę trzeba odmykać samemu, bo to tylko goły majcher a sprężynówka... ta to się szanuje, można powiedzieć „panna z dobrego domu”, do byle kogo nie wyskoczy... prawda, kolego Kryś? – Cyga wysuwa dolną wargę jak Batory pod Pskowem i patrzy z dumą na chłopaka.

– Nie poznałem... Myślałem, że zwyczajna finka, zdarza się – mruczy Kryś i wzrusza ramionami zauważywszy, że dziewczyna przygląda się pilnie jemu i gospodarzowi.

– Wobec tego wypijemy – zagają wytwornie grubas.

Zestawia na tacce trzy kielichy obok siebie i polewa cały zestaw błyskawicznie jednym ciągłym chlustem, widać pilnie wystudowanym. – Starka – błyska okiem ku Joli.

– To jest gołda! – nie wytrzyma Walet, ale dojrzawszy minę Cygi, cofa rękę od starki. Tłuścioch podaje kielicha dziewczynie ceremonialnym gestem.

– Nasze kawalerskie! – ubiega go Walet i przybija do Joli.

– Abyśmy! – poprawia go gospodarz i stuka w szkła gości odstawiając z gracją mały paluch od własnego kielicha.

– A co ja mam powiedzieć? Chyba: zdrowie panów?

– Pani ma wypić. Lu! Do pięknej buzi! – komenderuje Cyga i pije pierwszy, nie czekając już na nikogo.

– Więc, jak pan mówi, „lu!” – godzi się dziewczyna i wychyla swój kieliszek, a po nim zaraz następny, sprawnie podsunięty przez pana domu.

No i poszło. Nawet nie za ostro. Tak w miarę. Po dwóch, no, może po trzech godzinach towarzyskiego współżycia we troje, zaczynają, każdy na swoją rękę, rozglądać się za czymś, co nie byłoby choć przez chwilę tym, czego się wszyscy w jakiś sposób spodziewają.

Bo niby Cyga, który z początku dyrygował obżarstwem i uderzaniem w gaz, znudził się wyraźnie szlachtowaniem indyczych piersi i polewaniem kielichów, natomiast raz i drugi sięgnął

już ku piersiom Joli w jakimś walcu czy spleśniałym tangu, ale odepchnięty w dość obrazliwy sposób, odpadł od dziewczyny i przyległ na tapczanie w kącie pokoju. I tu się dąsa. Potem Jola wieszkuje sobie coś szybszego z magnetofonu, może być twist, albo boogie, ale tym razem chłopak strajkuje. Siada przy stole i najspokojniej w świecie napoczyzna drugą butelkę starki. Sam! Tak właśnie wyobraża sobie w tej chwili zazdrość, bo dojrzał manewry pana Stasia przy tangu. Dlatego wychyla swojego smutnego kielicha z taką samą miną jak gospodarz walcujący się na tapczanie. A przecież... co a przecież? – snuje się w Waletowej głowie zaczadzone pytanie. – A przecież, aba, miał, tłusty świntuch zmyć się kiedy się tylko da i zostawić mnie z Jolą. Czego się nie zmywa? – Chłopak czuje się nagle sponiewierany – nie – zdradzony i to nie wiadomo przez kogo bardziej. – Zdało by się dać mu w mordę – duma i wydłubuje palcami smakowitą drzazgę z indyka, bo gospodarz wycofał z obiegu sprężynówkę. – Ale w mordę nie pasuje. Raz, że jestem tu jego gościem. I to z lalką. Dwa, że obciążam jego, psia mu mać, starkę. Trzy, to te pieprzone cegły, które... po jaką ciężką cholere rwałem tu dzisiaj Jolę?

– Walet jakby przytomnieje na moment, ale zaraz pokój z dziewczyną tańczącą samotnie w środku – zaczyna się znów okręcać. Na jego obrzeżu, daleko, w siwym dymie Cygowych marlboro, kręci się tapczan z wciąż dąsającym się gospodarzem i okno za tym tapczaniem, i drzwi w bok od tego okna, pewnie do przedpokoju, bo kuchnia jest tam... zaraz, zaraz, gdzież ta kuchnia, skądś przecież Cyga targał te pomarańcze dla Joli. Ale dlaczego... dlaczego Jola krzyczy? I gdzie ona jest? Przecież tańczy sama w środku izby z kielichem w ręce. Nie. Już nie tańczy. I w ogóle za dużo pije! A teraz krzyczy. Co... co się dzieje? Czego chce Jola? – Walet próbuje poderwać się od stołu, ale zaraz zatacza się na swój zydel. Pokój wciąż się kręci, ale na tapczanie nie ma już obrażonego gospodarza.

– Kryś! Gdzieś ty mnie... broń mnie, Kryś, on – ten... ten twój Cyga to zwierzę, chce mnie tutaj... – słyszy nagle obok siebie głos dziewczyny i sekundę później chrapliwy okrzyk Cygi.

– Tylko nie zwierze, tylko nie.– Zamknij się, kurczaczku, dobrze? Kogoś ty rni, Walet, tu nadał! – Już i sam tłuscioch blokuje swoim potężnym brzuchem gramolącego się z zydlu chłopaka. – No, ga... gadaj – zacina się w pasji.

– Jola, co z tobą? – Kryś nawet nie patrzy na grubasa. Przed sobą ma tylko Jolę, ogromne oczy dziewczyny pełne łez i twarz ściągniętą w jakimś nieznanym grymasie. Gdzież ta śliczność sprzed chwili i ze wszystkich zapamiętanych chwil, które nosił w sobie z każdym rozstaniem się z nią. Takiej jej jeszcze nie widział – Muszę... coś powinienem... coś trzeba zrobić w tej chwili,

natychmiast, żeby ona... żeby Jola... żeby z Jolą... bo coś z nią nie tak... – przemyka mu przez głowę. Znowu próbuje unieść się z miejsca i znowu na nie opada. – O kur... – mamroce pod nosem – o nagła krew – kończy nieoczekiwanie – popatrz, trochę za... za fajna ta starka – wyciąga rękę ku dziewczynie, ale ta odtrąca go tak gwałtownie, że sama przechyla się w ręce gospodarza. Cud, że nie upadła.

– Cyga, nie rusz jej! – krzyczy Walet.

– Nie bój się, koleś – śmieje się tłścioch na cały pysk – nie tknę tej laluni przed tobą. Siadaj, mała – podprowadza szamocącą się dziewczynę do tapczanu i siłą sadza ją na nim. Jola chce się podnieść, ale jej wiruje wszystko przed oczami – patrz, Walet – rechoce grubas, ale w tych podpuchniętych ślepiach ani odrobiny wesołości – spokojna głowa, ona też jest już dobra. Wszyscy jesteśmy już dobrzy. I tak ma być na drin... na drinku u pana Cygi. Już wiem – odzywa się nagle zupełnie trzeźwym głosem – na to jest tylko jedna rada: klin! Musimy strzelić klina i... tego... i jak ręką odjął.

– Klina, tak, to jest... – uśmiecha się Kryś trochę nieprzytomnie – Jola, klina! To jest... no, myśl! – decyduje się wreszcie.

– W takim razie – dziewczynie udaje się w końcu podnieść z tapczanu – beze mnie. Ja idę, a ty...; jeżeli chcesz, możesz tu zostać... z klinem, nawet z dziesięcioma klinami. Gdzie mój sweter – ściąga swój błękitny kubraczek zarzucony przez gospodarza na lamrę stojącą w kącie i w pokoju robi się nagle za jasno w stosunku do tego, co się dzieje. Ale tylko Jola z tego korzysta. Porywa kubraczek na ramiona i znika za drzwiami.

– Pa... panie Cyga, nie... niech pan ją trzyma, proszę jej po... powiedzieć, że... że już idę.

– Nie trzeba – szczyrzy zęby gospodarz – Nigdzie nie pójdzie.

– Pan jej... nie... nie zna – pójdzie! – woła chłopak załamującym się głosem.

– No, powiedzmy, trochę ją już znam, a klucz – grubas sięga do kieszeni – a klucz mam tu. Jola, lalka na medal, można powiedzieć, masz szczęście. Trochę pyskata jak na mój gust, ale wszystko inne ma tam gdzie trzeba, a to najważniejsze, nie? – znów pokazuje zęby w trochę wilczym grymasie. A nie wyjdzie stąd, bo ja mam klucz od drzwi. Poniał? – O, właśnie ten!

– Tak. Nie wyjdzie – potwierdza Kryś tępym głosem i widzi jak gospodarz wyczarowuje spod stołu ciemne butelki z piwem i rozlewa je w mig do szklanek. – Co to będzie, klin?

– Jak byś zgadł – oblizuje pięt tłścioch – to porter, a do tego jeszcze to – dolewa do pełna potężny szlug starki – no i gotowy klin. Z niczym się tak porter nie łamie, Walet, jak ze starką.

Zobaczysz, że to nas dopiero ustawi. No, skul! – póki babki nie ma.

– A... gdzie ona? Nie... ona nie... tego... nie powinna już pić – szepce Kryś drgającym głosem, bo już go rwie do tego choleznego klina.

– Pij synu, smutna ci twarz – prosi obleśnie grubas i podnosi do ust to, co miał wychylić, ale gdy tylko chłopak zaczyna pić – odstawia swoją szklankę pod stół, rzucając przy tym okiem na drzwi do przedpokoju. – No, jak?

– A... ale! – bełkoce Walet na ciężkim przydechu – A... ale to...

– No widzisz, Kryś, trzeba wierzyć starszym. Gpłda jak ta mama, co? No to na drugą nóżkę i spokój.

– Nie, ja już... mnie-e-e... – zaczyna mamrotać Kryś i patrzy na towarzysza matowymi oczami, w których już nawet światło się nie odbija.

– Szkoda mrugać, stary – podsuwa mu nową szklankę piwa Cyga – ostatnia. Do poduszki. I fajrant. Potem ja spływam, a tobie... a ty zostajesz z Jolą. Słyszysz? Tak, jakżeśmy się dogadali. Słyszałeś co powiedziałem? No to buch, babcię w brzuch!

Ale przy tej drugiej szklance złamanego portera chłopak już nie tylko nie słyszy, ale i nie widzi kto, po co i o czym do niego mówi. Uderza tylko ciężko głową o blat stołu, w samą porę podpartego przez gospodarza.

Cyga przede wszystkim patrzy na drzwi, za którymi zniknęła Jola i przez moment obmacuje je niespokojnym wzrokiem. Jednak zaraz podrywa się, obejmuje w pół Waleta i próbuje postawić go na nogi, ale chłopak przelewa mu się przez ręce. Wobec tego Cyga podsadza się pod niego, taszczy chłopaka na barkach przez całą izbę, zataczając się pod jego ciężarem i jednym ruchem ramienia zsuwa go na tapczan aż jęczą sprężyny. Teraz jeszcze ułożyć mu nogi i gotowe. Można odsapnąć. Ta część zabawy skończona.

Ale co z Jolą. Żeby tylko nie narobiła rabanu – grubas przez moment przygląda się z krzywym uśmiechem Waletowi śliniącemu się na tapczanie, ale zaraz podbiega do drzwi przedpokoju i przystaje z ręką na kłamce. Nic. Cisza. Cholera wie, co takiej napitej cizi może strzelić do głowy. – Naciska kłamkę i zagłada ostrożnie uchylając drzwi. – Jest!

– Jola! Co... co z tobą? – podchodzi do dziewczyny trochę niespokojnym krokiem. Jola stoi w kącie przy wyjściu, przytulona twarzą do futryny. – „Pewnie teraz skoczy na mnie, pofyrtana wydra” – przebiega mu przez myśl i mimo woli zaciska pięści. Niech tylko spróbuje.

Ale Jola nie próbuje niczego. Cyga widzi tylko jej wyciągniętą rękę, chociaż widzi też jak ta

ręka drży.

Grubas mruży oczy i podchodzi jeszcze bliżej.

– Klucz! – szepce dziewczyna. Ledwie otwiera usta.

Nie krzyczy, to już fajnie.

– Chciałabyś, co? – kiwa głową tłusciuch – Nie, panienka poczeka. Jakże to tak – szuści niedobrym szeptem – bez niego? Bez narzeczonego, sama, w nocy?

– Klucz! – powtarza Jola jak automat, nie patrząc nawet na gospodarza. Ale nie z panem Cygą takie hece.

Nagłym chwytem ściska tę wyciągniętą rękę i przyciąga dziewczynę ku sobie. Przez moment czuje na swoich ustach jej piersi i w oczach zapalają mu się żółte płomyki.

– Już ja ci dam klucz – bulgoce przez zęby, wpychając dziewczynę z powrotem przez drzwi do pokoju.

– Zaraz go zobaczysz, laluniu! Ale najpierw popatrz tu – wlecze ją ku tapczanowi – widzisz? Widzisz co zostało z twojego kiziorka. Nie mógł się ciebie doczekać.

Pogniewałaś się na chłopaka, kurczaczku. Za wcześniej.

Do chłopów trzeba mieć cierpliwość. A ty mnie i mojemu kumpłowi robisz takie sztosity. Obrażasz się, uciekasz, zostawiasz nas samych. To co mieliśmy robić. Kryś się zalał w dzwona ze zgryzoty, to przez ciebie, no, co tak patrzysz? Zalał się. Klops, nie? Myślałem, że mu klin pomoże, ale widzisz sama – wskazuje na Krysa rozrzuconego na poduszkach. Chłopak nie wygląda najpiękniej, ale kiedy Jola nachyla się nad tapczanem, grubas na wszelki wypadek zaciska tłuste łapy na jej ramionach. – Zostaw człowieka. Nie widzisz, że trudno go będzie teraz dobudzić. Ale nie martw się, lalka, poczekamy, zobaczymy. Razem. Rozumiesz – razem! – znowu wymawia to słowo z cmokaniem, jak to czyni tylko w najważniejszych chwilach. A to chyba jest najważniejsza chwila. – Razem – cmoka znowu.

– Zobaczysz jak nam szybko zleci. Jak to mówią – szczęśliwym czas szybko mija. O Waleta się nie turbuj, przejdzie mu. A jak mu przejdzie oddam ci go z powrotem. Na własność. Nawet sam zamelinuję się w kuchni, żeby wam nie przeszkadzać. Zostawię was tu sam na sam, tak jak trzeba, no, nie całkiem sam na sam, bo z indykiem, gołdą i tapczanem. A co? Pasuje? – wybucha donośnym śmiechem, bo bardzo mu się podoba to, co powiedział. Ale zaraz przestaje się śmiać gdy dostrzega wzrok Joli. Jola patrzy tak, że Cyga czuje jak furia znów chwyta go za piersi. – Nie... nie... podo... ba się pa... panience, co? Gołda podchodzi, indyk podchodzi, tapczan pasuje,

ale na tym tapczanie nie pasuje pan Cyga, tylko ukochany Kryś. Kryś. Tak? Z nim to zaraz by się poszło w prysiudy choćby na podłodze, co lalunia? Albo bara-bara na tapczanie. Ale tak to nie wyjdzie, lalka. Tak nie wyjdzie. Słyszysz? – szarpie dziewczynę ku drzwiom kuchennym. Na nic jej rozpaczliwy opór. Na próżno Jola zapiera się nogami w futrynę drzwi, daremnie kurczowo czepia się klamki, grubas odrywa po kolei jej obie ręce i miota nią jak tobołem po kuchennej podłodze. Dwukrotnie udaje się jej dźwignąć z kolan i dwukrotnie odepchnięta pada twarzą na brudny chodnik. Ale walczy w milczeniu, jak gdyby nagle oniemiała. Za drugim razem, szarpnie – ta za włosy, te właśnie niewypowiedziane dla Krysa, jasne jak słońce włosy – unosi nagle zaciśniętą pięść i tłusty łeb Cygi odskakuje do tyłu jak głowa boksera na ringu po podbródkowym ciosie. Czerwona mgła zalewa oczy napastnika. Nie bólu. Żądzy. Porywa dziewczynę z podłogi i wraz z nią zatacza się w kąt. Wraz z nią pada na niskie kuchenne wyrko zasłane kocem.

I dopiero teraz przychodzi kolej na krzyk Joli. Jedyny.

Ale to już na nic. Straszliwe uderzenie w twarz pogrąża ją w nicości. Nie czuje nawet bólu.

Ból przychodzi później i przywraca jej pamięć. Ale najbardziej okrutne jest to, że ta sama pamięć przynosi ze sobą coś, co jest równie potworne jak niebywałe. Jakieś dotychczas nieznanne doznanie czegoś niesamowitego, czegoś niewyobrażalnego, graniczącego z krzykiem, protestującego, własnego żywego organizmu. Ból potężnieje, staje się tak niemożliwym do wytrzymania, że przechodzi w spazm, w rozkosz tym nikczemniejszą, że nie można jej niczym powstrzymać.

Jest jak płomień, pochłaniający wszystko, od nóg ogarniętych tą samą pożogą, przez brzuch ku krtani zdławionej rozkoszą.

I nagle gaśnie wszystko jak zdmuchnięta świeca. Powoli powraca oddech i cichnie rozdygotane serce. Cichnie też ból. Zostaje tylko zmęczenie, straszliwa, osłupiająca bezdolność, niemożność uniesienia powieki.

Jola trwa w bezruchu jeszcze długo, zanim otworzy oczy. Ale gdy w końcu te oczy otwiera, zamyka je natychmiast. Z mroku wyłania się obrzękła twarz Cygi.

Jego podpuchnięte oczy wpatrują się w nią jak gdyby ze zdziwieniem.

– No i co, mała? – odzywa się cicho – trzeba było tej draki? No, ale kto by wpadł na to, żeś jeszcze nie ruszana. Jak chcesz wiedzieć, to była dla mnie niespodzianka. Nawet, można powiedzieć: cholerna niespodzianka. Prezent dla gospodarza – uśmiecha się zupełnie jak

człowiek i wierzchem dłoni, nieumiejętnie, gładzi włosy Joli. – No, mała trzymaj się. Skąd miałem wiedzieć jak jest z tobą? Kombinowałem – cizia jak złoto, sama rwie do człowieka na garaż, oblatana, nie? A tu – przebitka! Bomba – prostuje się i przeciąga na wyrku w szczerym podziwieniu dla własnego wyczynu. – No, było, nie ma i fajnie, że nie ma, prawda?

Każda kiedyś musi zacząć. Ktoś cię kiedyś musiał odkorkować, nie? – przygląda się Joli zmrużywszy oczy, aż ta zwija się w kłębek na zmierzwionym posłaniu.

Dopiero teraz dostrzega w tym Cygowym patrzeniu, że jest naga. Na próżno próbuje osłonić się przed tymi oczami rąbkiem koca. Jest coraz bardziej naga. Na szczęście w tej samej chwili Cyga zsuwa się gładko z posłania i nachyla nad nią.

– Idę do tego twojego... Krysia. Zobaczymy, co z nim. Fajki ci przynieść? – przystaje w progu, ale nie doczekawszy się odpowiedzi znika za drzwiami. Dziewczyna zrywa się na równe nogi, ale zaraz z jękiem opada na wyrko. Czuje, że jest cała jednym wielkim oboleniem. Nie własnym, ale zadany przez tamtego, stanem niktym przy jakim nie ma miejsca nawet na rozpacz. Przez chwilę dotyka swych piersi, brzucha, ust, przesuwając palcami po całym sponiewieranym ciele, odkrywa je dotykiem, jak to czynią ślepcy usiłujący rozpoznać czyjeś kochane kiedyś rysy zamazane w pamięci.

Jakiś dźwięk za drzwiami przywołuje ją do przytomności. Teraz już ostrożniej podnosi się z miejsca, zwilża w zlewie jakiś gałgan suszący się przy kuchence, a potem już szybko, coraz szybciej, żeby zdążyć, próbuje zmyć z siebie to wszystko z czym przyszło jej się tu spotkać. Ale zaraz odrzuca gałgan precz od siebie, bo czuje, że zmywa tylko skórę. Nagle w kącie dostrzega swój błękitny sweterek, na nim sukienkę, tak, tę samą sukienkę w wymyślne kwiaty, a na tej sukience bielizna... – dziewczyna stoi osłupiała i patrzy na stosik kolorowych pięknotek, ułożony porządnie, metodycznie, z szatek niemal ponumerowanych na obszernym kuchennym zydłu, przy tym samym wyrku, które... na którym – tłucze się w jej głowie uparta myśl – to on, Cyga, układał sobie to wszystko na tym krześle.

Najpierw sweter, gdy go ze mnie zerwał, to tu, przy drzwiach, potem suknię – Jola przygląda się dokładnie – nie, sukni nie zrywał, nie musiał, po prostu zdjął ją, po co miał się spieszyć, ja już tego nie pamiętam.

Potem... odpiął... nie, potem zostałam z nim sama, tylko we własnej skórze. Mógł robić ze mną, co chciał.

Ale on chciał wpierw złożyć porządnie moje rzeczy.

Pewnie po to, żeby się nie pomyły – myśli Jola spokojnie, jakby przeprowadzała remanent w swoim supersamie. Ale właśnie świadomość, że jest tak spokojna doprowadza ją do szaleństwa. I oto w tej samej chwili spostrzega swoje odbicie w odchylonej szybie okiennej.

Dopiero to przywraca jej rozum. Kilkoma ruchami narzuca na siebie bieliznę. Teraz sukienka. Ale sięgnąć po sweterek już nie zdążyła. W drzwiach stoi Cyga.

– Jola, a to co? – zapomina zaciągnąć się papierosem. – Ubierasz się? Zwariowałaś? Walet... tee... Krys jeszcze śpi. Ty wiesz która godzina? No;– może byś raczyła otworzyć buzię, co, laluniu?

Ale dziewczyna nie raczy. Z zaciśniętymi ustami schyla się po sweterek i pantofle porzucone pod krzesłem.

– Po co te łachy – uśmiecha się tłuscioch złowrogo, niby akceptując to zaciekle milczenie. – Ciuchy! – wzrusza pogardliwie ramionami. – Najfajniejsza jesteś bez nich. Sama najlepiej wiesz o tym. Oboje o tym wiemy, nie? – teraz patrzy na nią spode łba. Wygląda niedobrze, jak juszący się zwierz. I znów te żółte błyski w ślepiach. Jola czuje jak kurcz ją chwyta za gardło, bo wie co będzie za chwilę.

– Zdejm to! – bełkoce Cyga i już-jest przy Joli – nie – sam sobie poradzę – wyciąga tłustą włochatą rękę po dziewczynę, ale ta jest szybsza. Przemyka mu pod łokciem i dopada drzwi. Za późno! Niemal w tej samej sekundzie znowu leży na wyrku. Ale tym razem widzi te podpuchnięte ślepia zbliżające się do jej twarzy. Jeszcze raz kuje pięścią w nalaną gębę, ale grubas nikczemnym chwytem przygwaźdza ją do posłania.

– Nie... nie szarp się lalka! Ze mną lepiej nie tak...

A do Waleta zdążysz. Najpierw sobie pofiglujemy – chrypi, gmerając paluchami w wymyślnych kwiatach jej sukienki – jeszcze raz pofiglujemy, boś mi cholernie podeszła. Teraz nie będzie już przecież żadnej niespodzianki. Mogę się z tobą założyć, że żadnej. Ani dla mnie, ani dla twojego Krysia. No, spokojnie! Masz czas – sapie do ucha dziewczyny. – Twój kawaler leży martwym bykiem na moim tapczanie i kima jak szczawik w izbie wytrzeźwień. Ko... koszulka? Że wam się chce takie duperele motać na sobie po to, żeby zaraz znów je zrzucić, co za... co... co ty ro... Jola! Co ty! JOLA!

I to imię jest ostatnim słowem Cygi. Z nim na ustach umiera. To Jola doszła do głosu. W tej właśnie chwili dostrzegła kątem oka sprężynówkę gospodarza: „można powiedzieć – panna z dobrego domu – szanuje się, do byle kogo nie wyskoczy!” Automat. Sprężyna ukryta

w rękojęści! Dla tej ukrytej sojuszniczki dziewczyna na jeden błysk stali rezygnuje z obrony. Straszliwym skurczem ciała odrzuca napastnika w bok, ku ścianie i całym rozmachem, nienawiścią, tym wszystkim, co w niej jeszcze zostało – wbija nóż w tłusty, wypięty kałdun. I jeszcze raz. I jeszcze. Ciało Cygi samo, nie rządzone już niczym, co ludzkie – obraca się na bok i nieruchomieje. Jest już tylko ciężkim, ogromnym tłumokiem, uszkodzonym w trzech miejscach. Już niegroźnym tłumokiem.

Przez moment Jola stoi nad tym co uczyniła. Stoi ze zmarszczonymi brwiami i przechyloną głową, jakby o czymś zapomniła. Ale zaraz prostuje się na całą wysokość i zaczyna wygładzać koszulkę, dotyka niecierpliwymi palcami każdego skrawka, każdego fałdka jedwabiu. To przecież i tylko to dzieliło ją przed sekundą od tamtej śmierci. Ale nic, absolutnie nic nie pozostało z tej chwili, poza wyobrażeniem o tym, co mogło pozostać. A po kilku sekundach nawet to wyobrażenie zaciera się i znika. Pamięć można wyłączyć, czas można wyłączyć, nawet tę kuchnię można wyłączyć – Jola staje na moment bezwolna przed wyłącznikiem elektrycznym u drzwi, ale przytomnieje i szybko porywa z podłogi sukienkę. Już jest znów dziewczyną sprzed kilku godzin, jeszcze sweterek, ten błękitny i już tylko drzwi. Drzwi do pokoju, w którym na tapczanie leży głupi, zwykły, trochę nieokrzesany chłopak w wiatrówce; głupi – ale żywy, pijaniuteńki, ale żywy jej chłopak... Kryś.

– Kryś! – Jola szarpie Waleta za rękę, potem chwyta go za ramiona i podciąga ku sobie. Dopiero teraz Walet otwiera zamglone oczy i z niedowierzaniem patrzy na dziewczynę.

– Jola? Co się dzieje?

– Kryś! Nareszcie się zbudziłeś. Chodźmy stąd!

– Ale co... Jezu! Mój łeb – chłopak zrywa się z tapczanu na równe nogi ale byłby niechybnie upadł gdyby nie Jola. – Co ze mną było? Chyba narozrabiałem?

– Jeszcze nie wiesz?

– Wiem. To ten cholerny klin Cygi. Jola – a co Cyga?

– Spi.

– Spi? – Dopiero teraz Walet wygląda na obudzonego. – A to świnia, miał się zmyć, jak tylko... jak tylko... – zaczyna się jękać – a gdzie śpi?

– W kuchni. Tam jest taki... taka sofka czy co.

– Skąd wiesz? – Walet odwraca się szybko do dziewczyny, ale zaraz chwyta się za skronie i ściska je desperacko – skąd wiesz, Jola... skąd – zaczyna powtarzać jak uparte dziecko.

– Właśnie Cyga...

– Co?

– Właśnie tam chciał mnie... chciał mi... no... sam wiesz co.

– A mówiłem, że świnia – chłopak zwraca udręczone spojrzenie na okno, jakby tam szukał potwierdzenia, ale za oknem tylko ciemność nie rozświetlona najmniejszym błyskiem – Jola – przyciąga do siebie dziewczynę i potrząsa nią jak przed chwilą ona nim – aleś nic... ale nic ci nie zrobił, co?

– Nic – odpowiada wyraźnie Jola i wyswobadza się z ramion Waleta – nic.

– Ale jakżeś mu... jakżeś go obcięła, z nim lepiej...

– On... – przerywa mu szybko Jola – on się strasznie bał grandy w domu.. znaczy... draki, awantury – recytuje jeszcze spieszniej, jak wyuczoną lekcję.

– Bał się? – mówi Walet trochę spokojniej. – A teraz się nie boi?

– Dlaczego? – dziewczyna znów czuje jak jej serce podchodzi do gardła.

– Bo mówisz: „Bał się”.

– Bał się przy mnie – oddycha z wysiłkiem Jola – bo mu powiedziałam, że będę... że jak mnie tknie, to całą chałupę postawię na nogi... Że zacznę krzyczeć, że będę się drzeć na całe gardło, że mu powyrzucam wszystkie graty przez okno. No... w ogóle...

– Przez okno? – chłopak otwiera szeroko oczy. Widać chce przyjrzeć się lepiej Joli jakiej dotychczas nie znał. Nawet nie przeczuwał. Gapi się na nią jak przedtem na zastawę na Cygowym stole – przez okno...

– No i co, że przez okno? Zbieraj się Kryś... I... i chodźmy już.

– Co mam się zbierać, jak się nie rozbierałem – gdera Walet, widać już się opamiętał, bo posłusznie naciąga wiatrówkę. – A on co na to, jakżeś mu tak przypalantowała? Stawiał się?

– Ty mnie nie znasz – próbuje stawiać się Jola, ale zaraz opuszcza głowę – nie znasz – powtarza bardzo cicho.

– Zawsze to mówię – potwierdza gorliwie Walet znad buta, z którym walczy. I co? Zmył się?

– Tak – odpowiada po sekundzie Jola – poszedł tam – wskazuje wzrokiem drzwi kuchenne.

– Sam? – głos Waleta nagle chrypnie, ale Jola odgarnia z czoła kosmyk włosów, jakby właśnie ten jasny lok najbardziej jej przeszkadzał w odpowiedzi.

– Nie – mówi wreszcie twardo. – Z wódką. Zabrał ze stołu tę napoczętą... gołdę i spłynął do kuchni.

– A teraz?

– A teraz śpi.

– Jak...

– Jak zwierzę – przerywa mu dziewczyna. – Możesz sprawdzić – zdumiony chłopak widzi jak Jola wskazuje palcem drzwi, jakby jego, Waleta wypędzała do Cygi. – No idź – powtarza – leży tam!

– Ale ja... chciałem tylko wiedzieć, jak to się stało, że się spietrał. Cyga nie z tych...

– Nie wiem – odpręża się Jola – i... i daj mi już spokój, Kryś. Przecież gdyby nie ty...

– Tak, kochanie – opamiętuje się Walet i wreszcie, jak przed paru godzinami i o parę godzin za późno, chce przygarnąć dziewczynę, ale ta wymyka mu się nagle z oczami rozszerzonymi nienawiścią, a gdy próbuje ją zatrzymać – uderza go w twarz. Brutalnie, po chłopsku.

– Jola!

– Chodźmy, Kryś – dopiero teraz dziewczyna sama rzuca mu się w ramiona. Kryś przygarnia ją ku sobie leciuteńko, zanurza usta w jej włosach i zaczyna je całować. Czyni to jak nigdy dotąd: ostrożnie, niemal ze strachem, żeby jej tylko nie spłoszyć. Ale Jola już ciągnie go za rękę ku drzwiom. Żeby jak najszybciej, żeby w tej chwili.

– Jolka – a klucz? Wyjdziemy? Cyga ma klucz.

Sam mi go pokazywał.

– To kłamał! – woła Jola – kłamał... kłamie jak z nut – poprawia się i biegnie do drzwi wyjściowych.

Na szczęście okazuje się, że tym razem Cyga nie kłamał. Klucz tkwi w zamku. Jola przekręca go i niemal siłą wyciąga za sobą Waleta. Już na schodach pyta go cichutko, przykładając usta do twarzy chłopaka:

– Kryś...

– Co, kochanie?

– Dlaczego nie chciałeś iść? Dlaczego się opierałeś?

– Chciałem z nim pogadać.

– O mnie?

– Może. Ale to moja sprawa. Z nim – odpowiada chłopak przez zęby – ale masz rację, Cyga może poczekać. Tylko ty nie... nie mieszaj się więcej do tego, Joleńka. Było, przeszło. Jedno jest pewne: nic nam dzisiaj nie wyszło. Ani dzień, ani... spotkanie. I to z mojej winy. Bo ja... –

uważaj, tu wysoki stopień! No, ale już podwórze...

W milczeniu przechodzą przez czarne i milczące podwórko, a potem przez sień ze wspomnieniem dziewczynki z różową kokardą. Pewnie już śpi – uśmiecha się chłopak w ciemności i nie wiadomo dlaczego czuje właśnie w tej samej chwili znowu ramieniem przy sobie strome piersi dziewczyny.

– O czym myślisz, Jola?

– A ty?

– Jeżeli mam być szczery – odpowiada cicho Walet – to o tej dziewczynce z bramy, którą przytuliłaś do siebie. Pamiętasz?

– Tak – jeszcze ciszej szepce dziewczyna – dlaczego o niej właśnie?

– Myślałem... no tak... – waha się chłopak – myślałem czy śpi.

– Cyga też – przystaje nagle Jola i podnosi rękę do ust jakby gestem obrony.

– Co powiedziałas? – Walet nachyla się do niej blisko, ale jest tak ciemno, że nie może dostrzec jej oczu. I nie wie jak to dobrze, że ich dostrzec nie może.

Sprawa

... „Pociąg osobowy z Katowic do Raciborza przez Orzesze-Rybnik wjeżdża na tor trzeci przy peronie drugim.

Planowy przyjazd pociągu godzina 23.05”... – nosowy głos dworcowej spikerki urywa się nagle przecięty blaszanym szczękiem odkładanego mikrofonu. Zaszurały odstawiane krzesła, kilkoro ludzi drzemiących przy stolikach otrząsa się z trudem z ciszy i zastałej atmosfery kolejowego bufetu wchodzącego w noc. Paru stojących przy kontuarze pijaczków przypatruje się w osłupieniu zamilkłemu głośnikowi, ale już po chwili każdy z nich wraca do swego piwnego rzemiosła. Stukają drzwi wiodące na perony, ktoś tam wyszedł z trzaskiem, za nim kilku innych. Jakaś kobieta w chustce na głowie przepycha się z trojgiem dzieci ku wyjściu. Jedno z nich wydziera się nagle na cały głos, aż podrzuciło bufetową ściągającą puste kufle spod zasięgu łokci piwoszew. Bufetowa wychyla zza kontuaru swe potężne popiersie i piorunującym spojrzeniem obrzuca wychodzących. Ale kto by zważał na takie pioruny. Normalka.

Za oknami zadudnił osobowy. Gwar, gwizdki.

Dwóch facetów staje w progu i próbuje przymierzyć się do scenerii bufetu, ale nikt nie zwraca na nich uwagi. Od razu widać, że obaj zalani jak makolągwy.

Zresztą kto ma się zająć przybyszami. Od zajmowania się są milicjanci. Właśnie w tej chwili mundurowy pan z okutym daszkiem zaziera do wnętrza. Przede wszystkim patrzy na okrągły zegar urzędujący nad bufetem. Natychmiast obaj kiwający się przy wejściu wyparowują mu pod łokciem na perony. Drzwi za sobą zamykają niemal z pieszczotą. Władza omiata salę osowiałym spojrzeniem, zatrzymuje na moment wzrok na hałaśliwej gromadce mężczyzn spierających się o coś przy dwóch zsuniętych stolikach, potem na samotnym podróżnym drzemiącym nad kuflem w kącie pod oknem, a wreszcie powraca do stałych klientów kończących przy bufecie swój piwny serial. Ale, dziś nie ma na eo patrzeć. Pijaczki zamarły pod surowym okiem, skamienieli w dziwnych pozach gdzie kto stał – alkoholowe archanioły. Ale ponieważ na religijne skojarzenie nie czas tu ani miejsce – milicjant jeszcze raz patrzy przelotnie na zegar, bufetowa jeszcze raz uśmiecha się do milicjanta, po czym oboje, jakby się umówili, przenoszą wzrok na zjednoczone stoliki pijaków, wybuchające co chwila okrzykami i śmiechem. W tej chwili jednak nie wybuchają ani się nie śmieją. Milczą. I to jest najdziwniejsze.

Człowiek w kącie unosi głowę znad kufla. Widać źle znosi milczenie sąsiadów. Dotychczas czuł się pewniej niż zwykle, zdążył już się zaaklimatyzować w tej bufetowej przestrzeni, między tymi okrzykami. Ale teraz...

Teraz rzuca spłoszone spojrzenie za siebie, na ścianę okienną, ale tam nic nowego. Ściana jak to ściana. Można spokojnie wrócić do siebie, to jest do kufla. Człowiek pod oknem wprawnym ruchem doprowadza swoje smutne piwo do stanu używalności, ale natychmiast zapomina je wypić. Znowu ktoś krzyknął przy stoliku i zaraz zadzwoniło szkło na blaszanej ladzie bufetu – takiej... z dziurkami... – kiwa głową mężczyzna przy oknie. Oczywiście powinien się przy tym uśmiechnąć do swoich wspomnień, ale się nie uśmiecha. Milicjant, też oczywiście, odszedł już dawno. Osobowy do Raciborza również. Do kogo tu się uśmiechać...

W tej chwili rozskakują się drzwi pchnięte mocną ręką i do bufetu wtacza się jeszcze parę grupiek spóźnionych gości. Od razu poznać bywalców. Kilku z nich otacza dwóch zalewajków, którzy niedawno wysliznęli się posterunkowemu a teraz w triumfie i z obstawą wracają na pole bitwy, poklepywani i dobrodusznie popychani przez swoich spragnionych pretorianów, w stronę kontuaru (tego z dziurkami w blasze). Obstawa, trzeba przyznać, gorliwa. Czuje łup i jeleni, którzy będą stawiać. Za chwilę będą stawiać tu piwo! To przecież można poznać na milę. Za nimi wyskakuje z nocy jakaś blond dziewczynina w ciemnych dżinsach i wiatrówce, ale zaraz w progu zatacza się na framugę drzwi i bezskutecznie próbuje się od nich oderwać. Dopiero ujęta pod ramię przez dwóch starszych facetów w kolejarskich kombinezonach wpływa z nimi na środek sali. Ale tutaj nagle przystaje i odpycha od siebie ze złością obu towarzyszy widać zanadto gorliwie wykorzystujących własne ręce do jej holowania. Jednego z nich tak skutecznie trafia pięścią w twarz, że ten odtrąca ją w stronę kolegi i wściekły kieruje się ku strefie zjednoczonych stolików po lewej, skąd padają pod ich adresem podjudzające okrzyki. Za nim nadpływa drugi z przybyłych trochę zażenowany swą chwilową rycerskością.

Istotnie, porzucona na środku sali królewna nie bardzo usprawiedliwia swoim wyglądem zainteresowanie obu mężczyzn, którzy tymczasem zdążyli już wpaść w ramiona kumpli wiwatujących na ich cześć. Obaj zresztą odbijają zaraz od stolików ku bufetowi i po chwili powracają już do towarzyszy z kuflami pełnymi pianistego szczęścia. A w tym szczęściu nie ma miejsca na jakiegokolwiek fidrygały z zapłakanymi babkami.

W tej chwili chodzi o to, żeby w drodze powrotnej, od bufetu do stolika nie uronić ani szczypty piany. I tylko to może być ważne.

A dziewczyna? Stoi tam gdzie ją postawili obaj kolejowi rycerze i przygląda się im z nienawiścią. Kręci przy tym głową, jakby trudno jej było uwierzyć, że coś takiego może istnieć na świecie. Ale nienawiść nienawiścią a na nogach ustać trzeba, bo chociaż ten drań Stasiek przepadł na wieki, a w każdym razie na dzisiejszą noc, ale tu i tylko tu, w tym kolejowym bufecie jest to wszystko, czego trzeba takiej właśnie dziewczynie w taką cholemną noc, kiedy człowieka porzuca drugi człowiek, i to porzuca tak podle, tak okrutnie jak ten szmaciarz. Pewnie siedzi sobie w tej chwili w przedziale i zaczesuje te swoje krzaczaste baczki i brwi, tym samym grzebykiem – duma – w kształcie dziewczęcej nóżki, który mu kupiłam na dworcu w Rybniku. Dwanaście pięćdziesiąt zapłaciłam za tę francowatą nóżkę – myśli mściwie – a przecież Stasiek mógł mieć każdej chwili moje obie nóżki, jedną i drugą, prawdziwe, nie z plastiku, żywe nóżki, „jak u sarenki”, bo tak właśnie nazwał je wtedy na stawie, kiedy mnie w lipcu podrywał w Goczałkowicach. Taki gnojek, a zaraz, tego samego popołudnia, kiedy tylko wsiedliśmy do łódki – tak właśnie o nich powiedział: „pani ma takie śliczne, dziewczęce nóżki. Jak u sarenki. Nawet sama pani nie wie, co pani ma i ile to warte”. I zaraz pchał się z łapami do tego, o czym ja niby nie wiedziałam, ile to warte. Ale wtedy to ja już naprawdę nic nie wiedziałam, poza tym, że on, Stasiek, jest taki śliczny i taki czarny i że pod nami łódka się kołysze. A dzisiaj...

A dzisiaj kto to prysnął przede mną do ruszającego wagonu? Kto mnie pchnął od siebie, że o mało nie wpadłam pod koła? Że niby dzisiaj on sam, że musi sam wracać dziś do Raciborza, bo ma tam sprawy. Sprawy!

Już ja wiem jakie. Jedna sprawa, to ta stoperczata Antośka, córka tego maszynisty, co na odkrywkowym fedruje. Taka swołocz, już ja wiem jak do niej uderzy zaraz po przyjeździe do Raciborza. Od razu, prosto z wagonu podskoczy do tej zarazy. Jak tylko tam wyprysnie na peron – prosto do niej. Jak w dym. W nocy!

Ciekawa jestem, co ona mu kupi za tę noc. Pewnie szelki.

– A wtedy, w lecie – odzywa się nagle na głos – a wtedy, w Goczałkowicach pod kim to się łódka kołysała? Pod Antośką, czy pod nami, Stasieńku? Pod kim? – powtarza rozżalonym głosem i unosi głowę, pięknym, trochę dzikim ruchem, odrzucając z twarzy włosy opadające jej z czoła. Jasne fale dziwnie pięknych włosów. W tej samej chwili człowiek siedzący pod oknem też unosi głowę znad kufla. I też widzi te włosy, zanim dojrzał twarz dziewczyny zalaną łzami.

Dopiero teraz oczy ich się spotykają.

– No, co tak patrzysz, frajerze – szepce dziewczyna, wycierając kułakiem zamglone źrenice –

co się gapisz? Człowieku... – chrząka i próbuje się wyprostować, ale bez skutku, wciąż ją ciągnie ku podłodze, ku tym wydeptanym, zapluty flizom posadzki – człowieku – powtarza głośno i wyraźnie – ciężko przegranej dziewczyny nie widziałeś? To teraz masz oka... okazję – chybnęła się ku progowi raz i drugi i już jest przy oknie, tym razem równiutko, na prostych nogach. Aż usta zaciska, tyle ją kosztuje zachowanie za wszelką cenę równowagi. Już przysiada na odsuniętym krześle, twarzą w twarz z tamtym człowiekiem wciąż w nią zapatrzonym. – Wi... widzisz babkę zalaną w sztok i pewnie coś... pe... pewnie – zająkuje się – coś sobie myślisz. Ale źle myślisz, bo to... to nie ja... to on mnie tak... ustawił... na koro... kolorowo – poprawia się z trudem – Stasiak mnie tak zaprawił, żeby... żeby prysnąć kiedy chce, a mnie tu zostawić. Bo on sam, rozu... rozumiesz, Stasiak, on musi do Raciborza. Aż go śwędzi, tak musi. Sprawy tam ma – słyszysz, sprawy. No a jak on ma sprawy, to zawsze wychodzi tak, że on musi być wtedy gdzie... gdzie indziej niż ja. Dlatego on teraz w tym... w Raciborzu, z Antošką, a ja z tobą tu, z tobą, w tej... w tym bufecie. Taki właśnie on jest, Stasiak, już ja go znam... A ty... no, co tak patrzysz?

Mówię do ciebie, o Stašku i tej cizi mała... łamagowatej, a ty nic, ani... żebyś choć... chociaż co ty możesz wiedzieć o nim – o Stasiu... taki z ciebie gł... głób... głób, głuchoniemy czy co? Żebyś choć – nachyla się ku siedzącemu – wiesz jak wygląda taki grzebyk, czar... czarny jak on, z plastiku czy z innej cholery, wiesz choć? – szepce gorączkowo i patrzy z napięciem w twarz tamtego.

– Jaki grzebyk? – pyta chmurnie mężczyzna. – Czego pani... czego chcesz?

– Przecież mówię; czarny. Z plastiku. Taka... babska nóżka. O, widzisz – dziewczyna chce podciągnąć nogawkę džinsów – nie, nie mam dziś na sobie tej sukienki... Wtedy byś zobaczył. Ale ty byś pewnie i wtedy nie zobaczył... nie – powtarza i kręci głową po swojemu aż jej te blond kosmyki smużą się po twarzy – odpędza je niecierpliwą dłonią i przygląda się towarzyszowi przekrzywiając głowę jak zdumiony szczeniak – nie – powtarza uparcie – ty nie Stasiak... Prawda?

– Nie – odzywa się chrapliwym głosem mężczyzna – nie wiem o czym mówisz. I nie chcę wiedzieć. Rozumiesz?

– Nie... nie muszę rozumieć. Takim prawem, że jestem zaprawiona. To Stasio mnie tak... a co, nie mówiłam ci – patrzy na tamtego z takim zdumieniem jakby go dopiero w tej chwili dostrzegła. Nie mówiłam ci o Stasiu?

– Daj mi spokój. Jesteś zalana, twoja sprawa. Ale mnie się nie czepiaj.

– Nie... nie podobam ci się? – Dziewczyna odgarnia włosy z twarzy i odchyła się w krześle, wysuwając twarz ku światłu, jakby chcąc mężczyźnie ukazać całą swą krasę. – Nie... niemożliwe. To ty kłamiesz. Ja się wszystkim podobam. Nawet Stasiek do teraz woła na mnie: „Śliczna Jadźka!” Nie zawsze tak woła, to fakt – opuszcza powoli głowę i zapomina o włosach – i nie przy ludziach – dodaje znów ciszej – najczęściej po kielichu. Ale mów! A tobie... A tobie się nie podobam.

Tak?

– Nie mówiłem tego. Powiedziałem tylko, że jesteś zalana.

– To ja powiedziałam. A ty mi na to, żebym się ciebie nie czepiała. Tak? – Okazuje się, że jeszcze nie jest tak pijana jak sama myślała – ale Stasiek...

– Daj mi spokój z tym Staśkiem, dziewczyno – odzywa się mężczyzna znękanym głosem. – Śliczna jesteś, zgoda – dodaje niespodzianie – ale powiedziałem ci: daj mi spokój.

– Nie masz forsy, co? Ale nic się nie martw, podobasz mi się, a ja, kiedy ktoś mi się podoba, to bym mu wszystko dała. Serce bym z piersi wyjęła i dałabym – deklamuje i chwytając towarzysza za rękę. – Taka jestem! Możesz zapytać kogo chcesz... Trochę mnie tu znają, o, choćby ta Gośka przy bufecie, jej Małgosia na imię, ona ci powie jaka jestem. Albo tamtego kolejarza z teczką, tego mniejszego z tych dwóch, którzy mnie tu przyprowadzili... Chociaż nie, jego nie pytaj, to kumpel Stasia...

– Nie będę nikogo o nic pytał – mężczyzna próbuje uwolnić rękę z dłoni Jadźki, ale niezbyt mu to wychodzi, bo dziewczyna oplótła ją teraz mocno oburącz – nie będę – szepce przez zęby – a poza tym zaraz mam pociąg...

– No właśnie... – śmieje się nerwowo Jadźka – do mnie?

– Co?

– Pociąg do mnie – przyznałeś się.

– Do Katowic – odpowiada powoli mężczyzna i w tym momencie udaje mu się wyswobodzić rękę z dłoni dziewczyny.

– Aha – uśmiecha się niewesoło Jadźka, ale zaraz ożywia się. – A jak ci na imię?

– Po co ci wiedzieć?

– Boisz się? – teraz głos dziewczyny zaczyna niebezpiecznie wibrować. Wygląda jakby nagle wytrzeźwiała.

– Co się mam... – urywa mężczyzna – Władek, jak chcesz wiedzieć. Albo co?

– Wła-a-dek – przeciąga Jadźka, jakby przyglądała się po kolei każdej literze tego imienia – ładnie. Władus, weź mnie...

– Co takiego?

– Weź mnie z sobą do Katowic. Co ci szkodzi.

– Nie – odpowiada krótko tamten ze stężoną nagle twarzą.

– Żony się boisz – dziewczyna kiwa głową ze zrozumieniem. – A obrączka? Schowałeś, draniu – znów przyłapuje na stole rękę Władka i przygląda się jej bystro jak wróżąca Cyganka – co... co za cholera – szepce przez zęby – ani śladu obrączki! Kawaler! I taki fajny! – przesuwając rękę po ramieniu mężczyzny a potem po jego szyi i twarzy. – Skąd się taki wziąłeś? I co ty tu robisz po nocy w tym bajzlu. Jak to się stało, że ciebie nigdy tu nie widziałam, Władek? Co?

– przyciąga nagle jego głowę do swej piersi i szepce pośpiesznie – taki chłop. Jak tur. I łapy masz takie...

Poniał? Spokojne, dobre. Nie kiziorskie. I taki mi się trafia w tę noc. A kiedy mi się już trafia raz w życiu, to truje, że musi jechać do Katowic. Sam! Jeden do Raciborza, drugi do Katowic. Ale szczęście, co? A co ja mam robić? Zostać tu, tak? Znowu sama? Albo z pierwszą lepszą łajzą, jaka się nawinie przy tym stoliku, tak jak ty teraz. I którą... – urywa zdyszana – którą znów trzeba będzie zapytać czy mu... czy jestem fajna, czy mu się podobam, bo inaczej nawet kielicha nie postawi u Kozika. Jest tu taka melina za stacją, Kozik.

Możesz tam dostać gołdy o każdej porze. Skolko ugodno. Ale ty jej pewnie nie znasz. Gdzieżby! Ty jesteś dla byle durnej Jadźki taki więcej... święty Mikołaj.

Raz do roku może się trafić. Albo i to nie. Ty jesteś... wiesz co ty jesteś – czekaj, siedź! – przytrzymuje ramię mężczyzny widząc, że ten zabiera się do odejścia – siedź do cholery i słuchaj co ci powiem, bo jak nie, to ci tu odstawię taką drakę na dwadzieścia cztery fajerki, że cię rodzona babka nie pozna. Ta w Katowicach. Nie rozglądaj się, potem będziesz się wstydził.

Teraz słuchaj. Wiem, że ci się podobam. Widziałam jakżeś na mnie patrzył przez cały czas. I myślałam... zdawało mi się nawet przez chwilę, że ty... że mi z tobą... – urywa, bo łkanie przerywa jej głos – że właśnie ty... no, co tak patrzysz? Do ciebie mówię. Nie pasuje ci, co? Bo ty jesteś... bo ty możesz być dla mnie jaki chcesz. Pewnie, chłop jak smok, co takiemu bida zrobi. A ja... a mnie...

– Zamknij się, do cholery! – warczy mężczyzna i jednym chwytem przytrzymuje ręce Jadźki

biegające po stole jak rozbiegane zwierzątka. Ale teraz dziewczyna zaczyna mu się wyrywać z wszystkich sił.

– Taak, teraz to tak, „zamknij się” i szlus. Co?

Morda w kubeł, co? – wykrzykuje na cały głos – bo jaśnie pan każe. Władzio każe! Władeczek, psia jego mać. Co tak zęby pokazujesz jak wściekły pies? Ale nie.

Jaki z ciebie pies. Myślisz, że ci wszystko tutaj pasuje w tym bufecie i przy tym piwie – jednym ruchem ręki strąca jego kufel na kamienną posadzkę, ale jej oszalały krzyk przebija się nad trzask tłukącego się szkła aż gwar dokoła milknie jak nożem ucięty – myślisz że jesteś ważny. Pan... pan Władzio Nie-tu-tej-szy – rozciąga to słowo wrzaskiem na całą salę. Przy stolikach cisza jak makiem siał. Przy bufecie wszystko zamarło, nawet Gosia przywiera tłustymi piersiami do kranu z piwem. Tylko jeden z fundujących przy kontuarze jeleni, widać ten bardziej zalany, unosi powolnym ruchem ponad głową ręce z dwoma pustymi kuflami i tak zastyga jak nie przymierzając książkę Witold pod Grunwaldem z obrazu Matejki.

Może to nawet on, wielki książę litewski zawinił temu, co się stało. Bo w tej samej chwili w ciszy znowu ten ostry, trzeźwiuteński głos Jadźki. Widać tak właśnie na nią podziałał ten sygnał bojowy od bufetu.

– Wiesz, co ty jesteś? Wiesz? Ty nie jesteś wcale fajny Władzio. Ty jesteś świnia. Tak. Jesteś...

– Co... coś ty powiedziała? – ochryply głos Władka gasi krzyk dziewczyny, jakby kto zdmuchnął świecę.

Ale tylko na sekundę.

– A tak. Myślisz, że się ciebie boję. Masz! – dziewczyna przyskakuje do siedzącego i uderza go w twarz Na odlew. Ale już odbiega od niego i odgradza się krzesłem. Wszyscy widzą jak oparcie krzesła dygoce w jej rękach. Ale nic się nie dzieje.

Dopiero po chwili Władek podnosi się powoli, wspierając się o stolik. Teraz odwraca się z trudem i wyciąga zza pleców dwa nowiuteńkie szczudła. Mocuje się z tymi kulami, przekłada je niezgrabnie spod jednej ręki pod drugą, wspiera na lśniących, obitych skórą kabłąkach kikut prawej nogi, potem lewej, odsuwa bokiem stołek tarasujący mu drogę i rusza ku wyjściu ze straszliwym metalicznym stukotem.

Przy drzwiach ma trochę kłopotu z wyjściem. Ale to już jego sprawa.

Cień chwały

– Ciężki będziemy mieli dzisiaj dzień, Salmonie – wysoki starzec prostuje się z trudem nad legowiskiem wymoszczonym minionej nocy podczas burzy – w piasku pustynnym, i drapiąc się leniwie w żebra osmalone słońcem, kiwa głową ze smutkiem – ciężki – powtarza – niedaremnie Heliosowe strzały, które zbudziły nas o świcie po burzy miały kolor krwi – dodaje niewyraźnie, bo znów musi zasłonić usta gałganem chroniącym szyję i twarz przed natrętnym kurzem pustyni.

Wciska się toto wszędzie, zalepia oczy, nozdrza i uszy, wgryza się w każdą zmarszczkę, jadzi skórę, doskwiera, piecze i rozdrażnia do białości. A przecież rozdrażnienie nie przystoi staremu człowiekowi, filozofowi z doświadczenia, a nauczycielowi z wyboru. Jakiż to przykład dla uczniów, Salmonie – karci się w głos, zadowolony, że może usłyszeć sam siebie. Wie doskonale, że gadanie z samym sobą to przywara ludzi samotnych, ale są przecież przywary, które ułatwiają życie, i zalety, które potrafią je zmienić w grzęzawisko niepokojów.

Takie gadulstwo w pojedynkę to przecież skarb. Właśnie na pustyni, która przydaje twoim słowom myśli, a twoim myślom skrzydła. To właśnie ona, pustynia, każe twoim uszom, Salmonie, słyszeć śpiewy swych piasków przebieranych palcami wiatru, to właśnie pustynia rozkwita dla twoich oczu różowymi pocałunkami Heliosa na wierzchołkach białych skał, sinymi zakolami cieniów na wydmach odwróconych od słońca o świcie twarzą, a ku wieczorowi plecami. Spójrz tedy Salmorie, nauczycielu biednych, jaki jesteś bogaty każdego dnia, gdy zdążasz przez pustynię ku swoim uczniom w oazie Tegriss – i każdej nocy, gdy ogromnieje niebo a Selene, Heliosowa siostra, „rozpoczyna żeglugę wśród gwiazd.

Noc. Spędzasz ją przecie nie tylko w starczych marzeniach, ale i w oczekiwaniu, zawsze pełnym nadziei, na dary, które przyniesie świt. Niepoprawny starcze! Ale najważniejsze, Salmonie, to świadomość, ostatnia przed snem myśl, że oto składasz swój łysej czerep na łonie całej Zachodniej Pustyni. Jedynej przecie w świecie.

Świadomość szczęśliwa – że w jej oddechu zasypiasz.

Jakże nieszczęśliwi, jak bardzo biedni i pożałowania godni wydadzą się wtedy ci, których zmysły są za ubogie, żeby brać udział w tych darach bogów, jakie te piaski mogą ofiarować. Ofiarować, Salmonie, tylko wybranemu. Co? Pomyśl, jak szczęśliwy jesteś, nieznanym filozofie z Karanis, pustynnego miasta zbudowanego z surowej cegły przed ilu to tysiącami lat. To znaczy,

jak szczęśliwy byłbyś – poprawia się natychmiast – gdybyś mógł sobie pozwolić na to szczęście i gdyby nie zaskoczyła cię ta epoka, w której przyszło ci uczestniczyć w śmierci Hellady. Oto dlaczego uciekasz. Ale nie ma takiej pustyni, na której by cię ta prawda nie dognała. I ty sam wiesz o tym najlepiej, Salmonie.

Wzdychając ciężko Salmon przysiada na ciepłym piasku, – wyciąga z sakwy pszeny podplomyk i żuje go w skupieniu, kawałek po kawałku. Kiedy sięga po drugi i podnosi go do ust, zatrzymuje się nagle i próbuje rozejrzeć dokoła, jakby właśnie teraz, w tym skwarze dojrzewającego sierpniowego przedpołudnia dostrzegł własną myśl trapiącą go od rana.

– Co z ciebie za mędrzec, Salmonie, i o jakim to szczęściu marzysz. A o tym nie pomyślałeś, staruchu, że to może ostatni dzień tego szczęścia, ostatnia jego chwila. Czyż nie trapią cię już od roku złe sny o okrutnym losie naszej monarchini, siódmej Kleopatry i jej walecznego małżonka, Antoniusza. Ileż to razy w ciągu tego właśnie roku zrywałeś się ze snu, zlany zimnym potem, drżąc od bitewnych wrzasków, jakbyś sam, ty, starzec, płonął żywcem, umierał od rzymskiej dzidy i miecza, jakbyś sam, własnym ciałem, tonął poszarpany na sztuki we wzburzonej toni ambrakijjskiej zatoki.

A ileż to jeszcze razy chcesz przeżywać we śnie to egipskie nieszczęście pod Akcjum, ten zeszłoroczny straszliwy wrzesień – ty, wolny Grek egipski, mieszkaniec najbogatszego nomu, Fajum, dotąd najspokojniejszego zakątka naszej ziemi. I ty mówisz o szczęściu, Salmonie? Jakżeś to przedtem prawił – że będziesz miał dzisiaj ciężki dzień, tak? A o tym, że cały nasz świat, cały nasz, tak przez ciebie ukochany, helleński świat zanurza się z każdym dniem w straszliwą, barbarzyńską noc, w której słyhać już tylko ciężki krok żołdackich kohort Oktawiana – o tym nie pamiętasz, czy pamiętać nie chcesz?

Idzie noc, filozofie. Noc nie człowiecza, która się nigdy nie skończy. Noc barbarzyńców – nox barbara. Czy warto jej doczekać? Pomyśl nad tym, starcze, zanim ruszysz w drogę do twoick uczniów, o których nawet nie wiesz, czy ich oszczędziły żołdackie miecze – kto by tam oszczędzał paru nędznych Koptów czy kleruchów, których ojcowie parają się sochą. Wojna przecież!

A nawet jeżeli udało im się zachować głowy, jeśli żyją, i zechcą posłuchać nawet dzisiaj mnie – który zawsze, od kiedy mnie znają, wpajał im w serce i umysły to, czym jest wolność i jak ją miłować należy – to co im powiem dzisiaj, w godzinie próby, gdy stanę przed nimi. Jak im spojrzę w oczy. Jak przekażę im to, o czym sam się dowiedziałem wczoraj od Glaucosa. Jak

im opiszę, jak im odmaluję tę straszną prawdę o końcu naszego świata, świata nauki i filozofii, sztuk i talentów dojrzewających pod stropami Aleksandryjskiej Biblioteki, otwartej w mądrości i pokoju dla wszystkich, zawsze, i na wszystkie świata strony. Ale tylko w mądrości i pokoju. A tu wojna. I grabież i pożary. I krew tryskająca wszędy, spod tych samych mieczów. Krew równie obficie zalewająca oczy moich koptyjskich chłopaków w oazie Tegriss, co zwoje papirusów i wszystkie inne bezcenne ptolemejskie skarbców. O czym mam mówić tym chłopcom, jeżeli żyją? Jak powołać się na wczorajsze prawdy, na świat istniejący do ubiegłego dnia, na życie w pokoju, którego już nie ma, na świat dahabiji sunących Nilem ku portom, a naładowanych złotą pszenicą, na życie pozbawione wszystkiego, co tworzy jego sens: prawa do zadumy w obliczu bogów i radości w obliczu przyrody, prawa do statecznej miłości małżonków ale i do miłosnej obłapki młodych, do gromkiego śmiechu i wyzwających od rozpaczyny łez, do śpiewu i pieśni dzwoniących melodiami cytar i fletni. Pieśni śpiewanych mową koine zrozumiała zarówno dla Greków jak i Egipcjan i właśnie po to wymyślona. Jak? Jak? Jak?

A może powtórzyć im słowa Glaucosa o królowej mórz, Aleksandrii, rzuconej do nóg zwycięzcy, którego nie stać na miłosierdzie i który nie zdobył się nawet na wspaniałomyślność przystojnego pogrzebu dla pokonanego rywala i drży ze strachu, żeby mu nasza wspaniała władczyni nie uciekła w śmierć, zanim nie przykuje jej, siódmej Kleopatry, do swojego zwycięskiego rydwana podczas triumfalnego pochodu w Rzymie. Potem, po triumfie, postara się oczywiście o to, żeby jej tę śmierć ułatwić. Bo Oktawian już taki jest – niczego nie dotrzyma nikomu, tylko sam sobie. Nikczemność, zdrada i przemoc suną u jego boku. Z nimi wpłynął pod Akcjum. Z nimi wkroczył do naszej stolicy. Z nimi sięgnął po Egipt.

A ja tu o szczęściu... A ja tu o wolności... Pewnie dlatego, żeby nie słyszeć samego siebie, żeby nie uwierzyć, że taka godzina nadeszła. Że mogła nadejść.

Nie dopuszczałem tej myśli do siebie. Nawet wczoraj, gdy spotkałem Glaucosa wysłanego przez monarchinię do nas, do Fajum, w tej ostatecznej potrzebie, po te dwa pułki jazdy numidyjskiej, które u nas stacjonowały. Nawet wtedy, gdy już wiedziałem, że Glaucos się spóźnił o dwa dni, bo Numidowie zdążyli zdradzić, przeszli na stronę fałszywego Cezara i ruszyli na Memfis, ku Aleksandrii. A przecież wiedziałem też, że nie tylko oni, ale prawie wszyscy, którzy mogli sobie pozwolić na zdradę – zdradzają. Nie tylko Rzymianie w służbie Antoniusza, ale i wasale królestwa. Od konsula Domitiusa Ahenobarba, przecież zaufanego naszego Cezara, całej armii lądowej pozostałej po morskiej klęsce, po niewiernego króla żydowskiego, Heroda, i od

czterech wyborowych legionów zostawionych przez Antoniusza w odwodzie dla obrony Egiptu – zdradzili wszyscy. Ostatni hufiec wiernych mu azjatyckich gladiatorów, na jaki liczył do ostatniej chwili – został w marszu napadnięty przez legion Oktawiana i wycięty w pień na rozkaz ich wodza, Messalli. Nie było komu bronić Aleksandrii. Tak wyglądała zdrada.

Ale przecie w orszaku zdobywcy kroczy nie tylko zdrada. O niej wiedzą wszyscy, którzy z nią się zetkną, jak o zarazie, jak o morowym powietrzu. A przecież wciąż znajdują się tacy, którzy z niej żyją. Ale od Glaucosa, mego dawnego ucznia, a do wczoraj zaufanego wysłannika najjaśniejszej Kleopatry – dowiedziałem się o tym, czego jeszcze żadne ludzkie ucho nie usłyszało. Onże Herod, wasal królewski z łaski właśnie Marka Antoniusza, namawiał go, żeby uwolnił się od tej miłości, której mu tyle królowa ofiarowała. Po prostu ośmielił się namawiać swego wspaniałomyślnego protektora, żeby zabił swoją współwładczynię. Tak – strach nawet pomyśleć, ale tak właśnie mu radził. Lecz cóż znaczyć mogły podszepty zuchwałego żydowskiego królika, skoro przed kilku dniami nie kto inny, ale sam Oktawian, nasz nowy Pantokrator i najbardziej pyszny wróg siódmej Kleopatry, odłożył na bok swą pychę..tylko po to, żeby Najjaśniejszej podsunąć myśl godną najemnego zbira z Zatybrza, a nie Cezara, nawet fałszywego Cezara. Poradził jej, żeby zamordowała Antoniusza. Jej! Oto sposób walki godny nowego wodza Romy.

Przedstawiciela jej dumy i potęgi.

Tak wyglądała w tej wojnie nikczemność.

Czy warto wobec takich dwóch sojuszniczek nowego Cezara naszej doby – czy warto zatem myśleć jeszcze o trzeciej? O przemocy?

Na to pytanie nawet Glaucos nie dał mi odpowiedzi.

Nie musiał już odpowiadać. Był ostatnim z najbliższych królowej, który z nią rozmawiał przedtem, zanim się zamknęła z dwiema tylko służebnicami w swoim mauzoleum, które sama sobie wystawiła. I to właśnie on, Glaucos, upewnił mnie wczoraj w Fajum, że królowa tej przemocy się spodziewała. Dlatego zamknęła się przed zwycięzcą w górnej sali grobowca. W dolnej kazała umieścić wszystkie swe skarby i obłożyć je materiałami łatwo palnymi. Wiedziała zaś dlaczego to czyni.

Triumfatorowi chodzi nie tylko o śmierć Antoniusza i nie tylko o czasowe utrzymanie przy życiu Najjaśniejszej, po to, żeby uświetniła jego triumf w Rzymie. Przede wszystkim tak wiele wie on o ogromnych skarbach Kleopatry, że ani przez chwilę nie myśli ioh się wyrzec.

Dlatego tak szczelnie obstawiał mauzoleum swoimi ludźmi, a do samej królowej przysłał swego zaufanego towarzysza, Prokulejusza, rycerza rzymskiego, wraz z wyzwolencem, Epafrodytem. Oni właśnie dwaj, pod pozorem opieki, mają za zadanie nie spuszczać z oka monarchini i jej obu służebnic. Glaucos zdołał się w ostatniej chwili przed ich przybyciem wyśliznąć z mauzoleum. Niestety, jak już dziś wiadomo – za późno i na próżno, jako że do tych wszystkich nieszczęść doszła jeszcze i zdrada Numidów. Dlatego też zaklinałem Glaucosa, żeby nie wracał do Aleksandrii. Królowej nie pomoże i sam zginie. Ale Glaucos... wiedziałem, że mnie nie posłucha. Nawet byłem pewny, że mnie nie posłucha, bo sam go kiedyś uczyłem, trzech największych ludzkich cnót: stałości, wierności i człowieczeństwa.

Dlatego choć nalegałem na niego, żeby zaniechał powrotu do swojej władczyni, ale wiedziałem, że było to tak, jak gdyby on próbował namówić mnie, swego nauczyciela, żebym zrezygnował z dzisiejszej wędrówki do oazy Tegris, bo wojna z pewnością doszła tam przede mną i uczniowie moi, jeśli nawet żyją, to w niewoli u cezariańskich żołdaków. Ale wiadomo, że i tak bym poszedł, bo wiem, że w takich obierzach jestem im tym bardziej potrzebny. Właśnie tak, jak on, Glaucos – Kleopatrze.

Tak oto Glaucosie, uczniu mój i przyjacielu – wierność i stałość. I jeszcze człowieczeństwo, oto nasze zbroje i puklerze. Człowieczeństwo przeżywane nie tylko jednostkowo, ale i we współżyciu z tymi, których z woli bogów spotykamy na drogach naszego życia. Najszczęśliwsi z nas posiadli cnotę utrzymywania tych cech w absolutnej harmonii. Ale ilu jest takich? Nawet ja sam, stary samotny pająk, Glaucosie, nawet ja sam, Salmon Grek, nie bardzo sławny filozof z pustynnego miasta Karanis – czuję znowu krew w żyłach, gdy patrzę w roziskrzone oczy tych młodzieńców z oazy Tegris, bo wiem, że to właśnie moje nauki i prawdy w nich zawarte zapalają te błyski w ich źrenicach. To jest coś, dla czego warto żyć. Nawet w dniach barbarzyńskiej przemocy, które toczą się ku nam popędzane mieczami legionistów nowego Cezara, ostrzami włóczyń jego jezdnych. A za przemocą, zdrada i nikczemność, starzy znajomi.

Ale Glaucosie – z nami są inne kohorty i legiony, nieprzejednane i nie do pobicia. Prawda, przyjacielu helleński? Trzy falangi niezwyciężone. Bo nie ma takiego miecza i nie znajdziesz nigdzie takiej włóczyń, procy ni strzały, która by mogła obalić i zniszczyć kohorty wierności, manipuły stałości i legiony człowieczeństwa.

Na całym świecie nie znajdziesz takiej siły. Cezarze – Salmon prostuje się nagle na całą wysokość i obraca ku północy swe surowe oblicze pobrużdżone bliznami czasów i przeżyć. –

Przybywaj, Cezarze! – woła ochrypłym głosem w pustkę rozedrganą nieskończonym wołaniem piasków.

I oto z ledwo dosłyszalnej dali szeleszczącej pustynnym śpiewem – wyłania się jakiś osobny dźwięk, obcy tutaj i niepokojący. Odgłos ludzkich kroków grzęznących w sybkim piasku. Po chwili milknie, widać wędrowiec odpoczywa. Ale nie. Znow go słyszeć. Salmon cofa się szybko, opiera plecami o wydnię i zakłada ręce na piersiach. W tej chwili u brzegu najbliższej wydmy rozkurzonej przez wiatr pojawia się sylwetka mężczyzny zataczającego się na nogach z wysiłku. Za chwilę Salmon widzi go już z bliska. Przybysz przystaje co chwila, chwyta haust powietrza w płuca i znowu rusza przed siebie. Salmon przygląda mu się marszcząc brwi i zakrywając oczy wierzchem dłoni. Teraz już nie ma żadnych wątpliwości. To żołnierz rzymski. Może dowódca, bo kita na hełmie, który niesie w dłoni zabarwiona jest purpurowo, a krótki miecz przypięty rzymską modą u prawego boku tkwi w ozdobnych rapciach. Ale poza tym wojak wygląda opłakanie. Głowę w skołtunionych i strupieszalnych w pustynnym upale kędziorach owinał brudnym gałganem oderwanym od tuniki. Poza mieczem nie widać przy nim innej broni.

Ani śladu włóczni, tarczy czy nagolenników. Ze skórzni na stopach i rzemieni przytrzymujących je pozostały tylko strzepy. Przybysz resztką szmaty zwisającej z głowy przysłania usta przed piekielnym pudrem pustyni zatykającym oddech. Ale drżąca ręka wciąż dzierży kurczowo ciężki wojacki hełm z żałośnie sponiewieraną szkarłatną kitą. – Tyle ci tylko pozostało, nieszczęśniku – przelatuje Salmonowi przez myśl – z twojej wspaniałej Romy, która cisnęła cię aż tutaj, w pustynie osłaniającej przed takimi jak ty życiodajne zielone rozłogi naszego Ojca, Nilu. Tyle stóp, stadiów i mil przemierzyłeś, żeby tutaj dotrzeć. Żeby jedna burza piaszczysta uczyniła z ciebie to, czym jesteś w tej chwili: ludzki strzep usiłujący uchwycić łyk egipskiego powietrza spieczonymi ustami. W imię czego wleciesz z sobą ten wspaniały szyszak, czyj splendor reprezentujesz tutaj? Romy? Ale Roma daleko. Legata czy konsula dowodzącego twoim legionem? A może samego Cezara Oktawiana, największego łupieżcy, łasego na ptolemejskie skarby?

Nagle starzec milknie, choć ostatnie myśli wygłaszał już swoim zwyczajem na cały głos – bo przybysz dostrzegłszy go prostuje się na całą wysokość i z dużym wysiłkiem zakłada na głowę pozłocisty hełm. Bystre oko Salmona dostrzega przy tym, że dłoń żołnierza dotyka na moment główki miecza, jakby nadchodzący chciał się upewnić czy broń jest na swoim miejscu. Teraz przeciera oczy wierzchem dłoni i próbuje ustać mocno na nogach, choć widać ile wysiłku go to

kosztuje.

W końcu unosi dłoń na wysokość piersi i odzywa się zardzewiałym głosem.

– Pax vobiscum, homines! Pokój z wami, starcy! – poprawia się natychmiast w języku koine używanym na całym Oriencie. Zaraz też wybucha suchym pustynnym kaszlem, jak każdy cudzoziemiec zabłąkany w te strony. – Pokój z wami! – powtarza i podchodząc parę kroków rozgląda się dokoła niespokojnie – A gdzie tamci?

– Wojna z tobą, żołnierzu – odpowiada niegłośnie Salmon w tym samym języku. – A o kogo pytasz?

– Jesteś sam? Przecież słyszałem jakieś inne głosy.

– Sam jestem. I jak widzisz, stary. Dużo starszy od ciebie. A jeżeli słyszałeś co jeszcze, to chyba pustynię.

– To ona gada? – żołnierz cofa się o krok i splótłszy palce prawej ręki odczynia nią uroki w cztery strony świata. – Nigdy nie słyszałem, żeby pustynia gadała, a przecież przejechałem ich w życiu już parę. W Baktrii, u Partów, ostatnio Syryjską z Cezarem, a jakżeśmy oblegali Pelusion, nasza jazda stała przez cały czas czołem do pustyni. I nikt z nas nie słyszał z tamtej strony niczego... Nawet – żołnierz urywa i znowu zanosi się kaszlem, a potem dyszy przez chwilę, ale zaraz powtarza z uporem – nawet żaden szakal nie zawył. A ty prawisz, że pustynia gada...

– Nie gada, ale mówi – poprawia go spokojnie stary – a kto jej nie słyszy, temu ona widać niezyczliwa.

– A ty, starcze? Jesteś zyczliwy? – pyta ostro przybysz, ale zaraz chwyta się za gardło. – Pić... Daj mi... czy... czy masz co do picia? Daj, bo chyba przyjdzie mi tu zdechnąć na twojej... gadającej pustyni.

Stary przygląda się przez chwilę przybyszowi, ale zaraz wyciąga z zanadru drewnianą czarękę, a z zacienionego zakola wydmy dobywa bukłaczek z koziej skóry i nalewa z niego wody do naczynka, które podaje gościowi. Ten przypina się chciwie do czarki, ale pije oszczędnie, rozprawdzając w ustach wodę, kroplę po kropli. Poznać po tym obrządku doświadczonego wędrowca. Oddając po sporej chwili czarękę gospodarzowi kiwa głową z podziękowaniem i przysiada wzdychając z ulgą koło legowiska Salmona. Dopiero wtedy stary wyciąga z ukrytego worka pszenney podpłomyk, dokłada do niego garść prażonego bobu i parę daktyli. Wszystkie te wspaniałości podsuwa na brudnym gałganie w stronę żołnierza. Przybysz zapomina natychmiast

o całej wojackiej godności. Zapomina z kretesem o wszystkim co nie jest żarciem. Nawet hełm zdejmuje z głowy, żeby mu podpinka nie przeszkadzała w żuciu. Widać, że przez tę chwilę nie istnieje dla niego nawet cała potęga Romy. – Chociaż – przemyka znów przez myśl staremu – chociaż może dałoby się coś dowiedzieć o nim, właśnie teraz. Tylko jak? – Salmon nie spiesząc się przysiada obok jedzącego i po chwili zaczyna od niechcienia kreślić palcem na piasku jakieś dziwaczne znaki. Najpierw wyraźny trójkąt, później coś co mogło być leżącym lwem, potem znak w rodzaju dłoni z wysuniętym wskazującym palcem, dalej zwinięty wąż – chyba kobra, święty wąż Egiptu i Ptolemeuszy. Na samym końcu dorysowuje przekreślony kwadrat, wreszcie dwukrotnie – siedzącego ptaka, a między nimi znak ryby. Ukończywszy ten hieroglificzny zapis imienia Kleopatry, wzdycha z ulgą i rzuca okiem na towarzysza. Ale wojak nic, ani okiem nie mrugnie. Zresztą nie dla mrugania okiem go tu przyniosło, a tym bardziej dla odcyfrowywania faraonских zawijasów. Dlatego teraz przygląda się wyczynom Salmona jałowym wzrokiem i żuje pracowicie ostatnie ziarna bobu, chroniąc usta przed kurzem pustyni. Mimo tego słysząc jak zgrzyta zębami.

Prostak – mruczy stary i odwraca oczy od zapracowanego przybysza. – Nigdy nie widział świętego imienia. Ma tylko gębę do żarcia i miecz do mordy. – Jednym ruchem dłoni zasypuje hieroglify, ale żołnierz i na to nie zwraca uwagi. Natomiast skończywszy posiłek czka potężnie raz i drugi w samo ucho Salmona i usadowiwszy się dobrze w piasku opiera się plecami o wydmy. Teraz rozgląda się na wszystkie strony, wierzchem dłoni przecierając oczy raz po raz.

– Ustałeś? – pyta Salmon obojętnie.

– Ustałem – kiwa głową przybysz. – To ta przeklęta burza piaskowa o świcie. Mam szczęście, że ciebie spotkałem.

– Dlatego, że podzieliłem się z tobą tą garścią daktyli? Czy...

– Nie – przerywa mu twardo wojak. – Dlatego, że mi wskażesz drogę do Afroditopolis.

– To już za Nilem.

– Zgadza się. Muszę tam dojść przed świtem. Odbiłem się podczas tej piekielnej zadymki od mojej centurii, słyszysz?

– Tak. A co to jest zadymka?

– Nie wiesz? – dziwi się tamten. – U nas w górach zdarzają się też takie burze, ale wtedy bogowie miotają śniegiem, nie piaskiem. I to się nazywa zadymka, bo śnieg owija wszystko jak dym, rozumiesz: ludzi, konie, drogi...

– To tak jak u nas piasek. Wciąż w ruchu, wciąż żyje i też zasypuje wszystko... I wszystkich, których nie zna. Często też zasypuje swoich, ale to widocznie tych, którzy tu się źle czują.

– Co mówisz? – kręci głową wojak; wyraźnie czegoś nie rozumie.

– Nic takiego – macha ręką Salmon. – To mówisz, podczas burzy odbiłeś się od swoich?

– Tak. Od centurii. Zrobiło się ciemno jak w nocy, rzuciło mnie w jakiś piaszczysty toból raz i drugi. Za każdym razem myślałem, że się już nie wygrzebię. Kiedy się w końcu wygramoliłem i mogłem na czworakach ustać łapiąc oddech – nie poznałem ani drogi, bo jej nie było, ani miejsca, bo po mojej centurii też wszelki ślad zaginał, ani samego siebie, bo mi w tym diabelskim młynie przypadło wszystko, płaszcz i oporządzenie. Dobrze, że własną skórę zachowałem na grzbiecie.

Kiedy przestało wiać, zacząłem iść. Wciąż ku wschodowi, bo tylko to jedno wiedziałem. Ale nawet krzyżeć nie mogłem, bo ten kurz przekłęty – wskazuje na gałgan, którym zasłania usta – zresztą komu ja to mówię, chyba wiesz o tym lepiej ode mnie, prawda?

– Wiem. Więc po tej burzy... – podpowiada znowu Salmon.

– Więc po tej burzy odnalazłem się sam na tych pustynnych bezdrożach. I to nawet nie wiem, kiedy, bo ta twoja pustynia milczała jak zaklęta. Widać nie chciała mi pomóc, bo... jak to prawisz, starcze – żołnierz pokazuje zęby w niezbyt wesołym uśmiechu – nie-życzli-wa. Pewnie dlatego nie wskazała mi drogi...

– Do Afroditopolis? – To tędy – Salmon wyciąga rękę ku wschodowi. – Prosto, między tymi dwiema wydmami.

– Widzę.

– To dobrze. Za nimi, tam gdzie ten skalny wierzchołek, no, taki biały występ skałki...

– To też widzę.

– Tym lepiej. Od tej skałki powinienes już dojrzeć ramię Ojca.

– Jakiego ojca?

– Naszego Ojca. Nilu. – Salmon patrzy surowo na towarzysza, ale ten nie odwraca nawet oczu zapatrzoonych w horyzont – stamtąd już blisko. Pójdiesz brzegiem ku południowi, może...

– Ile? – przerywa mu żołnierz.

– Dwa stadia, może pół mili, nie wiem. Znajdziesz tam bród. Z drugiego brzegu widać już Afroditopolis.

Ale to mała miejscina, tyle że świątynie. Nikogo tam nie znajdziesz, żołnierzu.

– Tych, których mi trzeba, znajdę zawsze. Przede wszystkim moją centurię.

– Albo tych, którzy z niej pozostali.

– Albo tych... – urywa nagle żołnierz – dziwnie jakoś mówisz, starcze, jakbyś nie chciał...

jakbyś wolał...

– Ta sama burza, której ty uszedłeś, mogła nie oszczędzić twoich towarzyszy. Nie pomyślałeś o tym?

– Nie jestem tu od myślenia, starcze. Mam wykonać rozkaz. Żołnierskie zadanie.

– A ja nie znam się na żołnierskich zadaniach – odpowiada Salmon. – Jestem tylko wędrownym nauczycielem i idę do moich uczniów, ubogich jak i ja, w oazie Tegriss.

– Nie jestem tego pewien.

– Przecież nie szukałem ciebie, wędrowcze. To ty mnie tu znalazłeś. Spragniony i głodny.

– To prawda – mruczy żołnierz – przebacz, ale od tego upału mąci mi się w głowie. Ale muszę ci powiedzieć, że zanim ruszyłem w drogę, ostrzegano mnie przed Egipcjanami.

– Nie jestem Egipcjaninem – Salmon po raz pierwszy się uśmiecha. – Jestem Grekiem.

– To tak jak ja – nie jestem Rzymianinem.

– Jak mówisz?

– Jestem Trakiem. Fulvius Seuthes, Trak, z czego jestem dumny – żołnierz próbuje przybrać wojskową postawę zasadniczą, co w syrkim piasku i w skórzniach spadających ze stóp nie bardzo mu się udaje. Zaraz też przestaje się zgrywać, widać doszedł do jednego słusznego wniosku, że nie ma przed kim. Wobec tego powtarza tylko dobitnie, jakby nie był pewien, że Salmon go słyszy – tak. Z tego jestem dumny. Centurion jazdy najjaśniejszego Oktawiana Cezara, oby łaska bogów wiodła go do dalszych zwycięstw – i tym się szczycę podwójnie. Urodziłem się, jak i ty, daleko stąd, w Tracji, u stóp gór Haemus. Należałem do szczepu Odrysów, ale to już stare dzieje...

– A co uważasz za nowe dzieje? To, że jesteś Rzymianinem? Bo pewnie tak uważasz?

– Jestem... – zaczyna Seuthes trochę niepewnie – jestem centurionem jazdy.

– To już mówiłeś – odzywa się głośno Salmon, ale zaraz zniża głos i odwraca twarz w stronę pustyni – tak sobie właśnie myślałem – szepce po chwili – wystarczy jedna pustynna burza i ze zwycięzcy stąpającego zbrojną stopą po wyludnionych ulicach zdobytych grodów, zostaje człowiek człapiący po piasku, zeszmaccona ludzka kukła...

– Co mówisz, starcze, o jakich to kukłach, bo nie dosłyszałem.

– To i lepiej, żołnierzu. Cieszę się, że spotkanie ze mną uważasz za szczęście.

A tymczasem...

– Co?

– A tymczasem jestem tylko znużonym, starym człowiekiem. Na pewno bardziej znużonym od ciebie.

– Tą samą burzą? Musiałeś ją chyba też przeżyć nad ranem.

– Nie. Latami. Tym, co przeżyłem. Ale moje burze trwają dłużej niż twoje. Ostatnia trwa już od roku.

– Kpisz ze mnie, starcze – centurion odwraca wreszcie wzrok od nilowej skałki, której nie może i tak stąd dostrzec żadną miarą. – A ja bardzo nie lubię, jak ktoś próbuje przy mnie szydzić. Bo co to było takiego przed rokiem? Jakaż to burza mogła... nie pamiętam... czekaj! – Trak wyciąga dłoń przed siebie – przed rokiem walczyłem pod Akcjum. Moja centuria i jeszcze trzy inne zostały spieszono na dwóch okrętach Agryppy.

Wtedy pierwszy raz jako konny walczyłem na okręcie.

Ciskałem wraz z moimi ludźmi smolne pochodnie i rozżagwione szczapy na rufy wrażeń okrętów, bo tylko tam mogliśmy je dorzucić. Nawy nieprzyjaciół były większe od naszych, ale ciężkie i powolne. Grzebały się w zatoce jak żaby w błocie i próbowały nas taranować, ale nasze statki były szybsze i bardziej zwrotne, toteż nie minęła godzina a kilka ich kolosów stanęło w płomieniach. Całe lewe skrzydło ich floty. Ja sam...

– A przecież – nie wytrzymał Salmon – przecież na zapleczu, bliżej lądu stała, jak mi powiadano, cała egipska flota. Co się z nią stało? Przecież nie mogła...

– Źle ci opowiadano – macha ręką centurion, wyraźnie urażony tym, że mu przerwano – jakiś głupiec albo łgarz musiał ci zamącić w głowie. Nie dziw, boś już i stary i widać człek zgoła nie wojenny, tedy nie przerywaj i słuchaj coć rzekę ja, Fulvius Seuthes, który za mądrym rozkazem Cezara wraz z tysiącami innych najbardziej mu oddanych i wypróbowanych w bojach żołnierzy – stawał w tej bitwie. I nie na poślednim miejscu. Toteż mówię do ciebie raz jeszcze – nie wierz w bajki o flocie egipskiej i o jej boju pod Akcjum, bo tak jakbyś szczekaniu psa wierzył. Widzieliśmy wprawdzie na własne oczy zaraz na początku bitwy jakoweś statki kręcące się w zatoce na zapleczu floty fałszywego Cezara, ale w czasie boju zniknęły nam z oczu, rozwiały się jako dym, a z nimi i sam Antoniusz i ta, za której sprawą doszło do całej wojny i do onej

niesłychanej w dziejach morskiej wiktorii Romy, jej niezwyciężonego wodza Oktawiana Cezara i jej niezwyciężonych legionów, to jest nas. I żadna siła, nawet czary Kleopatry – tu bohaterski centurion okręca się znów pośpiesznie dokoła siebie i splecionymi palcami na wszelki wypadek odczynia uroki w cztery strony świata – nawet jej czary, które w tej kłęsce wyzwoliły ją wraz z jej Antoniuszem z naszych rąk – żadna siła nie mogła nam tego zwycięstwa odebrać. Słyszysz, starcze.

Tak było pod Akcjum. – Seuthes milknie na moment dla nabrania tchu i przygląda się starcowi mrużąc oczy.

– Tak – odzywa się po chwili Salmon znużonym głosem. – Ale... mówiłeś o sobie, prawda?

– Przerwałeś mi – mruczy centurion karcąco, ale nawet to przewinienie Greka nie może go powstrzymać od tego, co chce, co musi natychmiast wypowiedzieć, do samego zwycięskiego końca... – Tedy, jako ci rzekłem, ciskaliśmy te smolne pochodnie na rufy wrażeń okrętów i sami, własnymi rękami spaliliśmy triremę Antoniusza. Od dolnego pokładu po grotę masztów. To był widok, powiadam ci, Greczynie. Żałuj, żeś tego nie mógł obaczyć. Ci z góry skakali w morze już płonąc. I tam nasze włócznie gasiły ich w falach. Jednego pamiętam... pamiętam... – powtarza Seuthes, teraz już zapatrzony w siebie, bo twarz mu nagle jaśnieje w takim uniesieniu, że oczy Salmona mierzchną na moment z odrazy czy nienawiści – pamiętam jednego z tego spalonego przez nas okrętu – leciał z góry z rozkrzyżowanymi rękami. Pojawił się nagle na burcie nagi, z mieczem w dłoni, wysoki, z jasnymi długimi włosami, pewnie Gall w służbie fałszywego Cezara. I właśnie te włosy okrutnie mu płonęły na wietrze gdy spadał. Leciał z tego pokładu jak pochodnia. I krzyczał.

Tak, to pamiętam do dziś – kończy cicho, jakby tylko dla siebie, ale nagle ożywa i odrzuca w tył głowę... – Ale żeby burza – wykrzykuje – żeby burza mogła trwać rok, w to nie wierzę. Przetarłem się trochę po świecie, zawsze z tym towarzyszem pod bokiem – Trak jakby przypadkiem kładzie prawicę na głównej swego miecza – ale ani w czasie tych lat, ani przedtem...

– W Tracji? – pyta szybko starzec, jakby tylko o to mu chodziło.

– Ani przedtem, w Tracji – powtarza dobitnie centurion, wyraźnie wzburzony – i nigdy nikt nie próbował karmić mnie kłamstwami. Zrozumiałeś, stary człowieku?

– Zrozumiałem – Grek kiwa głową ze smutkiem – ale teraz ty posłuchaj mnie, Seuthesie. Rzekłeś, że urodziłeś się daleko stąd, tak jak ja, Grek. A tymczasem ja, Salmon Grek, urodziłem się w Egipcie, blisko stąd, w mieście pustynnym, Karanis. Więc może teraz spróbujesz

zrozumieć, dlaczego moja egipska burza zaczęła się rok temu, właśnie pod Akcjum, w miejscu, które jednym przyniosło chwałę wraz z wesołym widokiem ludzi, których włosy płonęły na wietrze – a drugim...

– nie patrz tak na mnie, Seuthesie, i spróbuj uwierzyć w moje kłamstwa. Choćby o tym, jak twój Cezar walczył pod Akcjum, co?

Trak przez długą chwilę milczy i patrzy spode łba na Salmona. Nagle unosi głowę i błyska zębami w brzydkim uśmiechu.

– Dobrze, pogadajmy inaczej. Powiedz mi, Salmonie, kto, według ciebie teraz rządzi?

– Gdzie? – pyta Grek zaskoczony. Widać nie spodziewał się takiego pytania.

– Noo... tutaj – Trak zakreśla ręką krąg dokoła siebie – w tej prowincji.

– U nas nie ma prowincji. Egipt, jeśli to chcesz wiedzieć, dzieli się na nomy. W każdym zaś nomie rządzi nomarcha. W naszym nomie Crocodilopolis-Arsinoe też rządzi nomarcha. Nethon. Oczywiście w imieniu Jej Światłości, monarchini, bo ona...

– No, wiele się już ten wasz... Nethon nie narządzi – przerywa centurion po prostacku – nawet w imieniu jej – jak to rzekłeś – światłości, Kleopatry, bo to pewnie o nią chodzi?

– ... Bo ona – kończy cierpliwie Salmon, jakby nie słyszał słów Traka – włada całym Egiptem, wszystkimi nomami. I jej każdy nomarcha składa z czołobitnością coroczne raporty z tego co czyni. Tylko jej.

– Aha – mruczy Seuthes – jej osobiście, tylko jej...

A co, według ciebie, robi tu fałszywy Cezar?

– Kto?

– Marek Antoniusz. Czemu masz taką zdziwioną minę, Salmonie?

– Bo... bo u nas właśnie Oktawiana nazywają fałszywym Cezarem. Widać wszystko zależy od tego, z jakiej strony na to się spojrzy. Od Nilu czy od Tybru. Bo falom, które w nich płyną jest i tak wszystko jedno.

Tym razem centuriona zawodzi spokój. Podchodzi szybko do starca i chwyta go za ramię.

– Bacz, Greczynie, do kogo mówisz. Jestem centurionem jazdy jedyne Cezara, jaki rządzi w Egipcie i wszędzie... i wszędzie tam – zajakuje się ze wzburzenia – dokąd doszły jego legiony. A ty... chociaż podzieliłeś się ze mną chlebem i wodą i może nawet uratowałeś mi życie – nie licząc zanadto na moją pobłażliwość. Uwierzyłem ci, gdyś mi przed chwilą wskazał drogę, nie wiem dlaczego, ale uwierzyłem. A teraz wiara za wiarę. Uwierz i ty mnie, że to już kres mojej

cierpliwości. Słyszałeś, co powiedziałem – dodaje szybko, widząc, że starzec stoi nieporuszony i wygląda, jakby go więcej zajmował pustynny wiatr, który właśnie zaczyna znów się zrywać – niż słowa Seuthesa. Ale Salmon szybko otrząsa się z zamyślenia.

– Posłuchaj, młody wojowniku, bo tylko tym jesteś dla mnie, a nie centurionem jazdy prawdziwego czy fałszywego Cezara – nie spierajmy się o nazwy – to ty przybyłeś do mnie, a nie ja do ciebie, to ty jesteś tu gościem, a nie ja...

– Nigdzie nie jestem gościem – wtrąca niecierpliwie Trak – dokąd przychodzę w imię Romy, z rozkazu jej Cezara – jestem u siebie. Przeto nie przeciągaj struny, gdy mówisz do mnie. Nie próbuj też mnie przekonać czy gadaniem zwieść na manowce. Zostaw te morały o wolności dla swoich uczniów, ubogich czy żebraków, choć czarno widzę przed nimi, jeżeli dadzą ci posłuch.

Ale może już tam nasi legionieści zajęli się ich edukacją, bo bardzo nam się tu przydadzą tragarze i poganiacze wielbłądów, zwłaszcza młodzi i znający tę pustynię.

Dlatego jeszcze raz ci przypominam: zważ co i do kogo mówisz. Przed chwilą darowałem ci życie, choć pewnie nie wiesz o tym – za to, coś rzekł o naszym wodzu.

Drugi raz nie daruję. Zrozumiałeś, Salmonie?

– Widzę, Seuthesie – odzywa się po chwili starzec – że nie za wiele pojąłeś z tego, co ci chciałem przekazać, ale widzę też, że chcesz mnie przekupić.

– Coś rzekł?

– Nie chcesz mnie zabić, bo ocaliłem ci życie, tak?

Ale ja nie jestem kupcem, niczego ci nie sprzedałem.

Chciałem się z tobą podzielić najcenniejszym z moich skarbów – prawdą. Nie przyjąłeś jej, czy nie chcesz przyjąć. A ja od mojej prawdy nie odstąpię. Ani od tej wolności, którą mimo wszystko zaniósę moim.;, jakżeś to rzekł... żebrakom.

– To twoja sprawa, starcze – podnosi głos Seuthes – mnie nic do tego. Odwołaj tylko to, coś rzekł o...

– Niczego nie odwołam – kręci głową Salmon, jakby nie wierzył, że można nie rozumieć tak prostej sprawy. – Ani o twoim czy moim fałszywym Cezarze, ani...

– Jeszcze jedno, Salmonie – woła unosząc ramię centurion, jak gdyby chciał powstrzymać czas. – Nie zapytałem jeszcze o najważniejsze. Jeżeli, jak mówisz, bronisz tylko prawdy, to powiedz mi, ale bez wykrętów – u czyjego ty tkwisz strzemięcia? Bo pewnie, jako wszyscy Greczyni sprzyjasz Antoniuszowi, choć widzi mi się, że na złego konia postawiłeś.

– Niczyjego strzemięcia się nie trzymam – stary odwraca z wolną głowę i patrzy spokojnie na centuriona – jestem wolny i mogę iść, dokąd chcę. A idę, Seuthesie, idę, i właśnie na tej drodze mnie spotkałeś. Nie z Antoniuszem, ani nawet z monarchinią tego kraju, oby Dionizos i Sarapis natchnęli ją siłą i męstwem w godzinie próby – ja idę z garstką młodzieńców – synami – kleruchów, ubogich osadników wojskowych i potomkami jeszcze biedniejszych od nich – fellachów.

– A dokąd to chcesz dojść, Salmonie, z tymi kilkoma... nędzaczami?

– Tam, dokąd ty nie dotrzesz nigdy, Seuthesie – odpowiada cicho starzec, ale tym razem centurion słyszy każde jego słowo – bo do tego trzeba być wolnym.

– Alboż nim nie jestem – dziwi się Seuthes trochę teatralnie – gdy tylko zechcę, jutro, no... może nie jutro, ale lada dzień, gdy przestaniemy... kiedy skończy się nasza tutaj kampania – odbieram żołd i mogę ruszać dokąd chcę. Gdzie oczy poniosą.

– A gdzie to cię te oczy poniosą, Seuthesie? Do Tracji?

– Choćby i do Tracji. A do czego zmierzasz, Greczynie, czego chcesz dowieść? Nie pozwalaj sobie za wiele.

Jeszcze raz ci powtarzam – nakarmiłeś mnie, napiłeś, mało tego, wskazałeś mi drogę do Afroditopolis, bez czego mógłbym zblądzić w pustyni i nie wypełnić rozkazu Cezara. Pamiętam o tym, ale nie zmuszaj mnie, żebym zaczął tego żałować. I jeszcze jedno – Trak staje przed starcem twarzą w twarz – nie wiem jakimi czarami zmusiłeś mnie do tego, co ci teraz powiem, ale zapamiętaj sobie: nie zamierzam i nie zamierzałem nigdy opuszczać służby wojskowej, ani wracać do Tracji.

To ty wyłudziłeś ode mnie słowa, które powiedziałem, a wyłudziłeś je swoimi bredniami o wolności. Nie opuszczę nigdy, słyszysz, nigdy – swojego wodza i Cezara, wspaniałego Oktawiana. Nie zdradzę go nigdy, bo dumny jestem z tego, że mu służę – słowa centuriona przechodzą w krzyk – słyszysz?

– Nie powinieneś krzyżeć, słyszę dobrze. Dzięki Dionizosowi słuch mam jeszcze dobry. Ale powiedziałeś też, że dumny jesteś z tego, że jesteś Trakiem?

– A czy to nie powód do dumy, Greczynie?

– Nie wiem...

– Czego nie wiesz – naciera Seuthes. – Odpowiedz!

– Powiem ci tylko jedno, Traku – teraz stary prostuje się i zakłada ręce na piersiach – na

całym Wielkim Wschodzie za Traka – niewolnika płaci się najwyższą cenę – pięć min, a chyba wiesz, że średnia cena za niewolnika wynosi trzy, no, w najlepszym razie cztery miny. A pięć min, to pięćset drachm, Seuthesie, czyli tyleż samo waszych denarów. Srebrem! To kupa pieniędzy, tyle jesteś wart jako Trak. Słyszysz? Nie jako centurion wspaniałej Romy, ale jako niewolnik Romy. I teraz pomyśl, za jaki to nędzny żołąd oddajesz się w służbę twojemu Cezarowi. Toż o wiele więcej zapłaciliby za ciebie jako za niewolnika! Nawet u nas, w Egipcie. No, dlaczego tak na mnie patrzysz. Pomyśl! – stary wpatruje się nieustraszoną spojrzeniem w pobladłą nagle twarz centuriona. Widzi jak tamten sięga wolniutko ręką do boku. Widzi też jak palce tej dłoni zaciskają się na głównej miecza, aż kostki bieleją.

– Wiesz już – mówi centurion dysząc szybko w twarz Salmona – wiesz już wszystko...

– Wiem – odpowiada jak echo starzec – wiedziałem, że nie uciekniemy od siebie na tej pustyni. Od pierwszej chwili wiedziałem.

– Sam tego chciałeś, Greczynie. Nie jestem twoim wrogiem, ale...

– Jesteś tego pewny, centurionie? W takim razie, jeżeli przy mnie chwytasz za miecz, ja muszę być wrogiem twoim. Innego wyjścia nie ma. Co o tym sądzisz, tym razem właśnie jako centurion rzymskiej jazdy.

– Centurion jazdy Oktawiana Cezara! Jak ty go musisz nienawidzić, starcze, jeśli nie chcesz nawet wymówić jego imienia. I dlatego masz słuszność – twarz Traka kurczy się w paskudnym grymasie – Innego wyjścia nie ma. Przynajmniej dla mnie.

– Oczywiście. Bo przecież to nie ja zabiję ciebie, Seuthesie. Po coś dierzysz od chwili ten miecz w dłoni.

A ja... Cóż ja. Nie ucieknę, bo dokąd? I tak byś mnie dognał, choć mimo wszystko przez cały czas nie wierzyłem, że tak to się skończy. Ale skoro już, to... kończmy.

– Salmonie! – krzyczy nagle Trak. Odskakuje od starca i wznosi ku górze miecz, jakby groził niebiosom – Jak długo ja żyję, giną moi wrogowie. Mogą być bezpieczni dopiero wtedy, gdybym zginął od ich miecza na polu walki, albo...

– Od miecza się nie ginie – przerywa mu spokojnie Salmon – od miecza się umiera. Ginie się tylko w pamięci bogów albo ludzi.

– Nie zagaduj mnie – woła Trak – nie mogę cię puścić żywego. Jesteś wrogiem mojego Cezara. Sam się przyznałeś do tego.

– Pomogę ci, Seuthesie.

– Co?

– Podejdź bliżej, tu, do mnie, centurionie fałszywego Cezara.

– Zginiesz, Greczyni! – Trak podchodzi krok po kroku do wyprężonego przed nim starca.

Salmon stoi wciąż z rękami splecionymi na piersiach.

– Fałszywy Cezar. Tak. Przyznaję się, słyszysz Seuthesie, przyznaję się. Jestem jego wrogiem. A teraz gotuj swój miecz, centurionie. Nadszedł twój Cezar a z nim noc na Hellenów. A ty mówisz, że burze bywają tylko krótkie. Pchnij!

– Co?

– Stoi przed tobą wróg. Masz w ręku swój ostry, bojowy miecz. Pchnij!

I wtedy Seuthes zadaje cios. Z całej mocy ramion.

W tym samym czasie, może pół dnia wcześniej, może godzinę później, w pobliżu wschodniej bramy Kanopijskiej w Aleksandrii – ginie od ciosu włóczni numidyjskiego jeźdźca, uczeń Salmona – Glaucos, powiernik i zaufany człowiek Kleopatry siódmej, królowej Egiptu... Numidyjczyk, dziwnym zbiegiem okoliczności jeden z tego oddziału jeźdźców numidyjskich, którzy przeszli na stronę Oktawiana i ruszyli z Fajum do Aleksandrii dzień przed przybyciem Glaucosa do oazy – otóż jeden z tych właśnie Numidyjczyków dojrawszy Glaucosa próbującego chyłkiem przemknąć się przez bramę do miasta – natarł na niego koniem i wbił mu włócznię w piersi, jako że dowódca Numidów Gemmon, rozkazał surowo swoim kawalerzystom pełniącym tego dnia straż przy bramie Kanopijskiej – żeby bez przepustki żywej duszy do miasta nie wpuścili. Bo taki właśnie rozkaz przekazał im o świcie legat Cezara.

Oczywiście prawie równoczesnej śmierci Glaucosa i Salmona nie łączyło nic poza przypadkiem, bo ani czas wydarzeń, ani filozoficzne czy ideowe poglądy ich nie wchodziły tu w grę. Nie można się też nawet powoływać na jakąkolwiek symbolikę tych dwóch śmierci.

A jednak było coś, jakaś sprawa czy przez nikogo nie wydany wyrok – który połączył na zawsze te dwa, jakże drobne dla historii spotkania: to w pustyni libijskiej, przy piaszczystej wydmi, i tamto – w cieniu Kanopijskiej bramy.

Ale co to takiego było?.

Dziwna historia

– Co to jest, Tom?

– Co? – otwieram jedno oko. Nad moim fotelem nachyla się zatroskana gęba Eerbovena, naszego mechanika pokładowego. Trochę jakby zawiąło echem whisky, ale może się mylę, bo wiem, że Greg, nasz pierwszy, bardzo nie kocha kielicha podczas lotu. Powoli otwieram drugie oko, ale nic ciekawego się nie dzieje.

Upał jak cholera, z tego co widać za oknem. Klimatyzacja klimatyzacją a gorąco się robi z samego patrzenia na ten rozprażony w chromowym słońcu krajobraz pod nami. Płasko, żółto i czujesz niemal dotykalnie jak tam, pod spodem, wszystko puchnie od tego przeklętego upału. Ale co można na to poradzić? Można liczyć włosy na głowie Mc Cae, naszego pierwszego, włosy ryżoblonde albo czarne, Boba Stackera, naszego drugiego pilota. Oczywiście te włosy, które sterczą spod ich hełmofonów i słuchawek. Można sprawdzać co oni robią w kabinie, ale po co? Co robią, jest dobre. W nocy, zerwani ze snu, robiliby dokładnie tak samo. Orczyki pedałów, dźwigi steru, te tam żyrokompassy, wariometry – oni to mają uporządkowane, ponumerowane w głowie, wiedzą kiedy i jak. Nie to co ja, Tom Fresnay, facet od ładunku użytkowego na pokładzie naszej ukochanej dakoty, wysłużonej torby transportowej i co z tego, że wzbogaconej o turboodrzutowy silnik – wożącej cudze manele między Kanadą a Meksykiem. Dlatego też chłopcy wolą wołać na mnie po matrosku:

Cargo, zamiast po ludzku: Tom. Chociaż właśnie teraz Peer, nasz mechanik, zawołał na mnie Tom. Skąd ta grzeczność? – czego chcesz ode mnie, Peer?

– Już po raz trzeci pytam o to, co gwizdziesz.

– Ja gwizdę? – dziwne. A mnie się wydawało, że myślę. Ale rzeczywiście lubię przy tym gwizdać. – Albo co? Chodzi ci o melodię?

– Nie. O to, żebyś przestał, – To już jest ograniczanie wolności osobistej, stary – patrzę na niego spod oka i widzę z ulgą, że mu ten gruby kark podbiega krwią. Musi być wściekły, jak zawsze gdy czegoś nie kapuje. Mechanik na medal, ale czasem jak coś powie to jakby ktoś cegłę na ziemię rzucił. Co mu przeszkadza moje gwizdanie? – Co ci przeszkadza moje gwizdanie? – powtarzam na głos.

– Mnie nie, ale Bobowi. Już drugi raz mi truje, że mu coś śwista w słuchawkach. Namiary

mu się pieprzą, a on chce mieć czysty raport z trasy. Po co mają go ochrzaniać w Santa Monica.

– Czy ty przypadkiem nie masz smyrła, Peer. Co bazę może obchodzić, że Bobowi fiuka w słuchawkach. To raczej twoja sprawa.

– Nie ucz mnie co moja sprawa, dobrze? Ja cię nie uczę jak masz rozstawiać drobnicę w ładowni. Twoja sprawa, od tego jesteś cargo.

– Nie znasz się na tym – mówię obojętnie – cargo to określenie używane w transporcie morskim, nie lotniczym i znaczy, kolego Eerboven...

– Nieważne co znaczy – wrzeszczy Peer, który bardzo nie lubi, jak go nazywam „Eerboven”.

– Ważne – kończę najspokojniej w świecie – i znaczy: „nośność użyteczną wyrażoną w tonach”. Dlatego nazywanie mnie „Cargo” świadczy tylko o twojej niewiedzy.

– Jakżeś taki uczony, to może mnie zastąpisz przy kontroli wskaźnika żyra. Trochę figluje dzisiaj. Greg prosił, żeby sprawdzić na bazie, ale można i teraz, co, Cargo? Okazja jak cholera. Zastąpisz mnie?

– Odczep ty się ode mnie razem z twoim żyrem.

Nigdy nikomu niczego nie żyrowałem, to i tobie nie będę. A poza tym nigdy ci nie mówiłem, że jestem uczony.

– Coś tam słyszałem, że załapałeś jakiś semestr na uniwerku.

– Jak zwykle źle słyszałeś, to twoja wada, chyba dziedziczna. Nie „jakiś”, nie „gdzieś”, nie „jeden semestr”, ale wyższe studia humanistyczne, uniwersytet w Wichita. Trzy pełne semestry jak w pysk strzelił.

– Iz tym przyszedłeś do nas?

– Nie. Z tym! – wyciągam do niego obie pięści, ale Peer odskakuje przezornie i przysiada na dalszym fotelu. – A poza tym z dyplomem ukończenia wydziału ekonomiki transportu lotniczego, bo z humanistyki nie byłbym wyżył. Kogo dzisiaj obchodzą zmiany strukturalne współczesnej poetyki, co?

– Współczesnej... czego? – powtarza mechanik takim tonem jakby miał zamiar podrapać się w głowę.

– Współczesnej poetyki – wyjaśniam spokojnie, bo już mi złość przeszła. A w ogóle po dobroci, to jestem chłopak jak miód, horiey boy. Do rany mnie przykładać. Parę dziewcząt mogłoby to poświadczyć. Ale coś mi się zdaje, że Peer jeszcze nie całkiem mi wierzy, bo patrzy na mnie swoimi chytrymi ślepiami, okrągłymi jak u sowy.

– Toś musiał być wtedy ładowany, co?

– Kiedy?

– No... jakżeś studiował te... humanistyki, to znaczy, zanim zmadrzałeś, co?

– Muszę cię zmartwić, Peer. I wtedy i później, kiedy jak powiadasz, zmadrzałem, dorabiałem.

– Jak?

– Jak cholera, starcze, jak nagła cholera. Zmywałeś kiedy talerze w knajpie? Nie. A ja do dzisiaj nie mogę patrzeć na brudny talerz. Zaraz mi się łapy robią śliskie i wszystko z nich wylatuje. Spróbuj przepuścić przez palce trzy miliony tych piekielnych porcelanowych czerepów, a wtedy pogadamy... Do dziś śnią mi się po nocach te sosjerki.

– Co?

– Takie małe kurewskie nocniki na sosy do mięsa.

Takie z uchami z obu stron. Piekielnie trudne do wypucowania. Nigdy ci nie podawali w czymś takim sosu do żarcia?

– Nie... Nie pamiętam. Pewnie tak. I musiałeś tak długo te... talerze?

– Nie. Potem, podczas tych... drugich studiów przerzuciłem się na wagoniki. Podpychałem je pod skip w...

Ale co ja ci będę...

– Czeka, czeka. A staruszkowie?

– Moi? Nie żyją. Ojciec zginął jak miałem dziewięć lat. Tragicznie. Był inżynierem w kopalni. A matka... Matkę straciłem rok przed moim przyjściem tutaj, do Southern Airways. A tutaj... ale już mówiłem...

– Cholernie mi przykro, Tom.

– Zostaw, stary, bo się do reszty rozkleję. A przed chwilą podobno gwizdałem. Popatrz jak łatwo człowiek zmienia nastrój. To pewnie przez ten upał, tam w dole.

Zobacz – wskazuję Peerowi najbliższy iluminator – może... może...

– Co?

– Może się coś tam wreszcie zmieniło.

– Co się miało zmienić? – poczciwy chłop, z tego Eerbovena. Przykleił nos do szyby iluminatora, ale po chwili znów się gapi na mnie swoimi sowimi oczami – Co się miało... powtarza bezradnie.

– Czy ja wiem – szepcę niecierpliwie – może klimat, a może krajobraz. Przecież od Pueblo nic, tylko te równiny albo płaskie dolinki, całkiem jak ogromne płytkie talerze, rozprażone w słońcu. Ale ja znowu o tych talerzach. Człowieku! A może zanosi się na śnieg? Co?

Zobacz! To by była heca! Ale nie, pewnie to tylko mnie się tak zdaje. Nie, Peer, siadaj, siadaj. Już mi przeszło. Czasem jak człowieka tak chwyci, to jak ból zęba.

No, siadaj i nie bocz się...

– Czekaj, skoczę po kokę. Zaraz sobie łykniemy, boś mnie trochę... tego... trochę... ale ty masz sztosy, no!

Niech ci Bozia da tłuste dzieci – mechanik zrywa się z fotela i już go nie ma. Pewnie zaraz zjawi się z powrotem, a z nim szklanka coca-coli. Może nawet z lodem.

Równy facet z tego Peera – dumami zwalniając dźwignię fotela. Wyciągam się teraz wygodnie, na całą długość, co prawda przepisy nie mówią o spaniu w czasie służby, ale niektóre przepisy można „gibać w cynader”, jak powiada nasz nieoceniony drugi pilot, Bob Stacker.

Można gibać, zwłaszcza jak się ma w gnatach tych parę tysięcy mil w te i wewte, z załadunkiem w Santa Monica (to te filtry powietrzne dla Snokane), zwłaszcza wyładunek w tymże Snokane, gdzie czeka już gotowy fracht przewozowy na te przeklęte pudła ze skuterami do Pueblo. Dwieście dwadzieścia skuterów! Dwieście dwadzieścia nieustawnych pak o skośnych ścianach.

Dwie ściany boczne z drewna, reszta z plastiku. Żeby tych, którzy to wykombinowali pokręciło na ich własnych gatrach. Potem przeskok z powrotem do Pueblo z tym całym majdanem nad Missouri i Cheyenne. Wyładunek tych zatabaczonych pudeł w Pueblo i dopiero ftp A wtedy można było dać nura z powrotem, oczywiście prosto w ten upał. Żeby nam się przypadkiem nie przewróciło we łbach, z podniebnych, psia ich mać, rozkoszy. Ale w każdym razie, upał nie upał, to już jest powrót. I tylko to jest ważne. Można liczyć, że pusta trasa. Bez ładunku, bo się tak szczęśliwie trafia. Powrót do bazy, do Santa Monica, do żony, dzieci. Do domu!

Może to też znaczyć: do staruszków. Do Mamy, jeśli się ją jeszcze... jeżeli można jeszcze do kogoś powiedzieć: mamo!

...No i masz! Głupio mi się robi na myśl o tym, jak się wysypałem przed Peerem. Dałem się podebrać na wspomnienia. Zwłaszcza o tych studiach... i o... no tak... o ojcu i o mamie. Dotychczas nikomu o tym ani słówka... a tu się rozgadałem jak głupi do sera. Czy ja go pytam co

z jego starymi? A on sam, co? Wiem, że ma żonę, zdaje się, Mary, podobno bardzo pyskata.

Aha, i dwóch chłopaków. Jeden” ten starszy, Jerry, przytargał mu kiedyś szal na lotnisko Santa Monica.

Szal! Przed samym startem! Bo w radio zapowiadali nagłe oziębienie. Myślałem, że Eerbovena szlag trafi, bo chłopaki w bazie posikali się ze śmiechu. No i tyle wiem o nim. A to o Mary i że pyskata, dowiedziałem się po pijaku, po jakimś ginie a może imbirowym piwie, czy to ważne? No i właśnie takiemu musiałem wypłakać się do kombinezonu. Nie jestem mięczak, ale dziś, co tu gadać, jakoś mnie trąciło. Pewnie to wina tych opętanych mil przelatanych od wczorajszego startu w Santa Monica, ale jeszcze pewniej, to ta poczciwość rozlana na gębie naszego najdroższego mechanika pokładowego, psia jego mać. Ech, Peer, Peer, niby równy facet z ciebie, a potrafisz wycisnąć człowieka jak gąbkę. Po co ja ci mówiłem... po coś mnie wyciągnął na te rodzinne wspomnienia. Mama umarła rok przed moim zaciągiem do South Airways Company. Osiem lat już minęło od tego czasu, a nie myślę w tej chwili o tych pierwszych siedmiu latach w służbie SAC. Myślę tylko o jednym, dniu grudniowym w całym roku poprzedzającym ten zaciąg. O dniu, z którego zapamiętałem tylko to, że był środą. Pogodną grudniową środą, z której wyszedłem już w życie sam jak palec. – Nie zapominaj, Tom – strofuję sam siebie – że byłeś zawsze jedynakiem, a to też coś znaczy.

Za oknem zaczynają się góry ukazywać cumulusy, a dołem pierwsze zielone wzgórza. Widać nie tak wiele już mil do bazy. Chwała Bogu i za to. Chociaż pewnie zaraz zaczniesz nami w tych chmurach hepąć jak po grudzie.

Ale na razie spokój. Chyba można jeszcze przez moment podumać o tym, co obcy ludzie potrafią z człowieka wyciągnąć. Coś, o czym samemu nie można, a może nie chce się wiedzieć. Te wszystkie ciemie, które tkwią tak cierpliwie w człowieku i czekają aż przyjdzie znów ich czas. Wtedy zaczynają dolegać. I musi ktoś dotknąć bodaj jednego z nich, żeby zabołały wszystkie. Choćby ktoś taki, jak Peer Eerboven, który nie wiadomo dlaczego nie lubi jak się na niego woła po nazwisku. A sam bezmyślnie mówi do mnie per Cargo. Kompleks jaki czy co? I właśnie jemu, realnemu, rzeczowemu mechanikowi pokładowemu latającemu na transportowcach SAC – musiałem... no, co tu gadać, właśnie on dotknął tego, co we mnie najboleńsze. A przecież nie powiedziałem mu ani o grudniowej środzie przed ośmiu laty, ani o sobie samym wtedy. To po prostu musiało kiedyś przyjść.

A kiedy przyszło, kiedy otworzyło się we mnie nagle, kiedy rzuciło mi się do gardła przed

chwila, przeciez taka sama jak wszystkie chwile poprzednie – zrozumialem, ze musze sie tym doznaniem podzielic i to natychmiast, za wszelka cene, z kimś, wszystko jedno z kim, po to zeby uwierzyc samemu w te szczerość czy po prostu dotkliwosc wspomnienia, ktore zwalilo sie na mnie po ośmiu latach z cala gwałtownością, słodyczą i smutkiem, na jakie mnie stac. I do tego wlasnie byl potrzebny ten drugi czlowiek, dotykajacy najboleśniejszego z cierni tkwiacych we mnie. Nie wie dzialam” ze tak glęboko tkwiacych. Dopiero przed chwila wywolal to we mnie drugi czlowiek. Chyba wlasnie po to zdarzyl mi sie dzisiaj. A ze nazywa sie Eerboven i ma na imie Peer – niewazne. Mogl sie nazywac Smith. Mogl byc bialym czy kolorowym. I wcale nie musi byc mechanikiem pokladowym i nazywac mnie Cargo na tej samej latajacej rupieciarni, na jakiej obaj pracujemy. Niewazne.

Wazne jest tylko to, ze jemu pierwszemu powiedzialem o Mamie. Te duza literę w tym najwiekszym slowie musial we mnie przeczytac. I odczuc. Przeciez powiedzial. „Jak mi... – nie... powiedzial: „Cholernie mi przykro, Tom”. – Wlasnie Tom a nie Cargo – No, Bog z nim. Powiedzial i ni stad ni zowad pognal po coca-cole. Zostawil mnie samego. Z tymi ośmioma latami i z tamta grudniowa srodą. No coz. Dla niego ostatecznie to tylko cudza matka.

... Jak to powiedzial Eliot? Nie bardzo pamietam: „... cicha i rozdarta rozsa...” Nie. Zaraz sprawdzę – wyszarpuje z zanadrza liliowo oprawny tomik, kartkuje go, rzucam okiem w iluminator, ale zielonym wzgorzom za wysoko do tych kilku tysiecy stop pod dacota, a cumulusy wciaz jeszcze przed nami. Nie. Nikt mnie nie podglada i nie podslychuje. Jak to jest u Eliota?

I jeszcze mysl: zeby tylko zdazyć przed powrotem Peera. Ale oto Eliot:

... Cicha i znękana Rozdarta i nienaruszona Róża pamięci Róża zapomnienia Wyczerpana i życie dająca Strapiona i pokój niosąca Jedyna Róża Jest teraz Ogrodem Gdzie wszelka miłość się kończy Dzięki matce Za ten Ogród Gdzie wszelka miłość się kończy...

Thomas Eliot – przymykam oczy przed słońcem rozpryskującym się na okuciu iluminatora. – Thomas!

To na jego cześć obdarzono mnie przed dwudziestu ośmiu laty tym imieniem, chociaż ojciec życzył sobie, żeby mnie ochrzcić jako Ewalda. Bo tak było dziadkowi;

Ale życzenie Matki zwyciężyło i pozostałem do dzisiejszego dnia Tomem, którego niektórzy nazywają Cargo.

Tyle, że w tej chwili i to mnie nie gniewa. W sam czas sięgnąłem do tego liliowego tomiku.

Nie wiem dlaczego, ale zawsze kiedy tonaż frachtu nie zgadza się z tonażem ładunku, a cały majdan z metrażem wszystkich ładowni w kadłubie naszej daczki – nawet wtedy kilka wierszy z tej książeczki potrafi rozładować i ułożyć cały ładunek mojego gniewu. Widocznie w ten właśnie sposób wielki Thomas wywiązuje się z opiekuńczych obowiązków wobec powierzonego sobie imiennika. Chyba dlatego jego wiersze latają ze mną po wszystkich trasach SAC, chyba dlatego w dzisiejszym frasunku sięgam znów po liliowy tomik ukryty w zanadrzu mojego kombinezonu wraz z dokumentami osobistymi.

A że właśnie trafiam na najpotrzebniejsze mi słowo w rago wierszu: „Popielec”, dzisiaj w samym środku lata – to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Takimi właśnie słowami chciałbym podziękować gdybym potrafił, za gorzki urok tego, co mi się dziś wspomniało sprzed tych lat, których za długo nie liczyłem:

Dzięki Matce za ten Ogród gdzie wszelka miłość...

Spod serca wyjął mi te słowa. – Jeszcze przez moment rozważam ich treść pod powiekami, ale zaraz otwieram oczy. Za dużo tego myślenia. Pewnie znowu gwizdzą jak najęty. Żeby mnie tylko Peer na tym, nie przyłapał, tak jak mógłby mnie przyłapać przed chwilą na czytaniu wierszy. No, to by była frajda nie tylko dla Grega, Boba i Peera, ale dla całej załogi bazy w Santa Monica. Zwłaszcza Eerboven, ten by się pierwszy odkuł za swój wpadunek z tym cholernym szalem na lotnisku. – „Cargo i wiersze, niech ja skonam!” – jakbym go słyszał...

.W tym momencie (to dziwne, ale Peer jeszcze nie wrócił z tą koką) – w tym momencie widzę przez sekundę odwróconą w moją stronę haubę Grega, naszego bossa; dostrzegam nawet refleks słońca na tej haubie.

I to jest ostatni błysk świadomości, z jakim odpływam w tej chwili. Reszta już nie jest mną, albo żeby wyraźniej powiedzieć – nie jest tylko mną. Coś się ze mną dzieje nie mojego, nie chcianego przeze mnie. Próbuje się bronić, chcę przeniknąć, chcę zaprotestować przeciw temu, co cudze we mnie, co się wdarło w moje pojmowanie wbrew mojej woli, ale zanim dojrzeję do tego protestu, już jest za późno. Wiem o tym na pewno. Jest tak, jakbym to nie był ja sam, albo raczej jakbym wiedział o sobie, czuł swoją obecność, ale jakbym już nie był taki jakim jestem, ale takim, jak by ktoś inny chciał, życzył sobie, żebym był. Jakby ktoś za mnie zdecydował, jaki mam być w tej chwili, czy od tej chwili.

Taki, który sam sobie zadaje pytania, choć wiem, jestem pewny, że to nie ja te pytania formułuję. Mogę tylko na nie odpowiadać. Nie: mogę. Muszę.

Na szczęście przychodzi mi na myśl, że to wszystko sen. Że przecież wystarczy mocno się odbić od dna, żeby powrócić do rzeczywistości, do siebie samego.

Uspokajam się natychmiast. Rzeczywiście, wystarczy mocno postanowić wybić się ze snu, a wyskoczy się, wyprysnie ponad jego powierzchnię, jak łosoś podczas tarła w Spring Valley.

Zbieram wszystkie siły i okruchy świadomości, jakie jeszcze pętają się we mnie i całym wysiłkiem woli, na jaki mnie stać, próbuję sobą zawładnąć. Ale natychmiast odczuwam bezsens tego, co chciałbym uczynić.

Poddaję się.

Wiem, że nazywam się tak a tak i jestem tym a tym.

Wiem też, choć nie wiadomo skąd, że wiecie o mnie wszystko. Dlaczego myślę: WIECIE? Kim jesteście?

Dlaczego właśnie mnie wybraliście do swoich pytań?

Pewnie chcecie sprawdzić zgodność, nie wiem po co, ale jakoś mnie to nie obchodzi. Wiecie, ile mam lat. Ach, z moich dokumentów wojskowych wynika... więc te dokumenty też macie. Nie? W takim razie skąd wiecie... ale prawda, nie ma sensu stawiać takich pytań.

Nie rozumiem tylko, dlaczego mam sam siebie pytać i sam sobie odpowiadać na pytania, na które odpowiedzi znam od dawna. Wiem, że nie trzeba, żebym rozumiał. Mam tylko w dalszym ciągu pytać. I to sam siebie. A więc pytam. Jak tylko potrafię.

Zapytałbym przede wszystkim czy to prawda, że to wszystko sen, ale wiem, że na to pytanie właśnie ja nie będę mógł dać odpowiedzi. Dalej: jak się nazywa nasz pierwszy pilot? Gregor Mc Cae, lat 36, przecież wiecie to... wiem to chyba z jego dokumentów, które znacie tak jak i moje. Aha, pewnie znowu sprawdzacie zgodność. Nasz drugi pilot, Bob Stacker was nie interesuje.

Dlaczego? Nie moja sprawa? Dobra. Widzicie, powoli się wciągam w tę zabawę, choć nie powiem, żeby mi się podobała. Typ samolotu? Dacota, przecież widać.

Aha, to nie ma nic do rzeczy, choć nie wiem czy wolno mi zdradzać tajemnice firmy. Bądź co bądź Southern Airways Company... jestem jej pracownikiem, aha, że ds(cota, to stara, trochę już wyranżerowana drypa i nikt jej w podbrzusze nie musi zaglądać, żeby poznać jej wiek. Powinienem się wyrażać trochę lepszym stylem?

Możliwe, ale ten styl mi narzucono, ja rzadko posługuję się tym językiem.

Przejrzeć dokumenty, jakie mam w kieszeni wiatrówki. Po co? Przecież znam je na pamięć. Stary portfel, jeszcze z wojska, w nim... trzeba wybebeszyć całą kieszeń. Trudno. W portfelu

książeczka czekowa, nie warto do niej zaglądać, wszystkiego dwadzieścia siedem dolarów i... co? O tym też wiecie? To po co... książka wojskowa ze stopniem... nie trzeba odpowiadać? Gotówki nie mam, a to w kieszeni? Rany boskie, prawda, w kieszeni, tak, ta lewa, górna, *vr* kombinezonie, osiem dolców, zielona piątka i reszta srebrem. Zapomniałem o tym... sorry. Co jeszcze? Nic. Reszta portfelu pusta.

Dawniej trzymałem w nim jeszcze dyplomy. Teraz już nie. Nie potrzeba. Książka pracy, rejestracja związkowa, dokumenty trasy, to już osobno, w portfelu się nie zmieści. Raport z załadunków z Santa Monica, Snokane i Pueblo. A to umowy transportu, kopie dla mnie. A tu mój podpis na tych kopiach i na frachtach. Też już znany? To po co pytać? Aha, jest jeszcze Eliot, ale on nie ma tu nic do rzeczy. Pokazać. Sprawdzić? Co mam sprawdzać? Przecież wiem, że mam go w kieszeni, właśnie razem z umowami. No to co?

A że Eliot? Co to znaczy? Znaczy dużo. Nawet bardzo dużo. Zależy jak dla kogo. Ależ tak. To prawda.

Wiersze. Właśnie wiersze. Co trzeba tłumaczyć?. Po co wiersze człowiekowi latającemu na trasie... Aha, nie chodzi o trasę, ale o latanie. Co w tych wierszach jest o lataniu? Nic. Jaki szyfr? Nie ma żadnego szyfru.

I właściwie co to wszystko znaczy? Jak to „nie podaję całej prawdy”? Dlaczego będę badany testem? Jakim testem? Przez kogo badany? Kto może mi zarzucić w żywe oczy, że kłamię? No? Nareszcie nie ma odpowiedzi.

Znowu próbuję się poderwać i znów ponoszę klęskę. Jestem sam w ogromnej pustce, w której są tylko ci, którzy mnie pytają, to znaczy ci, którym muszę odpowiadać, tak jak odpowiadam sam sobie.

Jeszcze raz słyszę to bzdurne pytanie – dlaczego obok papierów i dokumentów, które mam prawo mieć przy sobie, które wyjaśniają mój dzisiejszy lot dacotą, obok moich sprawdzianów (tak właśnie brzmi pytanie) technicznych, ekonomicznych i prawnych wiozę tom wierszy, które w tym locie, w takim właśnie locie transportowym – udziału brać nie powinny. Dlaczego? Bo są niefunkcjonalne, bo nie służą żadnemu praktycznemu celowi. I dlatego moim obowiązkiem jest wytłumaczyć, co się za tym kryje.

Co mam zarobić? Jak odpowiedzieć na te pytania, które mnie przenikają wbrew mojej woli – że właśnie dzisiaj, że właśnie podczas tego lotu a nie innego, tą dacotą, a nie żadną inną, mnie i tylko mnie potrzebny się stał właśnie liliowy tomik i ten właśnie Eliotowy wiersz, że właśnie po

te jego słowa sięgnąć musiałem w ostatecznej dzisiejszej potrzebie. Nie po spadochron, który mam... nie, który miałem pod ręką przed chwilą, nie po żyrokompas, czy namiary goniometryczne – bo to specjalność Boba Stackera, nie moja. Gdyby chociaż... choć wiem, że to tylko marzenie, bo przecież otacza mnie pustka, ale gdyby chociaż na moment udało mi się odnaleźć własną ręką we własnej realnej kieszeni ten tomik mojego imiennika... może udałoby się obronić moje osobiste prawo do celowości, człowieczej przecież celowości skorzystania z mądrej rady, jaka tkwi w nastroju, klimacie tej poezji. I może byłaby to pierwsza wreszcie udana próba powrotu do własnej świadomości, która została mi odebrana w tak podstępny sposób.

Ale oto zanim udało mi się doprowadzić tę myśl do końca, dochodzi do mnie pytanie, po którym poznaję, że przejrano moje zamiary:

– Twoje rozumowanie jest błędne. Nie ma potrzeby sięgać po te wiersze. A wybór został już dokonany.

I nie czas teraz sprawdzać ich treść. Chodzi tylko o to, co znaczą słowa, przecież właśnie bardzo konkretne...

– Jakie słowa? O...

– Nie przerywaj – bardzo konkretne. Na stronie 137, twojego liliowego... tak ten kolor nazywacie... twojego liliowego Eliota wyraźnie napisane... nie załamuj Się, słuchaj uważnie i odpowiedz na pytanie, co one znaczą. Odpowiedz, jakbyś sam sobie odpowiadał, bo o to tylko chodzi. O twoją szczerłość. A więc:

„Skoro już skrzydła nie niosą mnie w przestrzeń Tylko z wysiłkiem biją powietrze Teraz już próżne, doszczętnie jałowe, Próżniejsze i bardziej jałowe niż wola...”

– Cóż więc znaczą te słowa? Przecież mówią wyraźnie o locie. O skrzydłach, bijących z wysiłkiem powietrze? No?

To „no” przesądziło o wszystkim. – Wiecie wszystko – nie wytrzymuję. – Znacicie lepiej ode mnie każdą literkę w tych wierszach, każdą stroniczkę w tym tomie, to czego jeszcze chcecie – wrzeszczę, albo tylko mi się zdaje, że wrzeszczę, bo nie słyszę własnego krzyku, słyszę tylko własną rozpacz – to niech się chociaż dowiem, czego ode mnie chcecie. To przecież do jasnej cholery... to oo w czwórkę robimy tu, w górze, to nasz codzienny job, no... zajęcie czy jak, nasz normalny kur na zwyczajnej transportowej trasie. My jesteśmy z lotnictwa cywilnego. Czepcie się wojskowych, albo pociągów czy autobusów, dlaczego nas... dlaczego mnie – drę się cicho,

choć wydaje mi się, że na całe gardło – A wiersz – przycicham nagle, bo czuję wyraźnie jakby czyjaś znana, bardzo dobrze znana mi ręka pogładziła mnie po głowie – a sam wiersz – dodaję z wysiłkiem, bo nie tak łatwo przychodzi mi uporać, się z samym sobą – te słowa Eliota mają dla mnie, właśnie dzisiaj, ogromne... nie wiem, jak to powiedzieć... olbrzymie znaczenie, choć jutro będzie to może znaczenie już jutrzejsze – to znaczy... tylko jutrzejsze, a za tydzień czy dwa nie będzie już znaczyć tyle, ile znaczyło przed tygodniem czy dwoma. Ale dzisiaj, dla mnie, znaczy wszystko, choć zdaję sobie z tego sprawę, że to tylko dla mnie ma sens i tylko w tej właśnie chwili. Tu i teraz. Tylko tu i teraz.

No i oczywiście... wiersz. Tak, przypominam sobie ten fragment, nie, nie znam go na pamięć, ten wiersz jest dla mnie, to znaczy dla człowieka, rozumiecie: dla człowieka – zwyczajnie – nastrojem. Wiecie przecież wszystko, to i powinniście wiedzieć wszystko i o naszych nastrojach, a jeżeli nie, to tym gorzej dla was, nie dla mnie. Nastrój to stan, którego celowości nigdy nie zrozumiecie. Nastrój, to stan, w jakim się znajdujemy. Mówię o ludziach – to jasne. W tym wierszu właśnie jest nastrój. A jaki? Cóż, mogę i to powiedzieć, choć nie bardzo wiem, po co. Bo tego też nigdy nie zrozumiecie. Ale co mnie to może obchodzić. Nastrój beznadziejności, smutku, bezradności. Taki właśnie, w jakim ja się w tej chwili znajduję. Wraz z wami. Tak, słyszycie: wraz z wami. A teraz się martwcie, jeżeli potraficie, martwcie się tym co to znaczy i dlaczego nigdy tego nie zrozumiecie. I to jest jedyna moja odpowiedź, jaką mogę wam dać. Chcieliście, żeby szczerze. Macie szczerze!

Chcieliście, żebym odpowiadał tak, jakbym odpowiadał samemu sobie. Odpowiadam właśnie tak. A teraz... teraz już koniec z wami – czuję, że mnie znowu ponosi, bo znów zaczynam pokrzykiwać – możecie mnie tu zaciukać, a nic wam już, ani wam, ani samemu sobie nie odpowiem. A wiecie dlaczego? Bo sam już nic nie wiem.

Ani słóweczka więcej. I nie powiem, do jasnej cholery... nie poo... – coraz głośniej się wydzieram, a co najważniejsze – zaczynam sam słyszeć, że się wydzieram.

Jeszcze jeden straszliwy mój krzyk i otwieram znów oczy na świat, na gapiącego się na mnie Peera, siedzącego na najbliższym fotelu i co mnie najbardziej wzrusza, na ten sam błysk słońca w ilumdnatorze za jego plecami. Od razu sprawdzam co z Gregiem i Bobem. I widzę, choć trudno mi uwierzyć, że to właśnie oni siedzą przede mną w kabinie, jak gdyby nigdy nic, za swoimi sterami i manometrami. Nigdy się chyba nie dowiem jak to robią, że im się te wszystkie zegary w głowach nie pokićkają. – Żeby was jasna cholera, chłopaki – wrzeszczę znowu na cały

głos, jakbym rozumu nie miał i muszę się pilnować, żeby nikt z nich nie domyślił się jak ich staremu kumplowi zbiera się na płacz. No bo jakże – Greg i Bob siedzą spokojnie w kabinie i nic się nie dzieje, a za nimi ten stary zrzęda, Eerboven – pewnie w dalszym ciągu nie lubi, żeby go tak nazywać – i co? A no, o to chodzi, że nic. Siedzi jak byk, tuż przede mną i jakoś żaden z nich nie rzuca się ku mnie, żeby powitać, nie poklepują mnie po ramionach, jakbym nie wracał z dalekiej podróży, żeby chociaż wiedzieli – o ile dalszej podróży, niż do Snokane. A może wiedzą! – błyska mi nagle myśl – może... przecież wciąż nie wiem po co miałem tamtym opowiadać o Gregu, a nie musiałem opisywać na przykład Boba. Nie, wypłujmy z siebie te myśli. Może nawet nikt nie zauważy, że przysnąłem podczas lotu. A że sen miałem taki cholerny... że niby to, co mi się przyśniło... zaraz, zaraz. Przecież mogli w ogóle nie zauważyć, że śpię. Tylko dlaczego Peer tak wlepia, we mnie te sowie gały? Aha, teraz podsuwa mi pod nos szklaneczkę. Niestety, to nie whisky, bo Greg nie lubi jak się chla na pokładzie. Właśnie: Greg nie lubi, a mnie nie wolno! A ja akurat teraz bym uderzył w gaz. O rany! Ale to, co Peer podtyka mi w szklaneczce to tylko cola. Tak, coca-cola. Prawdopodobnie ta sama, jaką miał rni przynieść przed wiekami. I nie wiem, kto z nas bardziej się spóźnił: ja czy on. Wciąż nie wiem.

– Co z tobą, Cargo? – w tym momencie słyszę wyraźnie, trochę schrypnięty głos Peera. Pierwsze dorzeczne, wreszcie ludzkie pytanie. Pierwszy prawdziwy głos. Nie ze snu. I wreszcie ten „Cargo”. Boże! Znow jestem w domu! – Ocieram pot z czoła i ukradkiem zaczynam gładzić półstrowaną poręcz fotela. Z trudem wstrzymuję się, żeby jej nie ucałować. Ale dość pieszczot. Trzeba stawić czoła najlepszemu mechanikowi pokładowemu, jaki kiedykolwiek obciążał kadłub tej dacoty. No, chwała Najwyższemu, że pozwolił mi uchować w tych zwariowanych tarapatach choć szczyptę humoru. – Dziwnie jakoś wyglądasz – kończy natarcie Eerboven.

– Gdyby ci się przyśniło to, co mnie, to byś jeszcze dziwniej wyglądał – odpowiadam w miarę spokojnie – dawaj ten sikoń, albo nie, wyrzuć go przez okno, a najlepiej wylej, nie niszcząc iluminatora, bo stary po przeglądzie w bazie potraci ci z pensji. Co tak patrzysz?

Teraz to ty wyglądasz tak, jakby ci się coś paskudnego przyśniło. Dlaczego tak długo nie wracałeś z koką? Czekam, czekam, a ty nie wracasz. To co miałem robić.

Przysnąłem jak sardynka. Przyznaj się, stary, poszedłeś siusiu, albo jeszcze gorzej, i zacięły ci się drzwi w kiozecie, co? Ale ja nie powiem nikomu. Chyba, że... – urywam, bo widzą, że do mechanika nie dociera ani jedno słowo z mojego szampańskiego spiczu. Widzę natomiast jak mu się trzęsie ręka, gdy odkłada na sąsiedni fotel szklanekę. A jak Eerbovenowi trzęsie się ręka, to

chyba świat się kończy. Może wychylić galon piwa w barze Stocktona przy bazie i chwilę później nawlec stalowy włos w rozpieprzonym manometrze. I nic mu się nie trzęsie a tym bardziej ręka. A teraz tym samym trzęsącym się łapskiem sięga do eklera kombinezonu i luzuje go przy szyi, jakby mu nagle brakło tchu. – Czyżby on też... czyżby i tego prostodusznego grubasa spotkało coś, co wprawia człowieka w drżenie.

– Po... powiedz mi, Tom – zaczyna świszczącym szeptem i widzę znowu jak jego grube karczysko nabiega złą, zapiekłą krwią – powiedz mi, czy i tobie – teraz on urywa nagle jak ja przed chwilą – czy i tobie śniło się coś... coś takiego, czego nie można, czego się nie da... co się w ogóle nie powinno przyśnić porządnemu człowiekowi... Bo kiedy wróciłem z tą koką, i to wróciłem zaraz, nie wiem dlaczego przyszło ci do głowy, że musiałeś na mnie czekać... porwałem z pojemnika ostatnią butelkę i za minutę byłem z powrotem... a tyś już spał, a tyś już spał – powtarza monotonicznie, jakby nie mnie, ale sam siebie usiłował przekonać, że tak, że już spałem – A ja... ja chyba też przysnąłem jak tylko usiadłem przy tobie w tym fotelu – przygląda się fotelowi z nagłą odrazą – a powróciłem... a zbudziłem się teraz, sekundę przed tobą. To znaczy – nie wiem – odchyła mankiet kombinezonu i gapi się na własny zegarek jakby go oglądał pierwszy raz w życiu – nic już nie wiem, która godzina była kiedy... i jak długo mogliśmy spać, co? Jak...

„– Czekaj – przerywam mu ostro – ktoś kazał ci, zmuszał cię do odpowiedzi na pytania. Tak? Na bzdurne, paskudne pytania, na które nie chce się odpowiadać. Na które nie da się odpowiedzieć?

– Skąd wiesz? – ożywia się Peer i rzuca spłoszone spojrzenie w stronę kabiny pilotów. – Pytali! – ścisza mi ramię w żelaznym uchwycie. – Ciebie też pytali?

– Tak. Mnie też – odpowiadam natychmiast, choć czuję, że teraz we mnie wszystko zaczyna dygotać na myśl o tym, że cały koszmar mógłby się powtórzyć i że tego, tak, i że tego chyba już bym nie wytrzymał. – Albo raczej to ja pytałem sam siebie... to znaczy poczułem się nagle tak, dostałem takiej cykorii, takiego cholemelego stracha w tej pustce... że o mały włos byłbym chyba wykorkował.

– O! – mechanik chwyta mnie za rękę – to, to...

– Co jest?

– Tak samo się poczułem. Jak gdybym się wykatapultował z odrzutowca. Czarno, pusto...

– Jak byś leciał w takiej studni, co? Czarnej studni.

I dna wciąż nie ma.

– I nie ma końca tego spadania. Wciąż spadasz. Nogami do góry.

– I te głosy!

– I te głosy – powtarza Peer jak zdarta płyta i patrzy na mnie swoimi okrągłymi ślepiami sowy, ale takiej wypchanej sowy, ze szklanymi oczami. Widziałem kiedyś taką. Jeszcze w szkole. W gabinecie przyrodniczym.

Stała na półce, puchata i straszna i tak właśnie patrzyła. Mdło mi się robi na samo wspomnienie. Chyba rąbnę go w te ślepska, albo co – już zaciskam pięść, ale w tej samej chwili czuję na swoim ramieniu czyjąś rękę. To Bob. Nawet nie zauważyliśmy kiedy nadszedł.

– Co z wami? – słyszę jego przyspieszony oddech – Peer, Cargo!

– Rany Boskie, Bob! – chwytam tę rękę Stackera i nie mogę jej puścić – Zrób coś!

– Co mam zrobić? Z byka spadłeś?

– Powiedz, czy to możliwe, żeby dwaj ludzie... żeby nam obu, mnie i Peerowi... żebyśmy obaj przysnęli w tym samym momencie i żeby obu nam, rozumiesz, obu nam przyśniło się to samo. Dokładnie to samo, jednemu i drugiemu? Powiedz coś. Że to przecież bzdet.

Że to Disneyland – kopia dla idiotów, albo powiedz po prostu, że to szajs, techniczna niemożliwość.

– To wam... to wam też? – Stacker szybkim ruchem ściąga z głowy haubę i wierzchem dłoni ociera pot z twarzy. Widzimy, że w obramowaniu kruczoczarnych włosów jest biała jak śnieg. Nasz etatowy elegant z bulwarów w Santa Monica wygląda jakby zobaczył upiora.

Myślę, że w tej chwili wszyscy tak wyglądamy. – Zamroczyło was, co? Bo to chyba nie był sen? – mówi bardzo niewyraźnie, pewnie żeby zdążyć, zanim się odezwiemy. Ale my milczymy. O czym tu gadać?

– Widziałeś ich? – odzywa się po chwili Eerboven i mimo woli rzuca znów okiem na kabinę sterowniczą.

Ale w niej widać tylko plecy Mc Caena. Naszego pierwszego – no, tych, którzy... którym odpowiadałeś?

– dorzuca niecierpliwie.

– Nikogo nie widziałem. I jeżeli... przeżyłeś to co ja, to samo eo ja – podkreśla szybko – nie powinieneś tak pytać.

– Ale odpowiadałeś? – Upiera się mechanik.

– Tak. Jak każdy z was. I pewnie na te same pytania. Na te same... – powtarza uparcie, jak przed chwilą Eerboven. Ale ja mam już tego dość.

– Wielu spraw nie chwytam, Bob, ale jedno jest pewne: ktoś czy coś nas spotkało w tym czasie kiedy... kiedy zapadliśmy w sen. Czy, jak twierdzisz ty – w zamroczenie. Nagle i niespodziewanie.

– I wspólnie – dodaje szybko Bob.

– I równocześnie. To znaczy, sądząc po zegarku, prawie równocześnie – uzupełnia mechanik.

– Dobra – nie dopuszczam Stackera do odpowiedzi, bo boję się, że zgubię, że sam zapomnę to... o tym, co najważniejsze – Do zegarka wrócimy. To znaczy, do sprawy czasu. Powtórzmy sobie teraz jak w szkole przed belfrem: spotkało nas przed chwilą coś strasznego, coś, czego żaden z nas nie potrafi nawet opisać.

Spotkało nas to, jak się okazuje, wszystkich trzech.

– Czterech – wtrąca szeptem Bob. Ale my z Peerem i tak słyszymy.

– Co? – pytamy jednocześnie – Greg?

– Tak. Sam mi o tym powiedział, gdy się przyznałem... kiedy mu zameldowałem... chyba pojmujecie, że musiałem – i znowu podnosi rękę do twarzy.

– Pojmujemy – przerywam mu, bo widzę, że znów blednie – powiedziałeś mu, co się z tobą działo jak wpadłeś w ten piekielny sen. Tak jak my – dodają pośpiesznie – A on co?

– Kto?

– On. Greg, do nagłej krwi. Przecież nie prezydent Lincoln. Co powiedział Greg?

– Greg powiedział – stęka z wysiłkiem Bob – że... że on też na jakiś czas przestał... że zdarzyło mu się to samo, co i mnie. Jemu, rozumiesz, Gregowi! I to przy sterze! Czekaście, usiądę – Bob maca dokoła siebie rękami jakby nagle ośleplł i wreszcie opada ciężko na fotel koło Peera.

– I... nic więcej?

– Nic. Znasz go przecież. Kazał mi tylko sprawdzić co z wami. Czy też, czy wam także... i żebym zaraz wracał na namiary, bo on też zauważył, że z czasem, to znaczy z zegarami kontrolnymi coś nie gra... A raczej, że wszystko gra, że nie straciliśmy ani jednej sekundy lotu.

– Ani nie zarobiliśmy? – wtrąca bełkotliwie EerboT ven, jakby mu język stanął kołkiem.

– Ani nie zarobiliśmy – wtóruje posłusznie Bob – Rozumiesz coś z tego, Tom? –

„powiedział: „Tom” a nie „Cargo” – przelatuje mi przez myśl. Ale na głos mówię tylko:

– Gówno rozumiem, stary. Ano tak – uśmiecham się bezwstydnie. – Okrągłe gówno. A może ty coś mądrzejszego wymyślisz?

– A może ja... – Bob wcale się nie obraża. Ma teraz taką minę, jakby dotykał językiem bolącego zęba i nie bardzo wiedział co z tym bólem zrobić – słuchaj... a może... może oni wyłączyli czas – mówi cicho, ale nie patrzy na nas. Wygląda na to, że mówi tylko do siebie.

– Zwariowałeś, Bob – podrywa się Peer. – Co zrobili? Wyłączyli? – Jak można wyłączyć czas? To tobie króliki włączyły się do kalapitry. Może zegary nawaliły.

Zaraz sprawdzimy.

– Nic nie sprawdzimy – opamiętuje się wreszcie Stacker. – Zegary są w porządku, wszystkie instrumenty są w porządku. Namiary też. Goniometrie sam zdążyłem przekontrolować. Nie straciliśmy ani jednego kontaktu. I właśnie dlatego mówię, że wyłączyli czas.

To byłoby jedyne wytłumaczenie. I właśnie tego wytłumaczenia nie wolno nam zastosować. Jasne, nie?

– Jasne jak cholera – odzywa się miękko Eerboven – tylko się rozplakać. – Widzę, że za chwilę rozklei się jak nie dogotowany budyń. Ja sam zresztą też. Wiem tylko, że jeszcze jedno warto sprawdzić w tym wszystkim. I to nie goniometrię. Zupełnie co innego. I może właśnie od Peera trzeba zacząć.

– Słuchaj, Peer – odpowiadałeś na temat naszej wspaniałej kaczki?

– Dacoty? – łapie w lot Peer. – Odpowiadałem.

– Cyframi?

– Nie. Tego w pytaniach nie było. Mówiłem tak... ogólnie. Ale kiedy zacząłem o tym, że ją... że fajnie się nią lata, że każdy z nas ją lubi – przerwali pytanie.

Widać nie o to im chodziło.

– Ale dlaczego? – nie wytrzymuje Bob. – O co... czego od nas chcieli w takim razie?

– Mnie pytasz? – widać, że mechanik ma już dość.

– Skąd mam wiedzieć czego chcieli. I kto miał czego od nas chcieć. Może... czy ja wiem, może niczego nie było, a tylko nam się wydaje, że ooś się z nami stało.

A może po powrocie do bazy dowiemy się, że już się komuś zdarzyła taka historia jak nam... Wszystko jest możliwe.

– Myślisz, że może jakaś inna załoga mogła mieć... nie... to bzdura – kręci głową Bob.

– Co wy pieprzycie? Jaka załoga? – zrywam się z fotela, ale zaraz przysiadam, kiedy przyłapuję uważne spojrzenie Stackera. – Nigdy nie słyszałem – dopowiadam spokojniej – o czymś podobnym. Zresztą kto by się przyznał, że przyspał w czasie służby. I to w towarzystwie reszty ekipy. Nie dajmy się zwariować: czterech facetów śpi, a samolot leci sam, jak głupi...

– Greg włączył automatycznego pilota – wtrąca szybko Bob – W tej chwili też...

– Co z tego, to się robi zastępczo, o ile wiem. Na chwilę, kiedy nic nie grozi.

– Skąd Greg miał wiedzieć, czy nam co grozi. Nie gadaj głupstw – karcni mnie Eerboven –
Ja...

– W takim razie – przerywam mu ze złością – nie radzę nawet wspominać w bazie, ani poza bazą o tej całej... o naszej... zbiorowej drzemce, bo albo nam każą chuchać do balonu, jak gliny zalany kierowcom, którzy spowodowali wypadek, albo po prostu wyleją nas z SAC na zbity pysk. I to na wszelki wypadek.

– Pierwsze mądre słowo – godzi się Peer z ponurą miną.

– To znaczy... – Bob zaczyna znów kręcić głową – to znaczy, żeby w bazie nic nie wspominać. Ani słówkiem?

– O czym? – Peer bezwiednie przybiera ton naszego bossa, Grega – Był lot? Był. Bez awarii? Zgadza się, bez. W bazie masz zdać raport lotu. Tak jest w regulaminie. I nic więcej. A ze snami chodzi się do wróżki, a nie do dyrekcji bazy lotniczej.

– Nie byłbym tego taki pewny – odparowuję, bo nie lubię jak ktoś próbuje robić mnie w konia, tym bardziej kiedy się przy tym uśmiecha pod moim adresem.

– Sam powiedziałeś przed chwilą, że na coś tam odpowiadałeś i że przerwano pytania.

– A tobie nie przerywano? A Bobowi nie?

– Po prostu zmieniano temat – wzrusza ramionami Stacker – To wszystko.

– Mnie też przerywano, Peer – odpowiadam powoli i wciąż patrzę na niego spode łba – ale trochę inaczej niż tobie.

– To znaczy jak?

– Tak, jakbym kogoś z tych... pytających rozgniewał...

– Czym?

– To znaczy... wydaje mi się tym... że może... może uważali, że próbuję kręcić.

– Że zalewasz? – uśmiecha się znów Eerboven tym swoim głupkowskim uśmiechem.

– Nie – poprawiam się zjadliwie – że mijam się z prawdą. Że po prostu kłamię.

– Aha – mruczy ta łajza, ale minę ma taką, jakby wszystko rozumiał.

– Co „aha”?

– A to, że na mój gust... za dużo rzeczy zapamiętałeś z tego, co niby nam się tylko śniło, co, Bob?

– Że niby... tak, coś w tym jest – Bob kręci głową po swojemu – uważasz, że za dużo się... działo z nami przez ten czas, żeby... żeby to miał być sen, co? Toteż ja od początku mówię, że nas po prostu zamroczyło.

– Po prostu? – zrywam się z fotela, ale w tej chwili rozlega się przy nas głos, który nie tylko mnie, ale i nas wszystkich zawsze podrywa na nogi. To Greg.

– Dość, chłopaki. Słyszałem cały wasz spicz. Szkoda, że nie mamy pod ręką magnetofonu. Choć i tak dosyć już dzisiaj nagraliśmy. A ty, Bob, miałeś tylko sprawdzić Toma i Peera. I zaraz wracać do namiarów. Ża dwadzieścia minut siadamy. Santa Monica. Czy to wam nic nie mówi?

– Już wracam do, namiarów – Bob dopiero teraz przeżywa prawdziwego stracha, jakby mu mało było tego, co już przeżył. Ale nasz pierwszy osadza go ruchem ręki, w której dzierży jak zwykle przed lądowaniem teczkę lotów.

– Jedno pytanie, Bob.

– Tak? – pręży się służbiście nasz „drugi”. Wszyscy widzimy jak na twarz występują mu czerwone wypieki. Taką już ma zdradliwą gębę. Ale Greg nie ma zamiaru karcieć Stackera.

– Powiedz nam wszystkim, Bob, kiedy już prawie wszystko wiemy o sobie, czy śniły ci się jeszcze jakieś inne pytania?

– Ty... ty też sądzisz, że nam się to wszystko śniło?

– Nie odpowiadasz na pytanie. Tym razem pytam służbowo, żebyś sam... – pierwszy raz słyszę wahanie w tonie naszego bossa. Co się dzieje? Ale Mc Caen zawsze wie, co robi – „ale tym razem jest jednym z nas.

Po raz pierwszy dosłownie jednym z nas. Po raz pierwszy odpowiadał tylko za siebie” – przelatuje mi przez myśl – „dlatego hamuje się – trochę” – Więc jak – powtarza już bardziej Gregowskim tonem – miałeś jeszcze jakieś inne... pytali o coś jeszcze poza tym, cośmy tu sobie nawzajem nawinęli od... no, sam wiesz od kiedy. Jasne?

– Oczywiście – potwierdza ochoczo Bob, ale zaraz spuszcza z tonu, wyraźnie flaczeje. – Nic więcej – pociąga nagle kilka razy nosem i naraz wydaje nam się» że wygląda jak strapiony gówniarz, a nie nasz elegancik „drugi”. Zastępca bossa! – Nic więcej – powtarza ochryplym

głosem – nic... to zaaczy, nic takiego.

– Ale jednak coś? – napiera Mc Caen.

– Pytali, ale... czy ja wiem... to takie duperele, że wstyd o nich...

– Wysyp się, stary – szczyrzy zęby Greg w wilczym uśmiechu, ale wszyscy wiemy, co to znaczy, gdy Mc Caen tak się uśmiecha. Po irlandzku. – Gadaj. Każdy z nas to zrobił.

– Było także... no, czy pilot też ma u nas prawo przewożenia wierszy, czy... czytania, bo już nie pamiętam.

– Czego? Wierszy? – W głosie Grega pojawia się jakaś, bardzo nieprzyjemna nuta. Wszyscy ją słyszą, ale tylko ja sięgam ukradkiem w zanadrze i sprawdzam czy przypadkiem... ale nie. Czuję pod palcami małą, sztywną okładkę i uspokajam się natychmiast. Jeszcze nie wszystko stracone. Na szczęście słyszę w tej samej chwili schrypnięty szept Peera.

– Nieważne, szefie. Myślę, że wszystkim nam co nieco we łbach się tee... króliki poprzewracały, nie? Bobowi może trochę więcej od innych. Duperele. Nic poza tym.

– Nic poza tym? Właśnie o to mi chodzi. – Greg wpatruje się w nas twardym spojrzeniem – Dobra!

A jeżeli ktoś by się upierał, że mu się na trasie coś przyśniło, to uważam, że to jego prywatna sprawa.

Jasne? Konsekwencji służbowych w stosunku do nikogo, ani sam do siebie nie muszę wyciągać. To chyba też jasne? – patrzy na Boba, który już otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Ale nie mówi nic! I na tym się kończy sekundowy dialog między oboma pilotami.

– Tak. To by było tyle – podskakujemy wszyscy, bo Greg zamyka z trzaskiem teczkę raportów – chyba żeby kto z was chciał jeszcze coś dopowiedzieć?

Ale nikt z nas nie chce nic dopowiedzieć.